

NEIL GAIMAN  
MICHAEL REAVES

# INTERŚWIAT

*InterWorld*

Przełożyła Paulina Braiter



# Dedykacje

Neil chciałby zadedykować tę książkę swemu synowi Mike'owi, któremu, gdy czytał rękopis, bardzo się spodobała. Cały czas nas dopingował i pytał, kiedy w końcu będzie mógł przeczytać całą historię w prawdziwej książce.

Michael chciałby zadedykować tę książkę Steve'owi Saffelowi, który opowiedział mu o copyrightach.

# Od autorów

Ta historia to zmyślone dzieło literackie. Biorąc pod uwagę nieskończoną liczbę możliwych światów, w jednym z nich musi być prawdziwa. A skoro historia dziejąca się w nieskończonej liczbie możliwych wszechświatów jest prawdziwa w jednym z nich, musi być też prawdziwa we wszystkich. Możliwe więc, że nie jest wcale tak zmyślona, jak moglibyśmy sądzić.

# Część I

# Rozdział 1

Pewnego razu zabłądziłem we własnym domu.

W gruncie rzeczy brzmi to gorzej, niż było w istocie. Właśnie skończyliśmy nową przybudówkę – dodatkowy korytarz i sypialnię dla Lejka, zwanego też Kevinem, mojego bardzo małego brata – lecz cieśle ukończyli pracę dawno temu, a pył osiadł ponad miesiąc wcześniej. Mama zawołała nas na obiad. Szedłem na dół, na piętrze skręciłem nie w tę stronę i nagle znalazłem się w pokoju wytapetowanym w obłoczki i króliczki. Zorientowałem się, że skręciłem w prawo zamiast w lewo, natychmiast powtórzyłem ten sam błąd i wylądowałem w szafie.

Nim dotarłem na dół, Jenny i tato już tam byli, a mama obdarzyła mnie Spojrzeniem. Wiedziałem, że próby wyjaśnień zabrzmiały żałośnie, toteż zamknąłem się i zabrałem za makaron z sosem serowym.

Widzicie jednak w czym rzecz: nie mam nawet cienia tego, co moja ciotka Maude nazwała kiedyś „wyczuciem kierunku”. W miejscu, gdzie winno być, zajeje u mnie czarna dziura. Nie mówię tu o odróżnianiu północy od południa, wschodu od zachodu – ja mam problemy z odróżnieniem prawej strony od lewej. To dość ironiczne, zważywszy na to, co mnie czekało...

Ale zanadto się rozpędzam. W porządku, opiszę to tak, jak nas uczył pan Dimas. Mówił, że nieważne, gdzie się zaczyna, byle tylko mieć jakiś początek. Zacznę zatem od niego.

To był ostatni tydzień trzeciej klasy liceum i wszystko toczyło się zwykłym torem, poza naukami społecznymi, co zresztą akurat nikogo nie zdziwiło. Pan Dimas, prowadzący zajęcia, słynął z niekonwencjonalnych metod nauczania. Na zaliczenie semestru zawiązał nam oczy, potem wręczył każdemu szpilkę, kazał wbić w mapę świata i musieliśmy napisać esej o miejscu, które sobie wybraliśmy. Ja trafiłem na Decatur w stanie Illinois. Niektórzy narzekali, bo przypadło im Ułan Bator albo Zimbabwe. Szczęściarze. Sami spróbujcie napisać dziesięć tysięcy słów na temat Decatur w stanie Illinois.

Pan Dimas często robił podobne numery. W zeszłym roku trafił na pierwszą stronę lokalnej gazety i o mało nie wyleciał z pracy, bo zamienił dwie klasy w pozostające w stanie wojny księstwa, które przez cały semestr prowadziły rozmowy pokojowe. W końcu

negocjacje się załamały i klasy ruszyły na wojnę na quadach. Trochę ich poniosło i kilka osób skończyło z rozkwaszonymi nosami. Gazeta zacytowała wtedy pana Dimasa: „Czasami wojna jest niezbędna, żeby pokazać nam, ile jest wart pokój. Czasami trzeba się nauczyć, że prawdziwa wartość dyplomacji to unikanie wojny. A ja wolałbym, by moi uczniowie poznawali te lekcje na boisku, nie na polu bitwy”.

W szkole plotkowano, że miał za to stracić pracę. Nawet burmistrz Haenkle był mocno wkurzony, bo nos jego syna ucierpiał najbardziej. Mama, Jenny – moja młodsza siostra – i ja siedzieliśmy do późna, popijając mleko czekoladowe i czekając na powrót taty ze spotkania rady miejskiej. Lejek spał słodko na kolanach mamy – w tamtym czasie wciąż karmiła go piersią. Minęła już północ, gdy tato wszedł tylnymi drzwiami i rzucił kapelusz na stół.

– Siedem do sześciu, za – oznajmił. – Dimas zostaje. Zupełnie straciłem głos.

Mama wstała, żeby zaparzyć mu herbaty, a Jenny spytała tatę, czemu wstawił się za panem Dimasem.

– Moja nauczycielka mówi, że wciąż są przez niego kłopoty – dodała.

– To prawda – odparł tato. – Dzięki, skarbie. – Pociągnął łyk herbaty. – Ale to także jeden z nielicznych nauczycieli, któremu naprawdę zależy na tym, co robi. I wkłada w swą pracę więcej niż odrobinę rozumu. – Wycelował fajkę w Jenny. – Już po godzinie duchów, kwiatuszku. Leć do łóżka.

Taki właśnie jest tato. Choć to tylko zwykły radny, część ludzi słucha się go bardziej niż burmistrza. Kiedyś tato pracował na Wall Street jako makler i wciąż ma pod opieką akcje grupki prominentnych obywateli Greenville, także tych zasiadających w radzie szkoły. Praca w radzie zajmuje mu zaledwie kilka dni w miesiącu, toteż w wolnych chwilach tato jeździ taksówką. Spytałem go kiedyś, czemu to robi, bo inwestycje przynosiły niezły dochód, a była jeszcze pracownia jubilerska mamy. Wyjaśnił, że lubi poznawać nowych ludzi.

Można by sądzić, że groźba zwolnienia powinna przestraszyć pana Dimasa i sprawić, by trochę wyhamował. Ale nic z tego. Jego najnowszy pomysł na egzamin zaliczeniowy okazał się niezłe przegięty, nawet jak na niego. Podzielił naszą klasę na grupki po trzy osoby, znów zawiązał nam oczy – święcie wierzył w zakrywanie oczu – i polecił kierowcy zawieźć nas szkolnym autobusem w przypadkowe miejsca w mieście. Mieliśmy w określonym czasie odnaleźć bez mapy kilka wyznaczonych punktów. Jeden z nauczycieli spytał, co to ma wspólnego z naukami społecznymi, a pan Dimas wyjaśnił, że nauki społeczne są wszystkim. Skonfiskował nam komórki, karty telefoniczne, karty kredytowe i gotówkę, żebyśmy nie mogli wezwać taksówki. Musieliśmy radzić sobie sami.

I wtedy właśnie się zaczęło.

\* \* \*

Nie chodzi o to, że groziło nam jakiegokolwiek niebezpieczeństwo – centrum Greenville to nie Los Angeles czy Nowy Jork, czy nawet Decatur w stanie Illinois. Najgorsze, co mogło nas spotkać, to parę ciosów torebką staruszki, gdyby ktoś z nas okazał się dość głupi, żeby spróbować przejść przez Czterdziestą Drugą Aleję. Ponieważ jednak trafiłem do grupy z Roweną Danvers i Tedem Russellem, wiedziałem, że będzie ciekawie.

Szkolny autobus odjechał w obłoku spalin z diesla. Zdjęliśmy przepaski. Znajdowaliśmy się w centrum – tyle dało się stwierdzić od razu. Był początek zimnego popołudnia, wokół dostrzegłem niewiele samochodów i przechodniów. Natychmiast poszukałem wzrokiem tabliczki z nazwą ulicy. Informowała, że stoimy na rogu Sheckley Boulevard i Simek Street.

I wtedy zorientowałem się, gdzie jesteśmy. Tak bardzo mnie to zaskoczyło, że na moment odebrało mi mowę. Byłem dzieciakiem, który potrafił się zgubić, idąc do skrzynki na listy. Ale wiedziałem, gdzie jesteśmy – po przeciwnej stronie ulicy, przecznicę od dentysty, który parę dni wcześniej czyścił zęby mnie i Jenny.

Nim zdołałem cokolwiek powiedzieć, Ted wyciągnął kartkę od pana Dimasa, na której widniał adres miejsca, z którego miano nas zabrać.

– Musimy dotrzeć na róg Maple i Whale – rzekł. – Może ściągniemy twojego tatę, żeby nas podwiózł, co, Harker?

Oto, co musicie wiedzieć o Tedzie Russellu: nie potrafiłby nawet napisać IQ. Nie dlatego, że jest głupi, chociaż jest, jak kilo gwoździ, lecz ponieważ w ogóle go to nie obchodzi. Był rok starszy ode mnie, bo zimował już w jednej klasie. Wiedziałem, że usłyszę od niego najwyżej dowcipy, na które prychnąłby nawet przedszkolak. Ale byłem gotów znieść towarzystwo bezczelnego głupka Russella tylko po to, by pobyć choć trochę – albo i zawsze – z Roweną Danvers.

Możliwe, że w liceum w Greenville dałoby się znaleźć ładniejsze, mądrzejsze i ogólnie rzecz biorąc, miłsze dziewczyny, ale jakoś nie miałem ochoty ich szukać. Jeśli o mnie chodziło, Rowena była tą jedyną. Lecz po dwóch latach prób wciąż nie zdołałem jej przekonać, że mógłbym być kimś więcej niż jedynie statystą w filmie jej życia. Nie dlatego, że mnie nie znosiła czy nawet nie lubiła – po prostu nie byłem dość ważny, by zasłużyć nawet na takie uczucia. Wątpię, byśmy w ciągu całego roku szkolnego zamienili więcej niż pięć zdań, a zapewne cztery z tych pięciu brzmiały tak: „Przepraszam, ale chyba to upuściłaś” albo: „Hej, siedzisz tutaj?”. Trudno to nazwać wielkim romansem, choć niezwykle cenilem

sobie każde jej słowo.

Może jednak teraz zdołam to zmienić. Może stanę się czymś więcej niż anonimowym punkcikiem na jej radarze. Miałem już prawie piętnaście lat, a ona była moją prawdziwą Pierwszą Miłością. Poważnie. A przynajmniej tak wówczas sądziłem. To nie było zwykłe zadurzenie – nie tylko kochałem się w Rowenie Danvers – byłem w niej szaleńczo, głęboko, śmiertelnie zakochany. Powiedziałem nawet rodzicom, co czuję, a to wymagało odwagi. Oświadczyłem, że gdyby kiedykolwiek mnie zauważyła, byłby to jeden z największych romansów stulecia. Widzieli, że mówię serio, i nawet się ze mnie nie nabijali. Zrozumieli. Życzyli mi szczęścia. Ja będę Tristanem, a ona Izoldą (cokolwiek to znaczy; tak powiedział tato), ja będę Sidem, a ona Nancy (cokolwiek to znaczy; tak powiedziała mama). Chciałem zaimponować Rowenie Danvers.

I co z tego, że przejście przez ulicę i odnalezienie kierunku to niezupełnie wyczyn godny pióra Szekspira? Nie zamierzałem wybrzydzać.

– Wiem, gdzie jesteśmy – oznajmiłem.

Ted i Rowena spojrzeli na mnie z powątpiewaniem.

– Tak, jasne – mruknął Ted. – Prędeż z powrotem założę przepaskę. Chodź, Roweno.

– Wziął ją za rękę. – Wszyscy wiedzą, że Harker nie potrafiłby znaleźć własnego tyłka, nawet gdyby ktoś związał mu z tyłu ręce.

Rowena cofnęła dłoń i spojrzała na mnie. Widziałem, że wcale nie podoba jej się perspektywa długiego spaceru z Tedem Russellem, ale nie chciała także błąkać się po centrum przez resztę dnia.

– Na pewno wiesz, gdzie jesteśmy, Joey?

Kobieta, którą kochałem, prosiła mnie o pomoc! Poczułem się, jakbym umiał trafić do domu nawet z mrocznej strony księżyca.

– Żaden problem – rzekłem z pewnością siebie leminga, który wierzy, że czeka go miły dzień na plaży. – Chodź za mną. No chodź! – Ruszyłem w głąb ulicy.

Rowena wahała się jeszcze chwilę, po czym odwróciła się do Teda plecami i pomaszerowała za mną. Ted przez chwilę patrzył na nią, wstrząśnięty, potem machnął ręką w geście „a niech tam”.

– To twój pogrzeb. Powiem Dimasowi, żeby rozesłał ekipy poszukiwawcze! – krzyknął, po czym roześmiał się i uniósł pięść w zwycięskim geście.

Musi być fajnie grać wyłącznie dla siebie.

Rowena dogoniła mnie i jakiś czas maszerowaliśmy razem w milczeniu. Przeszliśmy przez park Arkwright i skierowaliśmy się na północ – no, chyba – na Corinth Street.



Po sześciu przecznicach uświadomiłem sobie coś bardzo ważnego – dobrze jest wiedzieć, gdzie się jest, ale jeszcze lepiej wiedzieć, dokąd się idzie. A tego właśnie nie wiedziałem – zaledwie po paru minutach poczułem się bardziej zagubiony niż kiedykolwiek wcześniej. A co gorsza, Rowena też to wiedziała – poznałem to po tym, jak na mnie patrzyła.

Zaczynała mnie ogarniać panika. Nie chciałem zawieść Roweny. Ale też nie chciałem, żeby zobaczyła, jak robię z siebie głupka. Powiedziałem zatem: „Zaczekaj chwilkę” i nim zdołała cokolwiek odrzec, pobiegłem naprzód.

Kierowała mną rozpaczliwa nadzieja: może znajdę następną znaną mi ulicę albo miejsce. Skręciłem za róg i po kolejnej przecznicy ujrzałem budynek, który wyglądał znajomo. Ruszyłem ku niemu – Arkwright Boulevard, równoległą do parku – by się upewnić.

\* \* \*

Pogoda w Greenville nawet w najlepszych czasach bywa dość osobliwa. Sprawia to bliskie sąsiedztwo Grand River, dzięki której mamy tutaj browary i turystów, których przyciągają znane szlaki i wodospady. Lecz rzeka jest także źródłem mgły, rozpełzającej się po mieście za każdym razem, gdy nadchodzą chłody. Jedna z owych mgieł zaczynała gęstnieć na rogu Arkwright i Corint. Zagłębiłem się wprost w nią i poczułem na twarzy zimne krople. Zazwyczaj kiedy znajdziemy się we mgle, ta wydaje się rzadsza, ale nie tym razem. Czuję się, jakbym wędrował w chmurze gęstego dymu, szarego i oślepiającego.

Po prostu parłem naprzód, nie zwracając uwagi na mgłę – miałem w końcu ważniejszą sprawę na głowie. Poprzez opary widziałem migotliwe światła we wszystkich kolorach tęczy. Dziwne, jak wygląda miasto, kiedy oglądamy jedynie jego światła.

Skręciłem za róg w Fallbrook Street, wyszedłem z mgły – i zamarłem. Znalazłem się w zupełnie obcej części miasta. Po drugiej stronie stał McDonald, zwieńczony wielkim łukiem w zieloną kratę. Pewnie jakaś szkocka promocja. Dziwne. Zauważyłem go, ale nie zarejestrowałem, bo za bardzo zajmowały mnie myśli o Rowenie. Zastanawiałem się też, czy istnieje jakikolwiek sposób pozwalający jej wyjaśnić, co się stało, tak by nie uznała mnie za kompletnego durnia. Nie istniał. Wiedziałem, że muszę do niej wrócić i wyznać, że z mojej winy zablądziłyśmy. Myślałem o tym z równym entuzjazmem, jak o kontrolnej wizycie u dentysty.

Przynajmniej kiedy wróciłem biegiem na poprzednią ulicę, zdyszany i spocony, mgła prawie się już rozplynęła. Rowena wciąż czekała w miejscu, w którym ją zostawiłem; zwrócona do mnie plecami oglądała wystawę sklepu ze zwierzętami. Przebiegłem przez ulicę i klepnąłem Rowenę w ramię.

– Przepraszam – powiedziałem. – Chyba jednak powinniśmy byli posłuchać Teda. Nieczęsto słyszysz coś podobnego, prawda?

A ona się odwróciła.

Kiedy byłem dzieckiem, to znaczy naprawdę małym dzieckiem, jeszcze w Nowym Jorku, nim przenieśliśmy się do Greenville, nawet zanim urodziła się Jenny, pamiętam, że poszedłem z mamą do domu towarowego Macy. Mama robiła tam zakupy gwiazdkowe i mógłbym przysiąc, że jedynie na moment straciłem ją z oczu. Miała na sobie niebieski płaszcz. Wędrowałem za nią po całym sklepie, aż w końcu zrobiło się tak tłoczno, że zacząłem się bać i złapałem ją za rękę. A ona spojrzała w dół...

I to nie była moja mama, tylko jakaś kobieta, której nigdy w życiu nie widziałem, ubrana w podobny niebieski płaszcz i tak samo uczesana. Rozpłakałem się. Zabrali mnie do jakiegoś biura, poczęstowali colą i znaleźli moją mamę, i wszystko skończyło się szczęśliwie. Ale nigdy nie zapomniałem tej chwili zagubienia, gdy spodziewamy się ujrzeć jedną osobę, a widzimy inną.

Tak właśnie czułem się w tym momencie, bo to nie Rowena przede mną stała. Owszem, wyglądała jak ona, tak jak mogłaby wyglądać jej siostra, i była podobnie ubrana. Miała nawet czarną bejsbolówkę, dokładnie taką jak Rowena.

Ale Rowena zawsze szczyliła się długimi, jasnymi włosami. Często powtarzała, że chce, by rosły jak najdłuższe, i nigdy ich nie obcinała.

Ta dziewczyna była ostrzyżona, i to bardzo krótko, i wcale nie wyglądała jak Rowena. Nie dokładnie. Nie z bliska. Rowena ma niebieskie oczy, ta dziewczyna miała oczy piwne. Była wysoką panną w brązowym płaszczu i czarnej bejsbolówce, oglądającą szczeniaki na wystawie sklepu ze zwierzętami. Zupełnie zgłupiałem. Cofnąłem się o krok.

– Przepraszam – mruknąłem. – Wziąłem cię za kogoś innego.

Patrzyła na mnie, jakbym właśnie wylazł z kanału, w masce hokejowej i z piłą łańcuchową w ręku. Nie odpowiedziała.

– Posłuchaj, naprawdę mi przykro – dodałem.

Przytaknęła bez słowa i odeszła chodnikiem, nie zwalniając kroku i co chwila oglądając się za siebie. Potem puściła się pędem, jakby ścigały ją wszystkie stwory piekieł.

Chciałem ją przeprosić za to, że ją wystraszyłem, ale miałem własne problemy.

Zabłądziłem w centrum Greenville, odłączyłem się od pozostałej dwójki z mojej grupy, oddałem wszystkie drobne. Nie zdałem nauk społecznych.

Mogłem zrobić tylko jedno, więc to zrobiłem.

Zdjąłem but.

Pod wkładką tkwiła złożona pięciodolarówka. Mama każe mi ją tam trzymać na wszelki wypadek. Wyjąłem banknot, włożyłem z powrotem but, rozmieniłem pieniądze i pojechałem autobusem do domu, powtarzając w myślach wszystko, co mógłbym powiedzieć panu Dimasowi, Rowenie, nawet Tedowi, i zastanawiając się, czy w ciągu dwunastu godzin poszczęści mi się na tyle, bym złapał chorobę tak zaraźliwą, że nie będę musiał wracać do szkoły do końca semestru.

Wiedziałem, że moje kłopoty nie skończą się z chwilą powrotu do domu. Ale przynajmniej nie będę się czuł zagubiony.

Jak się okazało, nie znałem nawet znaczenia tego słowa.

## Rozdział 2

Całą drogę pokonałem w oszołomieniu. Po chwili jazdy przestałem wyglądać przez okno autobusu i wbiłem wzrok w tył siedzenia przede mną, bo ulice wyglądały jakoś dziwnie. Z początku nie dostrzegałem niczego szczególnego, co mógłbym wskazać; po prostu wszystko wydawało się trochę... nie takie jak trzeba. Na przykład kraciaste łuki McDonalda. Chciałbym wiedzieć, co w ten sposób promowali.

I samochody. Tato mówi, że kiedy był mały, on i jego kumple z łatwością potrafili odróżnić forda od chevroleta i od buicka. W dzisiejszych czasach wszystkie wyglądają tak samo, niezależnie od producenta. Lecz teraz miałem wrażenie, jakby ktoś zdecydował, że wszystkie samochody muszą zostać pomalowane w jaskrawe kolory – na pomarańczowo, trawiastozielono, słonecznikowo. Przez całą drogę nie zauważyłem ani jednego czarnego czy srebrnego wozu.

Obok nas przejechał radiowóz z włączoną syreną i kogutem... żółto-zielonym, niebiesko-czerwonym.

Potem wpatrywałem się już tylko w szarą, spękaną skórę siedzenia. W połowie drogi na moją ulicę zawładnęła mną obsesyjna obawa, że nie znajdę mojego domu, że na jego miejscu ujrzę tylko pustą działkę lub – i ta myśl była jeszcze gorsza – inny dom. Albo, że jeśli w środku zastanę ludzi, nie będą to moi rodzice, siostra i braciszek, tylko obcy. To już nie będzie mój dom.

Wysiadłem z autobusu i przebiegłem trzy przecznice. Z zewnątrz dom wyglądał tak samo – ten sam kolor, grządki i skrzynki z kwiatami w oknach, te same dzwonki wiszące na frontowej werandzie. O mało nie rozplakałem się z ulgi. Może i rzeczywistość rozpadła się wokół mnie, ale dom wciąż pozostawał bezpieczną przystanią.

Pchnięciem otworzyłem drzwi frontowe i wszedłem do środka.

Wewnątrz pachniało jak w moim domu, nigdzie indziej. W końcu mogłem się odprężyć.

W zasadzie wszystko wyglądało tak samo – chociaż, stojąc w holu, zacząłem zauważać pewne rzeczy: drobiazgi, subtelne szczegóły z rodzaju tych, które jak sądzimy, tylko sobie wyobrażamy. Miałem wrażenie, że wykładzina w holu ma nieco inny wzór. Ale kto, do diabła, pamięta wzory wykładzin? Na ścianie w salonie, gdzie kiedyś wisiało moje

zdjęcie z przedszkola, teraz ujrzałem fotografię dziewczyny mniej więcej w moim wieku. Była nawet trochę do mnie podobna – ale też moi rodzice wspominali coś o zdjęciu Jenny...

I wtedy to mnie uderzyło. Zupełnie jak wówczas, gdy w zeszłym roku skoczyłem z wodospadu, kiedy beczka wpadła na skały i roztrzaskała się, a świat nagle pojaśniał i odwrócił się do góry nogami, i poczułem ból...

Istniała różnica. Taka, której nie widać od frontu. Przybudówka, którą wznieśliśmy wiosną – nowy pokój dla Kevina zwanego też Lejkim, mojego braciszka – zniknęła.

Spojrzałem w górę – kiedy wspiałem się na palce i wykręciłem głowę, mogłem zobaczyć miejsce, w którym zaczynał się nowy korytarz. Spróbowałem to zrobić, wszedłem nawet na parę stopni, by się przyjrzeć.

Nic z tego. Przybudówki wciąż tam nie było.

Jeśli to żart, pomyślałem, to stoi za nim multimilioner obdarzony naprawdę chorym poczuciem humoru.

Za plecami usłyszałem jakiś dźwięk. Obróciłem się i zobaczyłem mamę.

Tyle że to nie była ona.

Podobnie jak Rowena, wyglądała inaczej. Miała na sobie dzinsy i koszulkę, której nigdy wcześniej nie widziałem. Jej fryzura wyglądała tak samo jak zawsze, ale okulary były inne. Tak jak mówiłem, drobiazgi.

Poza sztuczną ręką. Ją trudno nazwać drobiazgiem.

To była proteza, zrobiona z plastiku i metalu, zaczynająca się tuż pod rękawem podkoszulka. Mama zauważyła, że się na nią gapię, i zdumienie na jej twarzy – nie poznała mnie, podobnie jak wcześniej Rowena – ustąpiło miejsca podejrzliwości.

– Kim jesteś? Co robisz w tym domu?

Sam już nie wiedziałem, czy mam się śmiać, płakać, czy zacząć krzyczeć.

– Mamo – rzuciłem z desperacją. – Jestem Joey!

– Joey? – powtórzyła. – Nie jestem twoją mamą, mały. Nie znam nikogo o imieniu Joey.

Na to nie potrafiłem odpowiedzieć. Po prostu gapiłem się na nią. Nim zdołałem cokolwiek wymyślić, za plecami usłyszałem kolejny głos. Głos dziewczyny.

– Mamo? Czy coś się stało?

Odwróciłem się. Chyba podświadomie spodziewałem się już tego, co zobaczę. Coś w owym głosie mówiło mi, kogo ujrzę na szczycie schodów.

To była dziewczyna ze zdjęcia.

Ale nie Jenny. Miała ciemnorude włosy i piegi, oraz zabawny wyraz twarzy, jakby

spędzała zbyt wiele czasu wewnątrz własnej głowy. Była w moim wieku, więc nie mogła być moją siostrą. Wyglądała jak... I wtedy przyznałem przed sobą to, co już wiedziałem... Wyglądała tak, jak ja bym wyglądał, gdybym był dziewczyną.

Oboje wpatrywaliśmy się w siebie, zszokowani. Za sobą usłyszałem głos matki, dobiegający jakby z bardzo daleka.

– Wracaj na górę, Josephine. Szybko.

Josephine.

I wtedy wreszcie zrozumiałem. Nie wiem jak, ale nagle pojąłem i wiedziałem, że to prawda.

Ja już nie istniałem. W jakiś sposób zostałem wykasowany z własnego życia. Najwyraźniej operacja nie udała się do końca, bo wciąż istniałem, ale widocznie tylko ja uważałem, że mam prawo tu być. W jakiś sposób rzeczywistość się zmieniła i teraz najstarsze dziecko pana i pani Harker było dziewczynką, nie chłopcem. Josephine, nie Josephem.

Pani Harker – dziwnie się czułem, nazywając ją tak w myślach zamiast mamą – pani Harker przyglądała mi się uważnie. Wciąż pozostawała czujna, ale też sprawiała wrażenie zaciekawionej. Nic dziwnego – dostrzegła w mej twarzy rodzinne podobieństwo.

– Czy ja... cię znam?

Zmarszczyła brwi, próbując jakoś mnie umiejscowić. Jeszcze minuta i zrozumie, czemu wyglądam tak znajomo – przypomni sobie, że nazywałem ją mamą – i podobnie jak mój, jej świat także rozsypie się na kawałki.

Nie była moją matką, nieważne, jak bardzo tego pragnąłem i jak bardzo tego potrzebowałem. Nie była moją mamą, dokładnie tak samo jak kobieta w niebieskim płaszczu owego dnia u Macy'ego.

Uciekłem.

Do dziś dnia nie wiem, czy zrobiłem to, ponieważ sytuacja mnie przerastała, czy też dlatego, że chciałem jej oszczędzić tego, co sam wiedziałem – że rzeczywistość może się rozsypać jak uderzone młotkiem lustro. Że może to spotkać każdego, skoro właśnie spotkało ją – i mnie.

Minąłem ją i wypadłem z domu, przebiegłem ulicę i pędziłem dalej, nie zwalniając kroku. Może miałem nadzieję, że jeśli pobiegnę dość szybko, dość daleko, w jakiś sposób cofnę się w czasie do chwili, nim jeszcze zaczął się ten obłąd. Nie wiem, czy to mogłoby zadziałać, bo nie miałem szansy się przekonać.

Nagle powietrze przede mną zafalowało, zamigotało w srebrnej poświacie, a potem się rozdarło. Zupełnie jakby to sama rzeczywistość pękła. Wewnątrz dostrzegłem niesamowite,

psychodeliczne tło, szybujące w powietrzu geometryczne kształty i pulsujące kolory.

A potem z pęknięcia wyszło to... coś.

Może to był człowiek – nie wiedziałem. Otaczał go metaliczny blask. Miał na głowie kapelusz i był ubrany w prochowiec. Kiedy uniósł głowę i spojrzał na mnie, pod rondem ujrzałem jego twarz.

Należała do mnie.

## Rozdział 3

Całą jego twarz pokrywała jakby maska o lustrzanej powierzchni, przypominającej płynną rtęć. Czulem się niesamowicie, patrząc w ową ślepą, srebrną twarz i widząc własne odbicie wpatrujące się we mnie, wykrzywione i zniekształcone.

Moja twarz wyglądała jeszcze bardziej niemądrze niż zwykle: falująca mapa piegów, ciemnoruda czupryna, wielkie piwne oczy, usta wykrzywione w karykaturalnym grymasie zdumienia i, szczerze mówiąc, strachu.

Pierwsze, co pomyślałem, to że ów nieznajomy jest robotem, jednym z filmowych robotów z płynnego metalu. Potem uznałem, że to obcy. A potem zacząłem podejrzewać, że to ktoś, kogo znam, tyle że w niesamowitej, supernowoczesnej masce, i kiedy odezwał się do mnie znajomym głosem, ta myśl zamieniła się w pewność. Maska tłumiała ów głos, ale wiedziałem, że go znam.

– Joey?

Próbowałem odrzec: „Tak?”. Ale zdołałem jedynie mruknąć coś niewyraźnie z głębi gardła.

Postąpił krok ku mnie.

– Posłuchaj. Przypuszczam, że to wszystko dzieje się trochę zbyt szybko, ale musisz mi zaufać.

Zbyt szybko? Niedopowiedzenie stulecia, stary. Mój dom nie był moim domem, rodzina nie była moją rodziną, dziewczyna moją dziewczyną – no, tu akurat od początku nią nie była, ale nie czas na nieważne detale. Chodziło o to, że wszystko co stałe i niezmiennie w moim życiu nagle zatrzęsło się jak galareta i czulem, że lada moment przestanę nad sobą panować.

I wtedy dziwak w halloweenowej masce położył mi dłoń na ramieniu i „przestanę” zmieniło się w „przestałem”. Nie obchodziło mnie, czy to ktoś, kogo znam. Gwałtownie uniosłem kolano, dokładnie tak jak kazał nam – chłopakom i dziewczętom – pan Dimas, gdybyśmy kiedykolwiek sądzili, że jakiś dorosły mężczyzna zagraża nam fizycznie. („Nie celujcie w jądra” – powiedział owego dnia pan Dimas, zupełnie jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. „Celujcie w środek brzucha, jakbyście zamierzali przebić się przez jego jądra. A potem nie sprawdzajcie, czy nic mu nie jest. Po prostu uciekajcie”).



O mało nie złamałem sobie rzepki. Gość ukrywał pod płaszczem jakąś zbroję. Wrzasnąłem z bólu i złapałem się za prawe kolano. Co gorsza, wiedziałem, że pod lustrzaną maską drań się uśmiecha.

– Nic ci nie jest? – spytał owym na wpół znajomym głosem.

Nie dosłyszałem w nim troski, jedynie rozbawienie.

– Poza tym, że nie wiem, co się dzieje, utratą rodziny i złamaniem nogi? – Uciekłbym, ale ucieczka wymaga dwóch nóg w dobrym stanie. Odetchnąłem głęboko, próbując jakoś się pozbierać.

– Dwie z tych rzeczy to wyłącznie twoja wina. Miałem nadzieję dotrzeć do ciebie, nim zaczniesz Wędrować, ale okazałem się nie dość szybki. Teraz uruchomiłeś wszystkie alarmy w tym regionie, przedzierając się przez kolejne granice.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Nie przekraczałem granicy od czasu wielkanocnego wyjazdu rodzinnego do ciotki Agathy. Rozmasowałem nogę.

– Kim jesteś? – spytałem. – Zdejmij maskę.

Nie zrobił tego.

– Możesz mi mówić Jay – rzekł. A może chciał powiedzieć: „Możesz mi mówić J”? Znów wyciągnął rękę, zupełnie jakby sądził, że ją uścisknę.

Zastanawiam się, czy zrobiłbym to, czy nie – nie miałem okazji się przekonać. Nagły rozbłysk zielonego światła całkowicie mnie oślepił. Mrugałem rozpaczliwie, gdy sekundę później donośny łoskot na moment wyłączył z działania także moje uszy.

– Biegnij! – krzyknął Jay. – Nie, nie tamtędy! Wracaj tam, skąd przyszedłeś! Spróbuję ich odciągnąć.

Nie pobiegłem – po prostu stałem tam i się gapiłem.

Około dziesięciu stóp ode mnie w powietrzu unosiły się trzy dyski, srebrzyste i błyszczące. Na każdym, balansując jak surfer na fali, stał człowiek w szarym, jednoczęściowym kombinezonie. Każdy trzymał w ręce coś, co przypominało obciążoną sieć – jak sieć rybacka albo, nagle przyszło mi do głowy, gladiatorska.

– Josephie Harker! – zawołał jeden z gladiatorów głuchym, niemal beznamiętnym głosem. – Opór byłby nieproduktywny. Proszę, pozostań tam gdzie jesteś! – Machnął siecią, podkreślając swe słowa.

Sieć zatrzeszczała, w miejscach styku włókien pełgały maleńkie, błękitne iskierki. Gdy ujrzałem owe sieci, pojąłem, że są przeznaczone dla mnie i że jeśli mnie w nie złapią, będzie bolało.

Jay pchnął mnie mocno.

– Uciekaj!

Tym razem to do mnie dotarło. Odwróciłem się i pobiegłem.

Jeden z mężczyzn na dyskach krzyknął z bólu. Na moment obejrzałem się przez ramię: spadał właśnie na ziemię, dysk wisiał nad nim w powietrzu. Podejrzewałem, że to sprawka Jaya.

Pozostali dwaj gladiatorzy mknęli w powietrzu dokładnie nade mną, dotrzymując mi kroku. Nie musiałem nawet patrzeć, widziałem ich cienie.

Czułem się jak dzikie zwierzę – lew czy może tygrys – w filmie dokumentalnym, na które polują ludzie uzbrojeni w strzałki usypiające. Wiadomo, że je dopadną, jeśli będzie biegło w linii prostej, toteż tego nie zrobiłem. Uskoczyłem w lewo, dokładnie w chwili, gdy sieć wylądowała w miejscu, gdzie byłem jeszcze ułamek sekundy wcześniej. Spadając, otarła się o moją prawą rękę. Dłoń mi zdrętwiała, nie czułem palców.

I wtedy się poruszyłem. Nie miałem pojęcia, jak to zrobiłem i co w ogóle zrobiłem. Przez moment miałem wrażenie, że otacza mnie nowa fala mgły i migoczących świateł, usłyszałem wietrzne dzwonki i nagle byłem sam. Mężczyźni na niebie zniknęli – w pobliżu nie było nawet tajemniczego pana Jaya o lustrzanej twarzy. Było spokojne listopadowe popołudnie, mokre liście lepiły się do chodnika i w sennym Greenville jak zwykle nic się nie działo.

Serce waliło mi tak mocno, że pomyślałem, że zaraz pękną mi żebra.

Ruszyłem w głąb Maple Road, próbując złapać oddech, rozcierając lewą ręką zdrętwiałą prawą dłoń i usiłując ogarnąć myślami wszystko, co właśnie się stało.

Mój dom nie był już moim domem, ludzie, którzy tam mieszkali, nie byli moją rodziną. Ścigali mnie dziwni goście na latających pokrywach kanałów, a także facet o pancernym kroczu i lustrzanej twarzy.

Co mogłem zrobić? Pójść na policję?

Jaaasne, powiedziałem sobie. Wciąż słyszą podobne historie. Ludzi, którzy je opowiadają, posyłają do wariatkowa.

Czyli pozostawała tylko jedna osoba, z którą mógłbym porozmawiać. Pokonałem zakręt i ujrzałem przed sobą liceum w Greenville.

Postanowiłem pomówić z panem Dimasem.

## Rozdział 4

Liceum w Greenville zbudowano prawie pięćdziesiąt lat temu. Kiedy byłem mały, władze miejskie zamknęły je na kilka miesięcy, by usunąć z budynku azbest. Na tyłach stoi kilka tymczasowych kontenerów, w których mieszczą się pracownie naukowe i plastyczne, i zostaną tam, dopóki szkoła się nie rozbuduje. Trochę się już sypie, pachnie w niej wilgocią, pizzą i przepoconym sprzętem sportowym i jeśli z moich słów wywnioskujecie, że nie przepadam za moją szkołą, to słusznie. Muszę jednak przyznać, że teraz na jej widok poczułem się lepiej.

Wspiąłem się na schody, cały czas zerkając czujnie w niebo i wypatrując gladiatorów na latających dyskach. Nic.

Wszedłem do środka. Nikt nawet na mnie nie zerknął.

Była połowa piątej lekcji i na korytarzach nie kręciło się zbyt wiele osób. Szybkim krokiem ruszyłem w stronę klasy Dimasa, starając się nie biec. Nie należał do moich najulubieńszych nauczycieli – jego dziwaczne sprawdziany były diabło trudne – ale zawsze sprawiał na mnie wrażenie człowieka, który nie traci głowy w nagłych przypadkach.

A jeśli tego, co mnie spotkało, nie można nazwać nagłym przypadkiem, to doprawdy nie wiem, co zasługuje na tę nazwę. No i przecież w gruncie rzeczy to była jego wina.

Prawie biegnąc, dotarłem do klasy. Pan Dimas siedział za biurkiem, oceniając stos prac domowych. Zapukałem do drzwi.

– Wejść – odparł, nie unosząc głowy i nie odrywając wzroku od zeszytu.

Otworzyłem drzwi i podszedłem do biurka. Cały czas pochylał się nad zadaniami.

– Panie Dimas. – Bardzo się starałem, by nie załamał mi się głos. – Ma pan chwilkę?

Nauczyciel uniósł wzrok, spojrzał mi w oczy i upuścił długopis. Po prostu upuścił. Schyliłem się, podniosłem go i odłożyłem na biurko.

– Coś się stało? – spytałem.

Pan Dimas zbladł i – potrzebowałem kilku chwil, by to zrozumieć – wyglądał na szczerze wystraszonego. Opadła mu szczeka. Pokręcił głową w sposób, który mój tato zawsze nazywa otrząsaniem się, i znów na mnie spojrzał. Wyciągnął prawą dłoń.

– Weź mnie za rękę – polecił.

– Uhm, panie Dimas...?

Nagle ogarnął mnie strach, że on też jest częścią obłądu, który zapanował w moim życiu, i ta myśl tak bardzo mnie przeraziła, że się zachwiałem. Bardzo potrzebowałem rady kogoś dorosłego.

Wciąż nie opuszczał ręki. Zauważyłem, że drżą mu palce.

– Wygląda pan, jakby zobaczył ducha – rzekłem.

Spojrzał na mnie ostro.

– To nie jest śmieszne, Joey. O ile jesteś Joeym. Weź mnie za rękę.

Wsunąłem dłoń między jego palce. Uścisnął ją niemal boleśnie, wyczuwając ciało i kości, a potem puścił i spojrzał na mnie.

– Istniejesz naprawdę – rzekł. – Nie jesteś halucynacją. Co to wszystko znaczy? Jesteś Joey Harker? Z całą pewnością wyglądasz jak on.

– Oczywiście, że jestem Joey.

Przyznaję, jeszcze chwila i rozbeczałbym się jak dziecko. Ten obłąd, czymkolwiek był, nie mógł przecież dotknąć i jego. Pan Dimas był zawsze taki trzeźwy i normalny. No, w pewnym sensie. Kiedy burmistrz Haenkle opisał go w swojej rubryce w kurierze z Greenville jako „szalonego jak pług śnieżny w czerwcu”, dokładnie pojąłem, co miał na myśli.

Musiałem jednak opowiedzieć komuś o tym, co się dzieje, i pan Dimas nadal wydawał mi się najlepszym kandydatem.

– Proszę posłuchać – powiedziałem ostrożnie. – Dzisiejszy dzień był... naprawdę dziwny. Uznałem, że tylko pan mógłby to jakoś wyjaśnić.

Choć nadal był blady jak mleko, pokiwał głową. I wtedy ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść! – zawołał pan Dimas z wyraźną ulgą.

To był Ted Russell. W ogóle na mnie nie spojrzał.

– Panie Dimas – rzekł. – Mam problem. Jeśli dostanę jedynkę z nauk społecznych, rodzice nie dadzą mi samochodu. A przypuszczam, że postawi mi pan jedynkę.

Najwyraźniej nawet w alternatywnej rzeczywistości pewne rzeczy się nie zmieniały: Ted wciąż był pilny inaczej. Kiedy wszedł do środka, na twarzy pana Dimasa dostrzegłem zawód. Teraz zastąpiła go irytacja.

– A czemu to miałyby być mój problem, Edwardzie?

To był pan Dimas, którego pamiętałem. Poczułem ulgę i odezwałem się bez zastanowienia:

– On ma rację, Ted. A poza tym niewypuszczenie cię na ulicę to przysługa dla wszystkich. Jesteś chodzącą zapowiedzią karambolu.

Ted odwrócił się ku mnie; miałem nadzieję, że nie uderzy mnie w obecności pana

Dimasa. Ted Russell lubił bić wszystkich mniejszych od siebie, co oznaczało przeważającą większość szkolnej populacji. Uniósł rękę, a potem zobaczył, że to ja.

Zamarł z uniesioną pięścią.

– Matko boska – rzekł; słyszałem każde słowo – to sąd nade mną. – I wybuchnął płaczem. A potem wybiegł z klasy. Biegł tak jak ja wcześniej, ile sił w nogach.

Spojrzałem na pana Dimasa, on także popatrzył na mnie. Potem zahaczył stopą nogę pobliskiego krzesła i przyciągnął je ku mnie.

– Usiądź – rzekł. – Opuść głowę, oddychaj powoli.

Posłuchałem. I dobrze, bo świat – a przynajmniej ta klasa – zaczął jakby falować. Po jakiejś minucie wszystko się uspokoiło i uniosłem głowę. Pan Dimas mnie obserwował.

Wyszedł z sali, wrócił po kilku sekundach z papierowym kubkiem.

– Pij.

Wypiłem wodę. Pomogło. Odrobinę.

– A wcześniej myślałem, że mam dziwaczny dzień. Teraz jest już zupełnie odjechany.

Może mi pan to wytłumaczyć?

Przytaknął.

– Częściowo owszem, bez trudu. W każdym razie mogę ci wyjaśnić reakcję Edwarda. I moją. Bo widzisz, w zeszłym roku Joey Harker miał wypadek. Utonął w Grand River Falk

Chwyciłem nadciągający obłęd i odepchnąłem go ze wszystkich sił.

– Nie utonałem – zaprotestowałem. – Mocno mnie poobijało i musieli mi założyć cztery szwy na nogę, a tato oznajmił, że to będzie dla mnie nauczką, której nigdy nie zapomnę, bo próba spłynięcia z wodospadu w beczce to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem, a ja odparłem, że nie zrobiłbym tego, gdyby Ted nie nazwał mnie tchórzem...

– Utonąłeś – odparł stanowczo pan Dimas. – Pomogłem wyciągnąć twoje ciało z rzeki. Przemawiałem na twoim pogrzebie.

– Och...

Przez chwilę obaj milczeliśmy, aż w końcu cisza stała się nieznośna i musiałem się odezwać.

– I co pan powiedział? – spytałem. A was na moim miejscu by to nie zainteresowało?

– Miłe rzeczy – odparł. – Mówiłem, że miałeś dobre serce i że podczas pierwszego półrocza wciąż się tutaj gubiłeś. Opowiadałem, jak musieliśmy wysyłać ekipy poszukiwawcze, by doprowadzić cię bezpiecznie na gimnastykę czy do pracowni chemicznej.

Czułem, jak pieką mnie policzki.

– Super – mruknąłem z całym sarkazmem, na jaki zdołałem się zdobyć. – Chciałbym,

żeby tak właśnie mnie zapamiętano.

– Joey? – spytał łagodnie pan Dimas. – Co ty tu robisz?

– Już mówiłem. Mam strasznie dziwny dzień.

Zamierzałem właśnie wszystko mu wyjaśnić i założyć się, że coś by wymyślił, nim jednak zdołałem powiedzieć coś jeszcze, w sali zrobiło się ciemno. Nie tak ciemno jak wtedy, gdy słońce chowa się za chmurą albo kiedy mówimy sobie: „Hej, ale ciemno, idzie straszna burza” czy nawet jak: „Rany, załóżę się, że tak właśnie wygląda zaćmienie słońca”. To była ciemność niemal dotykalna, coś namacalnego, wyraźnego i zimnego.

A w ciemności pojawiły się oczy.

Mrok zaczął się zlewać w kształt. To była kobieta. Miała długie czarne włosy i duże usta, jak modne gwiazdy filmowe za czasów mojego dzieciństwa. Była drobna, raczej chuda, a jej oczy jaśniały tak mocną zielenią, że wyglądały, jakby nosiła szkła kontaktowe. Tyle że ich nie nosiła.

Wyglądały jak oczy kota. Nie chodzi mi o kształt, po prostu patrzyła na mnie jak kot na ptaka.

– Joseph Harker – powiedziała.

– Tak – odparłem. Co, biorąc pod uwagę okoliczności, nie było chyba najmądrzejsze, bo wtedy rzuciła na mnie zaklęcie.

Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. Poruszyła palcem w powietrzu, kreśląc jakąś figurę – jaśniejący symbol, który wyglądał trochę jak chiński, a trochę jak egipski i zawisł w powietrzu po tym, jak jej palec przestał się poruszać. Jednocześnie coś powiedziała. To słowo zaczęło wibrować i odbijać się echem od ścian pokoju, i oba razem, słowo i gest, wypełniły mi głowę, a ja zrozumiałem, że muszę podążać za nią całe życie, nieważne dokąd pójdzie.

Pójdę za nią albo zginę, próbując to uczynić.

Drzwi się otwały. Do środka weszło dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie tylko kawał szmaty, coś jak pieluchę wokół pasa. Był łysy – z tego co widziałem, nie miał na ciele ani jednego włoska, co w połączeniu z pieluchą sprawiało, że wyglądał jak z koszmarnego snu, nawet bez tatuaży. Tatuaże jeszcze pogarszały efekt: pokrywały każdy skrawek jego skóry, od głowy po palce u nóg. Cały mienił się wyblakłymi błękitami, zieleniami, czerwieniami i czerniami, dziesiątkami kolorowych obrazków. Nie widziałem, co przedstawiają, choć stał niecałe dwa kroki ode mnie.

Drugi mężczyzna był ubrany w podkoszulek i dżinsy. Koszulka była o rozmiar za mała i niestety odsłaniała spory kawałek brzucha. A jego brzuch... no cóż, błyszczał. Jak meduza. Przez galaretowatą skórę widziałem kości, nerwy i inne rzeczy. Spojrzałem mu w twarz i

odkryłem, że wygląda tak samo. Jego skóra była jak oleista plama na kościach, mięśniach i ścięgnach. Widziałem je pod nią, niewyraźne i rozmazane.

Kobieta spojrzała na nich, jakby ich oczekiwała. Skinęła na mnie od niechcienia.

– Mam go – oznajmiła. – Jak odbieranie ambrozji żywiołakowi. Łatwizna. Teraz pójdzie za nami wszędzie.

Pan Dimas wstał.

– Posłuchaj, młoda damo – rzekł. – Nie możecie...

Wtedy jednak kobieta kolejny raz machnęła ręką i pan Dimas zmarł. No, mniej więcej. Widziałem, jak napina mięśnie, zupełnie jakby się próbował poruszyć, każdą komórką swego ciała, lecz bez powodzenia.

– Skąd nas zabiorą? – spytała.

Miała luzacki kalifornijski akcent, co mnie zirytowało. Zwłaszcza że wiedziałem, iż resztę życia spędzę, wszędzie za nią podążając.

– Na dworze jest złamany dąb – odparł człowiek-galareta głosem jak bulgoczące błoto.

– Zabiorą nas stamtąd.

– Dobrze. – Kobieta spojrzała na mnie. – Chodź – poleciła tonem kogoś, kto zwraca się do niespecjalnie lubianego psa. Odwróciła się i odeszła.

Ślepo posłuszny ruszyłem za nią, z każdym krokiem nienawidząc samego siebie.

# INTERLOG

## *Z dziennika Jaya*

*Późną nocą wróciłem do Bazy. Większość lokatorów mojego domu już spała, oprócz Jaia, który medytował, zawieszany w powietrzu ze skrzyżowanymi nogami, więc równie dobrze mógł spać. Przeszedłem na palcach do siebie, rozebrałem się i przez dwadzieścia minut stałem pod prysznicem, wyplukując z włosów błoto i zaschniętą krew. Następnie wypełniłem raport o stratach i uszkodzeniach, wyjaśniając, co się stało z moją kurtką i paskiem (kurtkę wymieniłem na informacje, a pasek, jeśli musicie koniecznie wiedzieć, okazał się całkiem niezłą opaską uciskową). A potem padłem jak trup i spałem do oporu.*

*Taki jest zwyczaj – nie budzimy kogoś, kto właśnie wrócił z misji. Dostaje dzień na przekazanie informacji, a potem dzień dla siebie. To uświęcona tradycja. Lecz nawet uświęcone tradycje wylatują przez okno w chwili, gdy wzywa Stary. A kiedy się ocknąłem, obok mojego łóżka leżała notatka na różowym papierze Starego, z poleceniem zameldowania się u niego, kiedy będę wolny. Co w jego języku oznacza natychmiast.*

*Włożyłem ciuchy i ruszyłem do biura dowódcy.*

*W Bazie jest nas pięć setek i każde zginęłoby za Starego. Nie dlatego, że on tego chce. On nas potrzebuje. My też siebie potrzebujemy.*

*Gdy tylko dotarłem do sekretariatu, zorientowałem się, że jest kiepsko. Jego asystentka natychmiast wezwała mnie gestem. Żadnego „cześć” ani nawet pytania o kawę. Jedyne:*

*– On już czeka, wejdz.*

*Biurko Starego zajmuje większą część jego pokoju. Zaścielają je sterty papierów i wymiętolonych teczek przytrzymywanych gumkami. Tylko bogowie wiedzą, jak on tam cokolwiek znajduje.*

*Na ścianie za nim wisi duży obraz, przedstawiający coś, co wygląda trochę jak wir, trochę jak tornado, a przede wszystkim jak kształt, który przybiera woda wypuszczana z wanny. To altiwersum – kształt, którego wszyscy przysięgliśmy strzec, chronić i w razie potrzeby oddać za niego życie.*

*Stary spojrzał na mnie swoim zdrowym okiem.*

*– Usiądź, Jay.*

*Wygląda na jakieś pięćdziesiąt lat, ale może być znacznie starszy. Jest też niezłe*



*poobijany. Jedno oko ma sztuczne – to produkt Binarium, z metalu i szkła. Wewnątrz migocą światełka, zielone, fioletowe i niebieskie. Kiedy patrzy nim na ciebie, masz wrażenie, że wnika ci wprost w głąb sumienia. Czujesz się wtedy jak pięciolatek – zresztą zupełnie tak samo, jak pod spojrzeniem zdrowego oka, które jest piwne jak moje.*

*– Spóźniłeś się – warknął.*

*– Tak jest – odparłem. – Przyszedłem, gdy tylko dostałem wiadomość.*

*– Mamy nowego Wędrowca. – Podniósł z biurka teczkę, przejrzał ją szybko i wyciągnął kartkę niebieskiego papieru. Podał mi ją. – Góra uważa, że może być mocny.*

*– Jak mocny?*

*– Nie wiem. Ale pozostaje niewiadomą. Gdziekolwiek się zwróci, po drodze uruchomi wszystkie możliwe alarmy i pułapki.*

*Spojrzał na kartkę. Typowa planeta przyjazna dla ludzi – jeden ze środkowych światów grubszej części Łuku. Nic przesadnie egzotycznego. Współrzędne także wyglądały dość zwyczajnie. Łatwa robota.*

*– Mam go tu ściągnąć?*

*Stary skinął głową.*

*– Tak, i to szybko. Gdy tylko się połapią, że się zjawił, obie strony wyślą po niego ekipy.*

*– Miałem dziś złożyć meldunek na temat misji Starlight.*

*– Joliet i Joy już to robią. Gdybym potrzebował jakichś uzupełnień, skontaktuję się z tobą. Ta sprawa ma priorytet. A kiedy skończysz, dostaniesz dwa dni wolnego.*

*Zastanawiałem się, czy naprawdę dostanę dwa dni. Nie miało to jednak znaczenia.*

*– Jasne, sprowadzę go tu.*

*– Możesz odejść – powiedział Stary. Wstałem, planując już krótką wizytę w zbrojowni. A potem w drogę. I Pomiędzy. Nim jednak dotarłem do drzwi, znów się odezwał. Nadal warczał, ale tym razem już przyjaźnie. – Pamiętaj, Jay, masz wrócić w jednym kawalku, i to szybko. Jeden Wędrowiec więcej, jeden mniej nie oznacza końca świata. Jeden oficer może. Nie mieszaj się w kłopoty. Masz tu być do jutra do siódmej rano.*

*– Tak jest – odparłem i zamknąłem drzwi.*

*Asystentka Starego wręczyła mi wniosek do zbrojowni, a potem się uśmiechnęła. Na imię ma Josetta.*

*– Też to powtarzam, Jay – rzekła. – Wróć do nas cało i zdrowo. Potrzebujemy wszystkich agentów polowych.*

*Kwatermistrz pochodzi z jednej z cięższych Ziemi – planet, na których człowiek ma*

wrażenie, że waży ćwierć tony, i często faktycznie tak jest. Zbudowany jak beczułka, jest ode mnie wyższy o dwadzieścia pięć centymetrów i także należy do klasy J. Kiedy na niego patrzę, czuję się, jakbym spoglądał w krzywe lustro w lunaparku, z rodzaju tych, które jednocześnie skrcają nas i powiększają.

Zamówiłem kombinezon polowy i patrzyłem, jak podrzuca go jak piórko. Kiedy złapałem kombinezon, o mało się nie wywróciłem – musiał ważyć ponad trzydzieści kilo. Uznałem, że kwatermistrz jest pewnie na mnie wściekły, bo straciłem kurtkę i pas.

Podpisałem odbiór kombinezonu. Rozebrałem się do koszulki i bokserek, włożyłem go i uruchomiłem, czując, jak pokrywa moje ciało od stóp do głów. A potem skupiłem się na nowym dzieciaku. Wyczulem go i zacząłem Wędrować ku niemu.

Pomiędzy było zimne, pozostawiło w mych ustach smak wanilii i drzewnego dymu. Znalazłem go bez problemów. A potem wszystko się posypało.

# Rozdział 5

Szedłem za czarownicą. Tuż za mną podążali Pan Meduza i Tatuowany Człowiek.

Miałem wrażenie, jakby w mej głowie zamieszkało dwóch ludzi. Jednym z nich byłem JA, wielki ja, który z jakiegoś powodu uznał, że najważniejszą rzeczą na świecie, w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, jest czarownica, za którą wymaszerowałem z liceum. Drugim człowiekiem w mojej głowie także byłem ja, lecz maleńki ja, który krzyczał bezdźwięcznie, przerażony obecnością wiedźmy, Tatuowanego Człowieka i Pana Meduzy i pragnął uciec, ratować się.

Problem w tym, że mały ja nic nie działał. Przeszliśmy przez boisko, kierując się w stronę starego dębu, w który parę lat temu trafił piorun i teraz jego kikut sterczał w niebo niczym spróchniały ząb. Słońce właśnie zaszło, lecz niebo wciąż było jasne. Zadrzałem.

Czarownica odwróciła się do Tatuowanego Człowieka.

– Scarabusie. Wezwij transport.

Mężczyzna skłonił głowę; pod niewyraźnymi obrazkami na jego ciele dostrzegłem gęsią skórę. Uniósł palec i dotknął nim jednego z tatuaży na szyi. Nagle zobaczyłem go bardzo wyraźnie – był to statek pod pełnymi żaglami. Mężczyzna zamknął oczy. Gdy je otworzył, jaśniały słabo.

– Statek „Lacrimae Mundi” do twoich usług, pani – rzekł odległym głosem, jak przez radio.

– Mam ze sobą naszą zdobycz. Proszę przybijać, kapitanie.

– Jak każesz, pani – odparł Tatuowany Człowiek. Potem zamknął oczy, zdjął rękę z tatuażu i gdy znów je otworzył, wyglądały normalnie. – I co? – spytał zwykłym głosem.

– Już dobijają – odparł Pan Meduza. – Spójrz!

Uniosłem głowę.

Statek – wydawał się wielki jak hala sportowa – który materializował się w powietrzu przed nami, wyglądał jak pirackie okręty oglądane w starych filmach: poplamione deski, wielkie wydęte żagle i figura dziobowa przedstawiająca mężczyznę z głową rekina. Sunął ku nam jakieś półtora metra nad ziemią, a gdy przepływał nad zieloną trawą boiska, ta falowała gwałtownie.

Wielkiego mnie nie obchodziły widmowe statki, płynące w powietrzu, dopóki

przebywał w towarzystwie swej magicznej pani. Mały ja, uwięziony w głębi głowy, miał nadzieję, że to jedynie gwałtowna reakcja na nowy lek, który wypróbowywali na mnie mili lekarze ze szpitala dla psychicznie chorych, gdzie z pewnością trafiłem.

Z pokładu zrzucano drabinkę sznurową.

– Wchodź – poleciła czarownica. I wszedłem.

Gdy dotarłem do relingu, silne ręce pochwyciły mnie i rzuciły na pokład jak worek kartofli. Otaczali mnie mężczyźni postury zapaśników, ubrani jak marynarze z pirackich filmów. Głowy mieli obwiązane chustami, nosili stare bluzy i wytarte dżinsy, chodzili na bosaka. Zajmowali się właśnie czarownicą, podciągając ją ostrożnie na pokład. Gdy tylko się na nim znalazła, cofnęli się szybko. Pewnie nie chcieli dotknąć człowieka-meduzy ani Scarabusa i jego tatuaży, i przyznam, że wcale im się nie dziwiłem.

Jeden z marynarzy spojrzał na mnie.

– To o niego tyle zamieszania? – spytał. – O tego wymoczka?

– Tak – odparła zimno czarownica. – O tego wymoczka.

– Rany – mruknął żołnierz. – To co, wyrzucimy go za burtę? Kiedy już odbijemy?

– Zrób mu krzywdę, nim dotrzemy do RUN, a każdy mag z Tarnu będzie na ciebie polował – rzekła. – Umrze po naszymu. Jak myślisz, co właściwie napędza ten wasz statek? Zabierz go do mojej kwatery.

Odwróciła się do mnie.

– Josephie, masz iść z tym człowiekiem. Zostań tam, gdzie ci każe. W przeciwnym razie będę bardzo niezadowolona.

Na myśl, że mógłbym ją zranić, zabolalo mnie serce – dosłownie: w piersi poczułem przeszywające ukłucie. Wiedziałem, że nigdy nie zdołam zrobić niczego, co mogłoby ją zasmucić. Jeśli będzie trzeba, zaczekam na nią aż do kresu świata.

Marynarz poprowadził mnie po schodach, wąskim korytarzem pachnącym pastą do podłogi i rybami. Na końcu korytarza ujrzałem drzwi. Otworzyliśmy je.

– Proszę, mój mały wymoczku – rzekł. – Oto kwatery pani Indygo na czas podróży do RUN. Zostań tu i zaczekaj na nią. Gdybyś musiał sobie ulżyć, za tymi drzwiami znajdziesz łazienkę. Skorzystaj z niej, nie zabrudź się. Gdy będzie gotowa, przyjdzie. Najpierw musi wykreślić kurs z kapitanem.

Mówił do mnie tak, jak ludzie przemawiają do swoich zwierząt, małych czy dużych, tylko po to, by słyszeć dźwięk własnego głosu.

Wyszedł.

Poczułem szarpnięcie i za okrągłym okienkiem ujrzałem wieczorne niebo,

rozpływające się w morzu gwiazd, tysiący gwiazd na tle aksamitnej czerni. Płynęliśmy.

Musiałem tam stać wiele godzin, czekając przy drzwiach.

W pewnym momencie poczułem, że chce mi się siku, i otworzyłem wskazane przez marynarza drzwi. Przypuszczam, że spodziewałem się czegoś ciasnego i staroświeckiego, ujrzałem jednak małą, ale luksusową łazienkę z wielką różową wanną i małą toaletą z różowego marmuru. Skorzystałem z niej, po czym spuściłem wodę. Umyłem ręce różowym mydłem pachnącym różami i wytarłem ręce puszystym różowy ręcznik.

A potem wyjrzałem przez okrągłe okno.

Nad statkiem jaśniały gwiazdy, pod statkiem także je widziałem: niezliczone punkciki światła. Było ich więcej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałem. I wyglądały inaczej. Nie rozpoznałem żadnego z gwiazdozbiorów, których nauczył mnie tato, gdy byłem mały. Wydawało się, że wiele z nich jest nieprawdopodobnie blisko – dość blisko, bym widział świecące koła, wielkie jak słońce. Lecz jakimś cudem na zewnątrz nadal panowała noc.

Zastanawiałem się, kiedy dotrzemy tam, dokąd zmierzamy.

Zastanawiałem się, dlaczego chcą mnie tam zabić.

A gdzieś wewnątrz mnie maleńki Joey Harker krzyczał, wrzeszczał i szlochał, próbując zwrócić na siebie uwagę.

Miałem nadzieję, że pani Indygo nie wróciła i nie odkryła, że na nią nie czekam. Sama myśl, że mógłbym ją zawieść, była jak pchnięcie nożem w serce. Wybiegłem zatem i stanąłem na baczność, licząc, że niedługo wróci. Byłem przekonany, że gdyby nie wróciła, to umarłbym.

Po kolejnych dwudziestu minutach drzwi się otwarły i moją duszę zalała fala szczęścia, absolutnego, czystego szczęścia. Przyszła moja pani Indygo wraz ze Scarabusem.

Nie zaszczyliła mnie nawet spojrzeniem. Usiadła na małym różowym łóżku, tatuowany człowiek zatrzymał się przed nią.

– No, nie wiem – rzekła, najwyraźniej odpowiadając na pytanie, które zadał jej w korytarzu. – Nie wyobrażam sobie, jak ktokolwiek mógłby nas tu znaleźć. A gdy tylko dotrzemy do RUN, będziemy mieć strażników, czujki i zakłęcia ochronne, którym nie dorównuje nic w całym altiwersum.

– Mimo wszystko – odparł z nadąsaną miną – Neville twierdzi, że wykrył zakłócenie kontinuum. Mówi, że coś się zbliża.

– Neville – odparła słodko – to galaretowaty panikarz. „Lacrimae Mundi” żegluje z powrotem do RUN poprzez Nigdzie-Nigdzie. Jesteśmy praktycznie niewykrywalni.

– Praktycznie – wymamrotał.

Pani Indygo wstała i podeszła do mnie.

– Jak się miewasz, Josephie Harkerze?

– Jestem szczęśliwy, że znów cię widzę, moja pani – odparłem.

– Czy cokolwiek niezwykłego wydarzyło się podczas mojej nieobecności?

– Niezwykłego? Nie sędzę.

– Dziękuję, Josephie. Nie musisz się więcej odzywać, dopóki ci nie każę. – Zacisnęła pełne wargi i z powrotem usiadła na łóżku. – Scarabusie, skontaktuj się, proszę, ze stolicą RUN.

– Tak, pani.

Dotknął tatuażu na brzuchu, wyglądającego trochę jak coś z baśni z tysiąca i jednej nocy, trochę jak zamek Draculi i trochę jak świat widziany z kosmosu. Zamknął oczy. Gdy znów je otworzył, jego źrenice migotały – nie jaśniały spokojnym blaskiem, jak wówczas gdy przywołał na boisko statek.

Nagle przemówił niskim głosem, brzmiącym, jakby ktoś zanurzył Dartha Vadera w olbrzymiej kadzi syropu klonowego.

– Indygo? Co się stało?

– Mamy chłopca, Harkera, mój panie Psinożu. To Wędrowiec najwyższej klasy; zasili wiele statków.

– Doskonale – odparł kleistosłodki bas. Mimo zaklęcia, które na mnie rzuciła, na dźwięk tego głosu czułem dreszcze. – Jesteśmy gotowi do ataku na światy Lorimare. Widmowe bramy, które przywołamy, uniemożliwią kontratak i odwet. Gdy je uruchomimy, zwykle współrzędne Lorimare skierują wszystkich do kapryśnych światocieni, pozostających pod naszą kontrolą. Teraz, gdy zdobyliśmy kolejnego świetnego Harkera, będziemy mieć dość mocy, by posłać flotę. Imperator światów Lorimare już jest jednym z nas.

– Mamy Cel, panie Psinożu.

– Mamy Wolę, pani Indygo. Kiedy dotrzecie na miejsce?

– Za co najmniej dwanaście godzin.

– Doskonale. Przygotuję każdą dla Harkera.

Pani Indygo spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, a moje serce zatrzepotało w piersi, śpiewając jak kardynał na wiosnę.

– Chciałabym zatrzymać sobie pamiątkę po tym Harkerze – oznajmiła. – Może zwitek włosów albo kostkę dłoni?

– Wydam stosowne rozkazy. A teraz żegnam.

Tatuowany człowiek zamknął oczy. Gdy znów je otworzył, odezwał się własnym

głosem.

– Au. Od tego wszystkiego potwornie rozboleła mnie głowa. Co u Psinoża?

– Wszystko świetnie – odparła. – Planuje atak na światy Przejścia.

– Lepiej on niż ja. – Scarabus pomasażował skronie. – Przydałby mi się spacer po pokładzie. Chętnie odetchnę świeżym powietrzem.

Skinęła głową.

– O tak. Przez ostatnie kilka godzin ślęczałam nad mapami, wdychając wonie posiłku kapitana: surowej cebuli i koziego sera. – Spojrzała na mnie. – Ale wolałabym nie zostawiać tu Harkera.

Scarabus wzruszył chudymi, niebiesko-czerwonymi ramionami.

– To go zabierz.

Skinęła głową.

– Doskonale – rzekła. – Chwileczkę. – Weszła do małej różowej łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Tatuowany człowiek spojrzał na mnie.

– Ty żalosne stworzenie – rzekł. – Jak jagnię na rzeź.

Pani Indygo poleciła mi się nie odzywać, więc milczałem.

Ktoś zapukał do drzwi kabiny. Scarabus je otworzył.

Nie widziałem, co się potem stało, bo drzwi przysłaniały mi widok. Usłyszałem jednak łoskot i sapnięcie, i Scarabus runął na ziemię. Człowiek, który wszedł do środka, miał kapelusz, płaszcz i srebrną twarz. Uniósł dłoń na powitanie, a potem zrzucił okrycie. Od stóp do głów powlekał go dziwaczny srebrny kombinezon; wyglądał jak człowiek ubrany w lustro. Przeturlał nieprzytomnego Scarabusa za łóżko i okrył go płaszczem.

Słyszałem szum wody w umywalce i wiedziałem, że moja pani Indygo myje ręce różowym mydłem pachnącym różami. Musiałem ją ostrzec, że zjawił się Jay i że ma wobec niej złe zamiary. Spróbowałem coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mi mówić.

Jay – jeśli nim właśnie był człowiek w lustrzanym kombinezonie – uniósł rękę do piersi i nacisnął coś tuż nad sercem.

Kombinezon zafalował. Zmienił się i...

Przedemną stał Scarabus. Gdyby nie to, że za łóżkiem wciąż widziałem wystającą spod płaszcza stopę prawdziwego tatuowanego człowieka, pomyślałbym, że to naprawdę on. Złudzenie było tak rzeczywiste.

Moja pani Indygo wyszła z łazienki.

Każ mi przemówić, błagałem ją w myślach. Każ mi przemówić, a powiem, że grozi ci

niebezpieczeństwo. To nie jest twój przyjaciel. Tylko mnie naprawdę na tobie zależy, ale nie mogę cię ostrzec.

– No dobrze – rzekła. – Chodźmy na pokład. Jak twoja głowa?

Mężczyzna, który wyglądał jak Scarabus, wzruszył ramionami. Domyśliłem się, że kombinezon nie potrafi naśladować głosów. Pani Indygo nie naciskała, odwróciła się i wymaszerowała.

– Chodź za mną, niewolniku Harkerze i trzymaj się blisko! – zawołała.

Ruszyłem za nią na pokład. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, bym miał tego nie zrobić. (Joey ukryty głęboko wewnątrz mnie cały czas krzyczał, wrzeszczał, że powinienem stawić opór, uciec, zrobić cokolwiek. Ja szedłem dalej. Jego słowa nic nie znaczyły).

Nad nami pola gwiazd wirowały, mrugały i tańczyły. Gdy tylko Neville, człowiek-galareta, zauważył nasze przybycie, natychmiast pośpieszył ku nam.

– Sprawdziłem wszystkie instrumenty i omeny – oznajmił nadętym tonem, głosem przypominającym bulgotanie błota. – A także astrolabium. Wszystko się zgadza, mamy na pokładzie pasażera na gapę. Ktoś przybył na „Lacrimae Mundi” jakąś godzinę temu, wtedy gdy poczułem coś w głębi brzucha.

– A to naprawdę potężny brzuch – wtrącił lustrzany człowiek udający Scarabusa, jego głosem. Myliłem się zatem, kombinezon je także potrafił naśladować.

– Puszczam tę uwagę mimo uszu – rzekł galaretowaty człowiek.

– Jakiego pasażera na gapę, Neville? – spytała pani Indygo.

– To może być jeden z ludzi Wdzięcznej Zeldy, próbujący przechwycić Harkera, by mogli sobie przypisać zasługę – rzekł Scarabus. – Wiesz, jak bardzo cię nienawidzi. Z radością dostarczyłaby twojego Harkera do RUN.

– Zelda. – Pani Indygo skrzywiła się, jakby coś ugryzła i odkryła, że roi się w tym od robaków.

Neville z nieszczęśliwą miną splótł na piersi galaretowate ręce.

– Chce zdobyć moją skórę – rzekł. – Od lat tego pragnie. Zamierza uszyć sobie szatę, która ochroni ją przed zimnem, a jednocześnie niczego nie ukryje.

Nim zdążył powiedzieć coś jeszcze, Scarabus – Jay udający Scarabusa – spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

– Pani ma – rzekł – skąd wiesz, czy to wciąż twój Harker? A jeśli to jakiś odmieniec? Mogli już wykraść chłopca i pozostawić coś, co tylko wygląda jak on, jakieś magiczne stworzenie. Łatwo to zrobić, nawet tutaj.

Pani Indygo zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie, a potem nakreśliła dłonią coś w



powietrzu i wyśpiewała trzy czyste dźwięki.

– Już – powiedziała. – Zdjęłam wszystkie zaklęcia, które miałeś na sobie. Zobaczmy, kim jesteś naprawdę.

Nagle pojąłem, że znów mogę mówić, jeśli tylko zechcę.

Teraz mogłem robić wszystko, co zechcę.

Znów kierowałem sam sobą i nie macie nawet pojęcia, jak dobrze się z tym czułem.

– No dobra, Joey – rzucił fałszywy Scarabus. Jego twarz i ciało zafalowały i rozbłysły srebrem.

– Jay? Czy to ty?

– Oczywiście, że to ja! Chodź! – Chwycił mnie pod pachę i pobiegł.

\* \* \*

Niemal dotarliśmy do relingu, gdy przed nami coś eksplodowało zielenią jak kapiszon i Jay krzyknął cicho z bólu. Przekręciłem głowę, zerkając na jego drugie ramię. Pokrywająca je lustrzana materia zniknęła, odsłaniając płataninę obwodów i skórę, która niemal cała krwawiła; na plecach ponizej wciąż widziałem karykaturalnie zniekształcone odbicia pani Indygo, Neville'a i Scarabusa.

Upuścił mnie.

Staliśmy przy burcie statku, po jej drugiej stronie ciągnęła się... nicość. Tylko księżycy, gwiazdy i galaktyki, bez końca.

Pani Indygo uniosła rękę, na jej dłoni ujrzałem małą kulę zielonego ognia.

Neville trzymał wielki, paskudny miecz. Nie mam pojęcia, skąd go wziął, lecz ostrze połyskiwało i ociekało wilgocią, zupełnie jak jego skóra. Ruszył ku nam.

Usłyszałem coś nad głową. Wśród olinowania roilo się od marynarzy, a każdy był uzbrojony w nóż.

Sytuacja z całą pewnością nie wyglądała najlepiej.

Usłyszałem tupot na pokładzie.

– Nie strzelaj, pani! Wstrzymaj ogień! – Prawdziwy Scarabus zbliżał się ku nam.

Nie sprawiał wrażenia zbawcy.

– Proszę – rzekł – pozwól mi to zrobić. To wymaga czegoś wyjątkowego.

Wyciągnął ku nam pokrytą tatuażami rękę, a drugą sięgnął do bicepsu. Dostrzegłem na nim niewyraźny wizerunek oplatającego ramię wielkiego węża. Byłem pewien, że kiedy go dotknie, wąż zmaterializuje się przed nami – prawdziwy, olbrzymi i bez wątpienia głodny.

Pozostało nam tylko jedno, więc to zrobiliśmy.

Skoczyliśmy.

# INTERLOG 2

## *Z dziennika Jaya*

*Kiedy spoglądam w przeszłość, widzę, że popełniłem parę poważnych błędów. Najpoważniejszym była decyzja spotkania nowego dzieciaka przed domem jego rodziców w nowym świecie, do którego dotarł.*

*Miałem nadzieję, że nie zacznie Wędrować w świecie, w którym się znalazł, dopóki do niego nie dotrę. Lecz nadzieja nie płaci dywidend, jak często mawia Stary. („Jeśli nie pozostaje wam nic innego, miejcie w sobie nadzieję” – rzekł kiedyś. „Ale jeżeli macie coś jeszcze, to na miłość boską, po prostu to zróbcie!”). Bo Joey zaczął już Wędrować.*

*Niedaleko. Zrobił to, co większość nowych Wędrowców: przeszedł do świata, w którym nie istniał. Znacznie trudniej jest Wędrować do świata, w którym „my” już istniejemy. Przypomina to trochę odpychanie biegunów magnetycznych. Potrzebował wyjścia, więc prześliznął się do świata, w którym go nie było.*

*Co oznaczało dodatkowe czterdzieści minut potrzebne, by go zlokalizować, i wędrówkę z jednej płaszczyzny na drugą. W końcu go wytropiłem – siedział w miejskim autobusie i jechał do domu. Czy raczej do miejsca, które wziął za swój dom.*

*A ja zaczękałem na zewnątrz. Zapewne uznałem, że kiedy się przekona, co na niego czeka, będzie bardziej podatny na argumenty.*

*Lecz, jak zauważył tego ranka Stary, gdy zaczął Wędrować, musiał uruchomić wszystkie alarmy w całym altiwersum.*

*A kiedy wybiegł z domu, nie nadawał się do rozmowy. Co oznaczało, że staliśmy się idealnym celem dla retariich Binarium na ich grawitronach, wymachujących wokół sieciami.*

*Biorąc pod uwagę alternatywę, sam nie wiem, kogo nienawidzę bardziej: Binarium czy RUN.*

*RUNy wyciągają z młodych Wędrowców ich esencję, dosłownie – zamykają nas w wielkich garnkach, jak te w dowcipach rysunkowych z ludożercami, drukowanych w gazetach – i otaczają siecią zaklęć i czujek, a potem gotują tak długo, aż pozostaje jedynie nasza esencja – czy, jeśli wolicie, dusza – którą następnie zamykają w szklanych słojach. Za pomocą tych słoików zasilają statki, służące do podróży międzyświatowych.*

*Binarium traktuje Wędrowców inaczej, ale nie lepiej. Zamrażają nas w temperaturze -*

20 stopni, wieszają na hakach, a potem zamykają w olbrzymich hangarach na swej ojczystej planecie, z podłączonymi do głów i karków przewodami i rurkami. Trzymają nas tak, nie do końca martwych, ale też zdecydowanie dalece nie żywych, wysączając z nas energię i używając jej do podróży między płaszczyznami.

*Jeśli można nienawidzić jednakowo dwóch organizacji, to tak właśnie jest ze mną.*

Joey zatem postąpił najrozsądniej w danych okolicznościach – nieświadomie, ale najrozsądniej – kiedy zjawiły się zbiry z Binarium. Znowu Wędrował między światami.

*Bez kłopotów wyeliminowałem z gry trzech retariich.*

A potem znowu musiałem go znaleźć. I jeśli sądziłem, że za pierwszym razem było niełatwo... Cóż, tym razem popędził na oślep przez altiwersum, przebijając się przez setki warstw prawdopodobieństwa jak przez bibułki. Zupełnie jak byk w składzie porcelany – czy raczej paru tysiącach identycznych składów porcelany.

*Ruszyłem więc za nim. Ponownie.*

To dziwne: zapomniałem, jak bardzo nie znoszę tych nowszych Greenville. Greenville, w którym dorastałem, wciąż miało bary z hamburgerami dla zmotoryzowanych z kelnerkami na wrotkach, czarno-białe telewizory i Zielonego Szerszenia w radio. W tych Greenville na dachach domów tkwiły miniaturowe anteny satelitarne, a ludzie podróżowali samochodami wyglądającymi jak olbrzymie jajka bądź napakowane sterydami dziipy. Nie widuje się już na nich spojlerów. Mieli kolorowe telewizory, gry wideo, kina domowe i Internet. Nie mieli już natomiast miasta. Nawet nie zauważyli, kiedy odeszło.

Dotarłem do dość odległego Greenville i w końcu poczułem Joeya jak rozbłysk flary w umyśle. PoWędrowałem ku niemu i ujrzałem statek RUN z wydętymi żaglami i przegiętym olinowaniem, znikający w Nigdzie-Nigdzie.

*Zgubiłem go. Znowu. Tym razem pewnie na dobre.*

*Usiadłem na boisku piłkarskim i zacząłem się zastanawiać.*

*Miałem dwa wyjścia. Jedno łatwe. Drugie trudne jak sukinsyn.*

Mogłem wrócić i powiedzieć Staremu, że mi się nie udało. Że agenci RUN złapali Josepha Harkera, który dysponował większą mocą międzyświatową niż dowolnych dziesięciu Wędrowców razem. Że to nie moja wina. I zostawilibyśmy ten temat. Może trochę by mnie ochrzanił, może nie. Ale doskonale zdawałby sobie sprawę, że sam będę się tym zadrećzał bardziej, niż on zdołałby kiedykolwiek.

Albo mógłbym spróbować niemożliwego. Droga z powrotem do RUN jednym z tych galeonów zabiera mnóstwo czasu. Mógłbym spróbować znaleźć Joeya Harkera i jego prześladowców w Nigdzie-Nigdzie. To jedna z rzeczy, na temat których żartujemy sobie w

*Bazie. Nikt nigdy tego nie dokonał. Nikt nie zdołał.*

*Nie potrafiłem stanąć przed Starym i powiedzieć, że schrzaniłem sprawę. Łatwiej było spróbować niemożliwego.*

*Zatem to zrobiłem.*

*PoWędrowałem w Nigdzie-Nigdzie i odkryłem coś, o czym nikt z nas nie miał pojęcia: te statki pozostawiają po sobie ślad, niemal wzór, zakłócenie w gwiazdnym polu, przez które przelatują. Jest bardzo słabe i tylko Wędrowiec może je wyczuć.*

*Poszedłem za nim.*

*Musiałem poinformować o tym Starego. To było ważne. Zastanawiałem się, czy spodki Binarium pozostawiają ślady, które można odnaleźć w Szumie.*

*My, z InterŚwiata, mamy tylko jedną przewagę: potrafimy dotrzeć na miejsce na długo przed nimi. To, co im zajmuje godziny, dni albo tygodnie podróży przez Szum bądź Nigdzie-Nigdzie, my potrafimy zrobić w sekundy bądź minuty dzięki Pomiędzy.*

*Pobłogosławiłem kombinezon ochronny, który do minimum ograniczał uderzenia wiatru i zimno. A także chronił mnie przed sieciami retariich.*

*W dali widziałem statek z flagami RUN łopoczącymi w nicości. W umyśle czułem Joeya, płonął jak pochodnia. Biedny mały. Zastanawiałem się, czy wie, co go czeka, jeśli mi się nie uda.*

*Wylądowałem na statku od dołu i z tyłu, przytrzymując się desek pomiędzy sterem i rufą. Odczekałem chwilę. Na pokładzie mieli co najmniej paru magów najwyższej klasy, a choć kombinezon osłaniał mnie przed nimi do pewnego stopnia, nie mógł ukryć faktu, że coś się zmieniło. Dałem im dość czasu, by przeczesali statek i niczego nie znaleźli. Potem wszedłem do środka przez bulaj i podążyłem śladem do miejsca, gdzie trzymali chłopaka.*

*Rejestruję to wszystko Pomiędzy, w powrotnej drodze do Bazy. To mi ułatwi jutrzejszy raport.*

*Wiadomość dla Starego: kiedy to się skończy, chcę dostać oba dni wolne. Zasłużyłem na nie.*

## Rozdział 6

No, jeśli mam być w stu procentach szczery, to nie skoczyliśmy. Jay skoczył, a że trzymał mnie za kurtkę, nie miałem specjalnego wyboru. Moje wyjście pasowało bardziej do tradycji Trzech Błaznów niż Errola Flynna. Przy lądowaniu pewnie skręciłbym sobie kark.

Tyle że nie wylądowaliśmy.

Nie było gdzie wylądować. Po prostu spadaliśmy dalej. Spojrzałem w dół i ujrzałem gwiazdy przeświecające przez leżące pod nami warstwy cienkiej mgły. Po naszej lewej coś eksplodowało zielenią, odrzucając nas w prawo. Lecz do eksplozji doszło zbyt daleko, by cokolwiek nam zrobiła. Nad nami statek szybko zmałał do wielkości kapsla, a potem zniknął w ciemności, a Jay i ja pędziliśmy w dół, w ciemność.

Słyszeliście pewnie, jak spadochroniarze rozpluwają się nad skokami swobodnymi, twierdząc, że przypominają latanie? Kłamią. Upadek wciąż przypomina upadek. Wiatr skowycze ci w uszach, wpada do ust i nosa i nie masz ani grama wątpliwości, że na dole czeka cię śmierć. Istnieje powód, dla którego nazywają to „prędkością graniczną” – to granica życia.

To nie był skok ze spadochronem i znajdowaliśmy się daleko od Ziemi bądź jakiegokolwiek innej planety, ale z całą pewnością spadaliśmy w dół. Musieliśmy spadać co najmniej pięć minut, gdy Jay w końcu złapał mnie za ramiona i obrócił tak, by moje ucho znalazło się obok jego ust. Wykrzyknął coś, lecz choć jego wargi dzieliło ode mnie zaledwie parę centymetrów, nic nie zrozumiałem.

– Co?! – odkrzyknąłem.

Przyciągnął mnie jeszcze bliżej.

– Pod nami jest portal! Wędruj!

Kiedy pierwszy i ostatni raz próbowałem chodzić w powietrzu, miałem pięć lat – z błogą nieświadomością zszedłem z dwumetrowego ogrodzenia z pustaków i zламаłem sobie obojczyk. Mówią, że kot, który raz wskoczy na rozgrzaną kuchenkę, nigdy więcej nie wejdzie nawet na zimną, i przypuszczam, że jest w tym jakaś prawda – ja z całą pewnością nie próbowałem więcej wyhodować sobie skrzydeł.

Aż do teraz. Teraz nie miałem wyboru.

Jay wyraźnie widział, co sobie myślę.

– Ruszaj, bracie, albo będziemy lecieć przez Nigdzie-Nigdzie, dopóki wiatr nie zedrze nam ciała z kości. Wędruj! Nie na nogach, w umyśle!

Nie miałem pojęcia, jak zrobić to co mi kazał, tak jak ropucha nie wie, jak wyrechotać „Dziadka do orzechów”. Lecz z całą pewnością co do jednego miał rację – nie istniało inne wyjście z naszych tarapatów. Odetchnąłem zatem głęboko i spróbowałem się skoncentrować.

Fakt, że nie miałem pojęcia, na czym się koncentruję, nie pomógł. Wędruj, polecił mi Jay. Ale do tego potrzebowałem twardego gruntu pod nogami. Na tym więc właśnie się skupiłem – na moich stopach wędrujących po twardym gruncie.

Z początku nic się nie zmieniło. Potem zauważyłem, że wyjący wiatr uderzający nas od dołu jakby słabnie. Jednocześnie mgła zgęstniała, pod nami nie widziałem już gwiazd, a te otaczające nas wydzielają dziwne światło.

Teraz bardziej szybowaliśmy niż spadaliśmy. Przypominało to upadek we śnie i żadnego z nas nie zdziwiło, gdy wylądowaliśmy na czymś, co wyglądało jak chmura.

Przypuszczam, że Jay robił już wcześniej dziwniejsze rzeczy i dlatego przyjął to spokojnie, można by rzec, nawet nie zwalniając kroku. Co do mnie, dotarłem właśnie do punktu nasycenia. Biorąc pod uwagę, co dziś przeżyłem, doszedłem do wniosku, że zapewne wszystko to dzieje się między moimi uszami. Że w jakiś sposób usmażyłem płytę główną swojego mózgu i pewnie w tej chwili mam na sobie kaftan z długimi rękawami i kłódkami zamiast spinek do mankietów. Najpewniej umieścili mnie w ośrodku w Rooks Bay, zamknęli w pomieszczeniu wyłożonym czymś miękkim i karmili samymi papkami. Przygnębiająca perspektywa, ale miała też pewną zaletę – nic więcej nie mogło mnie zaskoczyć.

Myśl ta dodawała mi otuchy przez jakieś dwie minuty – a potem mgły rozpląnęły się całkowicie i przekonałem się, gdzie jesteśmy.

Już wcześniej, kiedy Joey przedostał się przez szparę w powietrzu, wychodząc mi na spotkanie, dostrzegłem to... miejsce? Uwarunkowanie? Stan umysłu? Teraz ujrzałem to samo, tyle że tym razem obaj byliśmy w środku.

– Dobra robota, Joey – rzekł Jay. – Doprowadziłeś nas tutaj. Udało ci się.

Rozglądałem się, obracając powoli. A było tam mnóstwo do oglądania.

Nie staliśmy już na chmurze, lecz na fioletowej ścieżce, która wijąc się zawieszona w powietrzu, prowadziła... w nieskończoność. Nie było żadnego horyzontu – miejsce, w którym się znaleźliśmy, jakby nie miało granic ani nieba. Odległości jedynie ginęły w jeszcze większej dali. Jay stał obok mnie na pasie brązu wiodącym mniej więcej w tę samą stronę. Czasami przechodził nad moją ścieżką, czasami pod. Jaskrawe kolory raziły w oczy, a obie ścieżki połyskiwały niczym farbowany poliester.

Lecz to nie było wszystko. To zaledwie ułamek wszystkiego.

Jakiś metr ode mnie, na poziomie oczu unosił się geometryczny kształt, większy od mojej głowy, pulsujący i zmieniający się nieustannie, ukazujący raz pięć ścian, raz siedem, to znów szesnaście. Nie potrafiłbym wam wyjaśnić, z czego go zrobiono, tak jak nie umiałbym wytłumaczyć, czemu zachowuje się tak, jak się zachowuje. Przypuszczam, iż można by rzec, że był zrobiony z czegoś żółtego, bo ten właśnie kolor go przesycił. Dotknąłem go ostrożnie jednym palcem – miał fakturę linoleum.

Spojrzałem w inną stronę – i ledwie zdążyłem uskoczyć, gdy coś przemknęło obok mnie, zygzakując losowo i przebijając się przez otaczający je chaos. Chwilę później wdepnąłem w kałużę czegoś, co wyglądało jak rtęć, tyle że miało kolor cynamonu, a sama kałuża wisiała pod kątem czterdziestu pięciu stopni do mojej ścieżki. Fale i krople zwalniały, rozchodząc się coraz dalej, aż w końcu, osiągnąwszy szczytowy poziom rozbryzgu, zamarły.

Podobne rzeczy działy się wszędzie wokół nas, bez przerwy. W powietrzu niedaleko Jaya otworzyło się coś wyglądającego jak stylizowane usta; ziewało coraz szerzej i szerzej, aż w końcu usta zwinęły się w tył i połknęły same siebie. Spojrzałem w dół; pod moimi stopami chaos ciągnął się dalej. Kształty geometryczne obracały się i szybowały, zmieniając się i zlewając ze sobą wśród pulsujących kolorów. W powietrzu czułem woń miodu, terpentyny, róż... Przypominało to owoc trójwymiarowej współpracy Salvadora Dali, Picassa i Jacksona Pollocka, doprawiony hojną szczyptą Hieronima Boscha i strasznie fajnych starych kreskówek Warnera.

To tyle w kwestii mojego obłądu, pomyślałem. Nie leżałem na wózku, oglądając myślowe obrazy i czekając, aż jakiś doktor wetknie mi do ust obity czymś miękkim patyk i włada w czaszkę dość woltów, by ożywić potwora Frankensteina. Nie. To było prawdziwe. Musiało być. Nikt, normalny bądź nie, nie zdołałby wyobrazić sobie czegoś podobnego.

Nie tylko moje oczy nie mogły ogarnąć tego wszystkiego. Otaczała nas nieustanna kakofonia – coś trzeszczało, dzwoniły dzwony, otwierały się przepaście, zasysały wiry... Przestałem próbować identyfikować wszystkie dźwięki, tak jak zrezygnowałem z prób obejrzenia wszystkiego. Potrzebowałbym oczu nie tylko z tyłu głowy, ale też na jej czubku i w podeszwach butów.

A te zapachy! Oszłomiła mnie przesywająco intensywna fala mięty, którą zastąpiła woń rozgrzanej miedzi. Większości nie umiałem rozpoznać. Znaczna część obrazów, dźwięków i zapachów była synestetyczna – słyszałem kolory, widziałem smaki. Stary pan Telfilm z naszej ulicy twierdził, że jest synestetykiem, i wciąż opowiadał każdemu, kto zechciał słuchać, jak ostro pachnie niebo i że smak makaronu jest turkusowy i dźwięczy w



tonacji C. Teraz w końcu pojąłem, o czym mówił.

Zorientowałem się, że Jay trzyma mnie zdrową ręką za ramię i potrząsa.

– Joey! Słuchaj, musimy się stąd zabierać. Nie masz sprzętu ochronnego, bez niego nie wytrzymasz długo Pomiedzy.

– Gdzie?

Niechętnie odwróciłem wzrok od czegoś, co wyglądało jak naprawdę fajny pokaz graficzny – ogromne wieże, materializujące się i wznoszące tylko po to, by się rozpląnąć w jeziora rtęci i zacząć od nowa. Jay chwycił mnie i przygwoździł metalicznym spojrzeniem.

– Musimy ruszać, z tak rozwaloną ręką nie dam rady doprowadzić nas do InterŚwiata Jeden. Ból za bardzo mnie rozprasza, a gdybym zażył jakieś leki, zupełnie uniemożliwiłyby mi koncentrację. Ty będziesz musiał znaleźć drogę.

Popatrzyłem na niego zdumiony. Piętnaście metrów dalej trapezoid doścignął i zapędził w kąt mniejszy romboid, a potem „zjadł” go, nakrywając i pochłaniając. Dokładnie nade mną pojawiło się znikąd zupełnie zwyczajne okno. Zasłony uniosły się, szyba poleciała w górę, odsłaniając wyjąca czerń, z której dobiegały żalosne krzyki, jęki i płacze. Uznałem, że to albo otwarte okno do piekła, albo do mojego własnego umysłu.

Nie wiedziałem, co byłoby gorsze.

– Jak mam znaleźć drogę w tym... tym... Jak je nazwałeś?

– Pomiedzy. – Głos Jaya zabrzmiał głucho pod metalową maską. Zdrową ręką przytrzymał zranioną. Rana nie krwawiła zbyt mocno, ale zdecydowanie wyglądała, jakby potrzebowała czegoś więcej niż paru plasterków. – To międzywęzłowe fałdy pomiędzy różnymi płaszczyznami rzeczywistości. Jeśli chcesz, możesz to nazwać „hiperprzestrznią” albo „tunelem podprzestrzennym”. Albo myśl o tym jako o mrocznych zakamarkach pomiędzy zwojami twojego mózgu bądź miejscu, w którym magik ukrywa królika, nim wyciągnie go z kapelusza. Jasne? Tak naprawdę nie ma znaczenia, jak to nazwiesz, liczy się tylko przejście i powrót do InterŚwiata Jeden. To właśnie musisz zrobić, Joey.

– Masz nie tego faceta – próbowałem mu powiedzieć. – Nie znalazłbym swojej własnej ręki, nawet gdybyś na dłoni wypisał mi wskazówki.

– To dlatego, że twój talent nie polega na nawigacji na płaszczyznach, tylko między nimi. A tu właśnie jesteśmy. Uważaj – ciągnął, uciszając mnie gestem, gdy próbowałem mu przerwać. – Pomiedzy to miejsce niebezpieczne. Istnieją... stworzenia, które tu żyją, czy przynajmniej częściowo tutaj. Nazywamy je mudlufami, to skrótowiec. MDLF oznacza multiwymiarowe, dynamiczne, labilne formy życia. Wiem, że to bezsensowna nazwa, w końcu my też jesteśmy multiwymiarowymi formami życia. Tyle że ty i ja możemy się

poruszać swobodnie jedynie w trzech wymiarach i linearnie w czwartym. Tymczasem mudlufy dysponują całkowitą swobodą w nie wiadomo ilu. W tym, w wielu przypadkach, w czwartym.

Większość tego, co mówił, przelatywało mi nad głową tak wysoko, że obawiałem się o bezpieczeństwo lokalnych korytarzy powietrznych. Oglądałem jednak powtórki *Strefy zmroku* i wiedziałem, co oznacza czwarty wymiar.

– Chcesz powiedzieć, że potrafią poruszać się w czasie?

– Uważamy, że niektóre owszem. Trudno to określić, bo pomiędzy płaszczyznami istnieje pewne przesunięcie temporalne, które ma wpływ na nas wszystkich. Kiedy Wędrujesz, uczysz się to kompensować, w przeciwnym razie mógłbyś spędzić miesiąc w jednym świecie i odkryć, że w innym minęło zaledwie parę dni. Można się w tym bardzo szybko pogubić, toteż próbujemy korzystać z tego tylko w razie absolutnej konieczności. Ale teraz to nieważne. Chodzi mi o mudlufy – trzymaj się od nich z daleka. Nie są inteligentne, ale mogą być niebezpieczne. Zazwyczaj trzymają się Pomędzy, lecz zdarzało się, że niektóre przeciskały się niczym wielowymiarowa pasta do zębów do najróżniejszych światów.

Wszystko to kompletnie mnie oszołomiło. Zacząłem się zastanawiać, ile z tego, co mówi mi Jay, jest prawdą, a w ilu sprawach po prostu mnie nabiera.

– Jasne. Zaraz jeszcze mi powiesz, że to one odpowiadają za wszystkie legendy o elfach, goblinach i tak dalej.

Spodziewałem się, że Jay się zaśmieje, ale on tylko pokręcił głową.

– Nie, zwykle to zwiadowcy RUN. Zwiadowcy Binarium wyglądają zazwyczaj jak szare ludziki i wszystkie te bzdury z Roswell. Podejrzewam, że mudlufy dały początek niektórym historiom, o demonach. Ale tego wszystkiego dowiesz się podczas zajęć z podstaw wiedzy o altiwersum. Teraz musimy tylko pilnować, żeby nie wpaść na żadnego z nich, a jeśli wpadniemy, uskoczyć jak najszybciej. – Złapał mnie, obrócił i popchnął. – Na co czekasz? Szok już mija i runiczna rana zaczyna boleć. Potrzebna mi gorąca kąpiel i pełne żyły środków przeciwbólowych. Ruszaj zatem i wybieraj, Wędrowcze! Znasz drogę! Dalej!

Znów zacząłem mu mówić, że ma niewłaściwego faceta – ale nagle zamilkłem. Spojrzałem przed nas, w ową szaloną, wirującą Mandelbrotowską kipieli, zwaną Pomędzy, i nagle pojąłem, że ma rację.

Faktycznie, znałem drogę.

Nie wiem, skąd ją znałem – nie wiem nawet, skąd wiedziałem, że ją znam. Lecz była tam, jasna i wyraźna w mojej głowie i tym razem wcale się nie oszukiwałem. To się działo naprawdę.

Jednocześnie z tym zrozumieniem pojąłem coś jeszcze – że Jay ma rację co do mudlufów. Były wśród nich stwory, którym wystarczyłoby na dwa kęsy, i które mogłyby użyć naszych kości udowych zamiast wykałaczek. Nie chciałem natknąć się na żadnego z nich, a im dłużej przebywaliśmy Pomiedzy, tym większe groziło nam niebezpieczeństwo. Mogły nas wytropić zmysłami, na które nie mamy nawet nazwy.

Ruszyłem zatem, a Jay podążył za mną. Wskoczył na moją fioletową ścieżkę i jakiś czas trzymaliśmy się jej, uskakując pod wijącymi się wstęgami Moebiusa i pulsującymi butelkami Kleina. Siła ciężenia – czy też czegoś innego, co utrzymywało nas na ścieżce – jakby się pojawiała i znikwała. Gdy pojąłem, że nadszedł czas, by zejść z fioletowej rampy, zostało nam tylko jedno wyjście: zeskok. Wymagało to sporo odwagi, wierzcie mi na słowo – miałem wrażenie, że wskakuję w otchłań, w porównaniu z którą skok ze statku to była pestka. Lecz droga jaśniała w moim umyśle, wstrzymałem więc oddech i zszedłem ze ścieżki.

Mój żołądek próbował przebić się przez gardło i uciec. Całe Pomiedzy zawirowało o dziewięćdziesiąt stopni w najróżniejszych kierunkach równocześnie – a potem dół przestał być dołem. Unosiłem się wokół leniwie dryfujących brył geometrycznych, mijając coś, co częściowo przypominało otwartą szafę – dostrzegłem wewnętrzne drzwi wiodące do cudownych, rozświetlonych słońcem krain – i nadal podążałem wedle wskazań mapy w mej głowie w stronę czegoś w rodzaju wiru.

Jay unosił się tuż za mną. Najwyraźniej nie był to stan nieważkości – też mi niespodzianka, biorąc pod uwagę otoczenie – bo gdzieś czytałem, że próby pływania w nieważkości do niczego nie prowadzą; wszystkie ruchy po prostu kasują się nawzajem. Trzeba przeciągać się za pomocą uchwytów albo, co jeszcze lepsze, dysponować jakimś napędem.

My jednak nie mieliśmy ani jednego, ani drugiego, a jednak lekko płynęliśmy naprzód, zupełnie jakby napędzała nas wewnętrzna prawość. Kiedy jednak zorientowałem się, że nasza droga prowadzi w sam środek owego leniwie kręcącego się maelstromu, tornada, czy jak go nazwać – w Pomiedzy człowiekowi szybko zaczyna brakować słów – poczułem niepokój.

Jay nadal płynął tuż za mną i gdy się zatrzymałem – wymagało to jedynie myślowego „naciśnięcia hamulca” – zderzył się ze mną łagodnie.

– Co się stało, Joey?

– Oto, co.

Wskazałem wirujący lej i nagle zorientowałem się, że nie mam najbledszego pojęcia, z czego jest zrobiony. Nic dziwnego; nie wiedziałem z czego jest zrobione dziewięć dziesiątych Pomiedzy. Może z ciemnej materii – co by wiele wyjaśniało. Prawda?

Ale nie obchodziło mnie to, nawet gdyby był zrobiony z budyniu z tapioki. Nie miałem ochoty nurkować w ów lej. Musiała istnieć łatwiejsza droga do Krainy Oz.

Jay spojrzał w „dół”, w głąb leja. Wewnątrz wyglądał, jakby ciągnął się bez końca, a między wirującymi ścianami rozbłyskiwało od czasu do czasu coś, co można by nazwać błyskawicą.

– Czy to jest wyjście?

– Ja... Tak. To jest wyjście.

Próby uników nie miały sensu. Równie dobrze lej mógł mieć nad sobą mrugający neon z napisem „wyjście”.

– Pewne rzeczy są takie same, nieważne, w jakim świecie przebywasz, mały – rzekł Jay, nadal irytująco znajomym głosem. – Oto jedna z nich: najszybsze wyjście skądś prowadzi zwykle wprost przez to. – To rzekłszy, przepłynął obok mnie i zanurkował w wir.

Albo w niego wpadł, albo też został wessany. Tak czy inaczej odbyło się to szybko. Jego ciało malało znacznie szybciej, niż powinno – była w tym pewna osobliwa, wymuszona perspektywa, która wcale mi się nie spodobała. A co, jeśli natknęliśmy się na jakąś osobliwość? Jeśli tak, z Jaya – i mnie, gdybym za nim podążył – zostałyby jedynie parę cząsteczek subatomowych, rozciągniętych jak nieskończenie długie sznury koralu.

Lecz jedyną alternatywą było pozostanie tu, w świrowie, i uznałem, że nie jest to żadne wyjście. Jay ocalił mi życie – musiałem przynajmniej spróbować odwdziżyć mu się tym samym.

Wciągnąłem w płuca potężny haust czegoś, co w Pomiędzy służyło za powietrze, i zanurkowałem.

## Rozdział 7

Wypadłem z rozmigotanej świetlistej plamy jakieś dwa metry nad ziemią. Jay miał dość rozsądku, by tuż po lądowaniu odturlać się na bok, toteż spadłem na ziemię, nie na niego. Wstrząs był tak mocny, że na moment straciłem oddech.

Jay przewrócił mnie na plecy, sprawdził, czy nie mam pękniętej krtani, a potem usiadł obok, krzyżując nogi. Po paru minutach moje płuca przypomniały sobie o swej robocie i niechętnie wzięły się do pracy.

Kiedy znów zacząłem normalnie oddychać, Jay wręczył mi niewielką piersiówkę. Nie mam pojęcia, gdzie ją trzymał – obcisły lustrzany kombinezon wyglądał, jakby nie było w nim miejsca nawet na pudełko zapalek. Przyjrzałem się niepewnie piersiówce i oddałem mu ją.

– Dzięki, ale ja nie piję.

Nie przyjął jej.

– Może nadeszła pora, żeby zacząć. Wiele się musisz dowiedzieć, a część z tego nie będzie łatwa. – Kiedy nie zareagowałem, dodał: – Mówię poważnie, Joey. Jeszcze nie zdążyłeś przeżyć szoku, ale on nadejdzie jak rozpędzony pociąg, a ty leżysz przywiązany do torów. – Nagle pochylił się i spojrzał na mnie spoza srebrnego owalu maski. – Chwileczkę, ty myślisz, że w tym jest alkohol? – Gdy przytaknąłem, wybuchnął śmiechem. – Na Łuk, to naprawdę śmieszne. Joey, wierz mi, ten napój tak się ma do alkoholu, jak penicylina do zamawiania chorób. Na miłość wszystkiego co rozumne, po co mielibyśmy pić teratogenną truciznę, gdy istnieje tak wiele innych metod budowy cząsteczek etylowych, niemających zabójczych efektów ubocznych?

Otworzył piersiówkę, uniósł dłoń w toaście i pociągnął łyk. Fascynujące było to, że nie zdjął pozbawionej rysów maski – złoty płyn przeniknął przez nią, wyglądało to tak, jakby wzbierał tuż pod przejrzystą błoną na dolnej połowie, złota strużka pośród srebra utworzyła Rorschachowskie wzory, a potem zniknęła. Raz jeszcze wręczył mi piersiówkę i tym razem się poczęstowałem.

Kiedy odejdę z pracy, nie wypłacajcie mi emerytury – pozwólcie mi tylko zbudować niewielką karczmę w jednym ze światów, gdzieś w okolicy środka Łuku i dajcie licencję na sprzedaż tego napoju. Spłynął mi w głąb gardła i ułożył się w żołądku, łagodnie, jakby

mieszkał tam od zawsze, po czym zaczął promieniować odprężeniem, siłą i pewnością siebie, docierając do najdalszych koniuszków ciała, palców, paznokci. Poczułem się jak ostatni syn Kryptonu. Chciałem wskoczyć na wysoki budynek, zonglować volkswagenami i opracować jednolitą teorię pola – a potem zająć się czymś trudniejszym. Tymczasem jednak oddałem piersiówkę Jayowi.

– Rany.

– Gładko wchodzi – zgodził się Jay. – W pobliżu wewnętrznej granicy Hegemonii RUN jest pewna planeta. Na tej planecie jest jezioro, na jeziorze wyspa, a na wyspie drzewo. Co siedem lat drzewo wydaje owoce. W InterŚwiecie jednym z największych szczytów jest wybór do zespołu, który tam Wędruje i powraca z koszami pełnymi owych jabłek. To właśnie one stanowią sekretny składnik tej dodającej sił mikstury. – Wstał. – Zaraz wrócę. Muszę odcedzić kartofelki.

Odszedł jakieś pięćdziesiąt kroków i zatrzymał się, zwrócony do mnie plecami.

Zastanawiałem się, czemu nie schował się za skałą – a potem, po raz pierwszy od chwili, gdy wypadłem z Pomiedzy, rozejrzałem się wokół i pojąłem, że w pobliżu po prostu nie ma dość dużych kamieni. Byliśmy na pylistej równinie ciągnącej się we wszystkie strony, aż po horyzont. Równinę otaczał odległy pierścień gór, zamieniając ją w misę bogów. Pomyślałem, że muszą tu panować straszne upały, i zerknąłem w niebo w poszukiwaniu słońca.

Słońca nie było.

Tak naprawdę nie było też nieba. Zamiast tego nad moją głową wirowały i przelewały się kolory, niczym benzyna na wodzie. Psychodeliczny pokaz świateł ciągnął się od horyzontu po horyzont. Nie dostrzegłem żadnego pojedynczego źródła światła, lecz mimo to wszystko pozostawało skąpane w subtelnym, niewidocznym blasku.

Obejrzałem się na Jaya; teraz przemawiał do czegoś, co trzymał w dłoni, pewnie dyktafonu. Od czasu do czasu moje uszy wychwytywały strzępy słów, lecz żadnego z nich nie rozumiałem. Ogarnął mnie lekki niepokój – czyżby rejestrował wszystko, co zrobiłem, by przedstawić to jako dowód w jakimś sądzie kapturowym? Czy naprawdę był moim przyjacielem? Jasne, ocalił mi życie, ale może uczynił to dlatego, by dostała mnie w swoje ręce jego strona, nie ludzie pani Indygo? Wyglądało na to, że jestem cennym nabytkiem – choć za żadne skarby nie potrafiłem zgadnąć dlaczego. W szkole zawsze wybierano mnie do drużyny jako ostatniego: nawet osiłkowie tacy jak Ted Russell czepiali się mnie w ostateczności, kiedy pobili już wszystkich innych.

Otrząsnąłem się z chwilowej paranoi. Ufałem Jayowi, choć sam do końca nie

wiedziałem dlaczego. Było w nim coś...

Po paru minutach wrócił.

– No dobra, przysuń sobie kamień, bo to chwilę potrwa. – Sam także to uczynił. –  
Zacznijmy od najważniejszego, potem zajmiemy się szczegółami.

– Czemu nie zaczniesz od początku? – zaproponowałem.

– Z dwóch powodów. Imprimus, ta historia tak naprawdę nie ma początku i prawdopodobnie także końca. Secundus, to moja opowieść i zacznę tam, gdzie zechcę.

Na to nie znalazłem odpowiedzi, więc oparłem się wygodnie o kamień.

– Mógłbyś zdjąć tę maskę?

– Nie. Jeszcze nie. No dobra, zacznijmy od altiversum. Nie należy go mylić z multiwersum, co oznacza nieskończoność równoległych wszechświatów i wszystkich istniejących w nich planet. Altiversum to część multiwersum obejmująca wszystkie Ziemie. A jest ich mnóstwo. – Urwał. Miałem wrażenie, że marszczy brwi. – Wiesz, co to jest dyferencjacja kwantowa? Zasada nieoznaczoności Heisenberga? Światy alternatywne?

– Uhm...

Część tych zagadnień liznęliśmy na zajęciach z fizyki pana Lenera. Pamiętam też, że czytałem artykuł na stronie Discovery. No i oglądałem odcinek klasycznego *Star Treka*, w którym Spock miał brodę, a Enterprise był pełny kosmicznych piratów. Ale tak naprawdę nie znałem się na tym ani trochę lepiej od zwykłego domowego kota.

Tak też powiedziałem. Jay zlekceważył moje słowa.

– Nieważne. Szybko nauczysz się tego, czego potrzebujesz; to się nazywa przenikanie kulturowe. Na razie musisz pamiętać, że pewne decyzje – ważne, takie które wzbudzają mocne fale w strumieniu czasu – mogą sprawić, że alternatywne światy się rozszczepiają i rozchodzą w dwa różne kontinua czasoprzestrzenne. Zapamiętaj to, bo w przeciwnym razie nie będziesz mógł dokonać żadnego wyboru: altiversum nie stworzy nowego wspaniałego świata tylko na podstawie decyzji, że dziś zamiast czerwonych włożyłeś zielone skarpetki, a jeśli nawet, ów świat przetrwa tylko kilka fantomsekund i znów zostanie „zrecyklingowany”, łącząc się z rzeczywistością, od której się oddzielił. Jeśli jednak twój prezydent próbuje zdecydować, czy urządzić naloty dywanowe na jakiegoś potrzęsającego szabelką kacyka z Bliskiego Wschodu, czy też nie, obie możliwości się ucieleśniają – bo w miejscu jednego świata powstają dwa. Oczywiście Pomiedzy oddziela je od siebie, toteż prezydent nigdy się o tym nie dowie.

– Chwileczkę. Próbujesz powiedzieć, że stworzenie nowych alternatywnych światów to świadoma decyzja?

– Niczego nie próbuję, właśnie to powiedziałem. A może mnie nie słuchałeś?

– Ale o czyją świadomość chodzi? Boga?

Jay wzruszył ramionami; wirujące kolory nieba tańczyły i spływały po jego błyszczącym kombinezonie.

– To fizyka, nie teologia. Nazwij to jak chcesz – Bóg, Budda, Latający Potwór Spaghetti, Niewzruszony Sprawca Ruchu, Wszechistnienie – to nie ma znaczenia. Świadomość pozostaje czynnikiem w każdym aspekcie multiwersum. Matematyka kwantowa potrzebuje punktu widzenia, w przeciwnym razie nie działa. Spróbuj tylko zapamiętać, by nie mylić świadomości z ego. To dwie całkowicie odmienne rzeczy – i z nich dwóch ego można się pozbyć.

Chciałem podpytać go dalej, ale zdążył już zmienić temat.

– Wyobraź sobie ten fragment multiwersum jako łuk, oczywiście z kilkunastoma dodatkowymi wymiarami. – Splótł dłonie i machnął rękami. – Na obu końcach łuku znajdują się stolice dwóch hegemonii – imperiów, z których każde kontroluje niewielki procent indywidualnych Ziemi z łuku. Jedno z nich nazywamy Binarium. Korzysta z zaawansowanej technologii – zaawansowanej w porównaniu z poziomem, który osiągnęła większość innych Ziemi – by posuwać się po łuku, podbijając po drodze światy. O mało nie spotkałeś paru przedstawicieli Binarium na Ziemi, na którą zawędrowałeś – to ci chłopcy na latających dyskach, opór byłby nieproduktywny. Uwielbiają mówić podobne rzeczy. Drugie to imperium RUN, ich artyleria opiera się na magii: zaklęciach, talizmanach, ofiarach.

– Chwilkę. – Uniosłem dłonie, układając je na kształt litery T, tak jak trener prosi o czas. – Zaczekaj moment. Magii? No wiesz, jak abrakadabra, hokus-pokus?

Mowa ciała Jaya zdradzała irytację, lecz w tonie jego głosu nie usłyszałem zniecierpliwienia.

– No cóż, nigdy nie słyszałem, by ktoś z nich mówił „hokus-pokus”. Ale owszem, mniej więcej na tym to polega.

Miałem wrażenie, że mózg wypływa mi uszami.

– Ale to nie...

– Możliwe? Kiedy ściągnąłem cię z „Lacrimae Mundi” wyglądałeś, jakbyś w to wierzył.

Otworzyłem usta, po czym, kiedy z mego gardła nie wydobył się żaden dźwięk, postanowiłem je zamknąć. Jay odchylił się z wyraźną ulgą.

– Świetnie. Przez moment bałem się, że spróbujesz użyć racjonalnych argumentów. Pamiętaj... wśród nieskończonych światów wszystko jest nie tylko możliwe, ale i



nieuniknione.

Wracając do rzeczy, Binarium i Hegemonia RUN toczą walkę, zarówno otwartą, jak i skrywaną, o całkowite panowanie nad altiwersum. Trwa to od setek lat, lecz czynią bardzo skromne postępy. Przeszkadza im sam rozmiar przedsięwzięcia – o ile dobrze pamiętam, podczas ostatniego zliczania, którego wyniki przechwyciliśmy, istniało coś w okolicach kilku milionów bilionów trylionów Ziemi, a kolejne z nich wyskakują w próżni szybciej niż bąbelki w szampanie.

Rząd RUN tworzy Rada Trzynastu, a Binarium włada sztuczna inteligencja nazywająca samą siebie 01101. Jedni i drudzy chcą tego samego: rządzić wszystkim. I nie umieją pogodzić się z faktem, że altiwersum funkcjonuje najlepiej, kiedy siły magii i nauki pozostają w równowadze. Tu właśnie zaczyna się rola InterŚwiata.

– Wspominałeś o nim – czy może o nich – już wcześniej.

– Zgadza się. To właśnie dla nich pracuję i tam właśnie nas prowadzisz.

Urwał, by zaczerpnąć tchu. Miałem więcej pytań, niż istniało Ziemi, ale nim zdążyłem je zadać, usłyszeliśmy ryk.

Dobiegał z daleka, nie przypominał niczego, co kiedykolwiek słyszałem, ale bez wątpienia wydawała go polująca bestia, zapewne tak wielka, że obu nas z Jayem mogłaby potraktować jako przekąskę.

Jay zerwał się z ziemi.

– Chodź! – Nawet w masce wyglądał na zdenerwowanego. – Ten świat wciąż leży na granicy Pomędzy, a to jak na mój gust stanowczo za blisko.

Ruszyliśmy szybkim krokiem po spieczonej i popękanej ziemi. Zastanawiałem się, co ją tak wysuszyło. Temperatura była całkiem przyjemna, czułem nawet lekki chłód – oceniałem ją na około dwudziestu stopni. Uniosłem wzrok, spoglądając na kłębiące się kolory, i uznałem, że nie wyglądają już fascynująco. Miałem wrażenie, że owe barwy lada moment poleją się nam na głowy, niczym wrzący ołów spadający z zamkowych murów. Zadrzałem i przyspieszyłem kroku.

To miejsce miało przynajmniej jedną zaletę – nic nie mogło się do nas podkraść. Nadal jednak mi się nie podobało. Byliśmy odsłonięci jak para myszy na boisku hokejowym. Szliśmy i szliśmy, a góry w ogóle się nie zbliżały.

I wtedy dostrzegłem kątem oka plamę koloru.

Spojrzałem w bok i ujrzałem coś, co sprawiło, że zamarłem. Na pierwszy rzut oka wyglądało jak wielka bańka mydlana – naprawdę wielka, rozmiarów piłki do kosza – wypływająca z szerokiej szczeliny w ziemi. Uniosła się jednak zaledwie kawałek, a potem

zatrzymała, podskakując niczym balon próbujący zerwać się z uwięzi.

– Co to? – spytałem.

Jay odwrócił srebrną głowę w stronę bańki. Stałem dość daleko, by widzieć swe odbicie na jego policzku i szczęce.

– Nie mam pojęcia, nigdy czegoś takiego nie widziałem. To z pewnością jakiś mudluf, co oznacza, że musimy założyć, że jest niebezpieczny, i odejść. – Znow ruszył naprzód.

Raz jeszcze obejrzałem się na bańkę – wygląda niemal jak żywa, pomyślałem – i obróciłem się, żeby pójść za Jayem.

Nagle usłyszałem dobiegający z tyłu rytmiczny stukot. Skojarzył mi się z wleczonym po kamieniach długim kawałem łańcucha albo z grzechotnikiem.

Odwróciłem się, nie dostrzegłem jednak niczego, co mogłoby aż tak hałasować. Ujrzałem natomiast małą bańkę szarpiącą się rozpaczliwie na wszystkie strony, jakby próbowała przed czymś uciec. Jej kulista powierzchnia pulsowała szybko najróżniejszymi kolorami – przeważnie ciemną czerwienią i pomarańczem przechodzącymi w fiolet.

Bała się. Nie mam pojęcia, skąd to wiedziałem, ale wyraźnie widziałem, że ów mały stwór jest spłoszony.

Zawróciłem i pomaszerowałem w stronę szczeliny.

Za sobą usłyszałem krzyk Jaya.

– Joey! Nie! Wracaj!

– Temu stworzeniu chyba coś grozi! – odkrzyknąłem. – Nie jest niebezpieczne.

Zatrzymałem się w pobliżu szczeliny, która okazała się szersza, niż sądziłem. Teraz widziałem, że bańkowaty stwór jest przywiązany do skał na skraju przepaści cienką liną z protoplazmy, ektoplazmy czy czegoś podobnego.

– Joey, to tylko pomiędzy! Mudluf! Wracaj tu natychmiast!

Udałem, że go nie słyszę.

Owa lina była przezroczysta i cienka, jak długie pasmo śliny. Wyglądała, jakby do jej zerwania i uwolnienia bańkowatego stwora wystarczyło jedynie groźne spojrzenie.

– Jest przywiązany! – zawołałem do Jaya. – Chyba zdołam go uwolnić.

Jay zmierzał już ku mnie. Jeśli miałem to zrobić, musiałem działać szybko. Wyciągnąłem rękę i szarpnąłem linę. Okazała się mocniejsza, niż przypuszczałem.

– Hej! – krzyknąłem do Jaya. – Masz może nóż? Założę się, że moglibyśmy to przeciąć.

Nie odpowiedział. Mimo srebrnego kombinezonu widziałem, że jest wściekły.

Mały stworek nad naszymi głowami był wyraźnie zaniepokojony. Wypuściłem linę,

lepiała mi się do palców. Nagle skojarzyła mi się z pajęczyną.

– Wiem, że jest nieszkodliwy – poinformowałem Jaya. – Spójrz tylko na niego.

Jay westchnął. Dzieliły mnie od niego jakieś dwa, trzy kroki.

– Może i masz rację – przyznał. – Ale coś tu jest nie tak. Jak sądzisz, w jaki sposób ten maluch się tak zaplątał? I czemu?

Pasmo sieci zaczęło wibrować, rozległ się ryk tak głośny, że o mało nie popękały mi bębunki, i pojąłem, że pociągając za linę, coś przywołałem. Zdawało mi się, że próbuję uwolnić małego mudlufa, ale w istocie uderzyłem w gong, wzywający na obiad.

Z otchłani wynurzył się potwór.

Wiem, „potwór” to słowo nadużywane, ale w tym przypadku żadne inne nie pasowało. Miał głowę trochę przypominającą rekina, a trochę tyranozaura, tkwiącą na ciele jak u stonogi, grubością dorównującym furgonetce dostawczej. Nie wiem, jak był długi – ale dość, by wychynąć z, jak się zdawało, bezdennej przepaści. Każdy kolejny segment prześlizgiwał się po skale, łomotał i grzechotał niczym olbrzymie ogniwo łańcucha. W czasie znacznie krótszym, niż wymaga ten opis, uniósł się na dobre dziesięć metrów ponad krawędzią szczeliny i przyglądał mi się olbrzymimi fasetkowymi oczami, wielkimi jak moje dłonie.

A potem uderzył.

W głowie wielkości taksówki taty otwarły się szczęki z wieloma rzędami zębów rozmiarów noży do steków. Mimo swej wielkości pomknęła ku mnie niczym winda ekspresowa. Już miałem stać się przekąską, gdy poczułem, jak ktoś wpada na mnie od tyłu i popycha tak, że runąłem na sam skraj przepaści.

Przekręciłem się na plecy i spojrzałem – Jay znalazł się dokładnie w miejscu, gdzie stałem jeszcze sekundę wcześniej. A potem olbrzymia paszcza bestii pochłonęła go, zaczęła się zamykać... i wtedy znad mojego ramienia wystrzelił mały, bańkowaty stworek. Zorientowałem się, że upadając, musiałem zerwać nić, która go krępowała. Uderzył w pysk potwora, rozbryzgując się na nim niczym przejrzysta maź.

Potwór szarpnął się ze wściekłym rykiem, upuszczając ciało Jaya. Paszczę wciąż miał otwartą – śmiertcionośne szczęki nie zdążyły się zatrzasnąć – a teraz nie mógł jej zamknąć, bo mudluf zatkał mu swym przejrzystym ciałem nos, odcinając dopływ powietrza. Potwór szamotał się, rycząc z wściekłości i próbując strząsnąć z siebie małego, amebowatego mudlufa. Udało mu się odrzucić na parę metrów kawałki materii stworzenia, lecz te, uczipione elastycznymi włóknami, natychmiast powróciły, ponownie klejąc się do jego nosa. Trudno uwierzyć, że bryłka przezroczystej plasteliny zdołała powstrzymać Węża Midgardu przed pożarciem Jaya i mnie!

Potwór osunął się poniżej poziomu gruntu i sądząc z odgłosów i miarowych wstrząsów ziemi, próbował uwolnić się od pomiędzywca, tłukąc pokrytym łuskami pyskiem o skały. Nie czekałem, żeby sprawdzić, który z nich wygra – podbiegłem do Jaya, złapałem go za ręce i powlokłem, potykającego się i opartego o mnie ciężko, jak najdalej od miejsca walki. Oceniałem, że przerośnięta bańka mydlana nie wytrzyma zbyt długo.

Zatrzymałem się dobre pięćset metrów dalej. Jay usiadł ciężko na piasku. Niewidoczny już potwór nadal ryczał i walił o skały. Widziałem wznoszące się nad szczelinę chmury pyłu i od czasu do czasu odłamki kamienia. Byłoby to zabawne, gdyby nie coś, co zauważyłem dopiero teraz: od krawędzi szczeliny aż do ciała Jaya ciągnął się szeroki jak moja dłoń ślad krwi, gęstej jak farba.

Zachłysnąłem się i ukląknęłam obok mojego towarzysza. Srebrny kombinezon po obu stronach ciała został przebity – dwie rany po lewej, trzy po prawej, tuż nad biodrami. Zęby potwora zostawiły dziury o średnicy paru centymetrów, z których wypływała krew Jaya. W żaden sposób nie zdołałbym jej zatamować, a zresztą nie wiem, czy cokolwiek by to dało – i tak stracił jej już zbyt wiele.

Unióś słabo dłoń, którą chwyciłem.

– Zabiorę cię z powrotem do InterŚwiata – powiedziałem, nie wiedząc, co jeszcze mógłbym rzec. – Przejdziemy przez Pomędzy – to nie potrwa długo – ja, ja... przepraszam...

– Oszczędź sobie – wyszeptał Jay. – To... nic nie da, krwawię... jak trzy... zarżnięte świnię i mam wrażenie, że to coś jest jadowite. Nie uwierzyłybyś... jak bardzo boli... – Głos miał stłumiony i głuchy.

– Co mam robić? – spytałem bezradnie.

– Połóż moją rękę... na piasku – rzekł. – Muszę ci pokazać... jak pokonać... ostatni... kawałek.

Złożyłem jego dłoń na ziemi. Szybkimi, urywanymi ruchami nakreślił coś w piasku.

A potem zamarł, jakby odpoczywał. Czuję się kompletnie bezużyteczny.

– Jay? – powiedziałem. – Nic ci nie będzie, naprawdę. – Nie kłamałem. Mówiłem to z nadzieją, że skoro wypowiem te słowa, to w jakiś sposób się spełnią.

Jay zaskoczył mnie, unosząc głowę i opierając się na łokciu. Drugą ręką chwycił mnie za koszulkę i ze zdumiewającą siłą pociągnął w dół, tak że moja twarz znalazła się zaledwie cal od jego maski. Raz jeszcze spojrzałem na zniekształcone odbicie moich własnych rysów, groteskowo wykrzywione na powierzchni kombinezonu.

– Powiedz... Staremu... przykro mi... że przeze mnie... stracił jednego agenta. Powiedz mu... mój następcę... ma moje pełne... poparcie.

– Powtórzę mu, kimkolwiek jest – przyrzekłem. – Ale czy w zamian zrobisz coś dla mnie?

Słabo przechylił głowę.

– Zdejmij maskę – poprosiłem. – Pokaż mi twarz.

Zawahał się, po czym unióś rękę i nacisnął kombinezon tuż pod brodą. Materiał pokrywający jego głowę zmienił barwę z lśniącego srebra na matową, metaliczną szarość i cofnął się, tworząc pierścień wokół szyi. Patrzyłem bez słowa, bo nic to nie zmieniło. Maską pozostała na miejscu, a przynajmniej tak sądziłem z początku, gdyż wstrząsnął mną widok twarzy Jaya.

Oczywiście była to moja własna twarz, ale nie do końca. Jay wyglądał na co najmniej o pięć lat starszego ode mnie. Na prawym policzku dostrzegłem bliznę, dolna część jego ucha również wyraźnie odrosła. Ale nawet blizny nie ukrywały tego, kim jest.

Był mną. To dlatego jego głos brzmiał tak znajomo. To był mój głos, czy raczej mój głos taki, jak mógłby zabrzmieć za pięć lat.

Zastanawiałem się, czemu nie zorientowałem się od razu, i wreszcie pojąłem, że na pewnym poziomie wiedziałem. Oczywiście, że był mną. Odważniejszym, mądrzejszym i bardziej odłotowym mną. I oddał życie, żeby mnie ocalić.

Spojrzał na mnie mętniejącymi oczami.

– Musisz... ruszać. – Ledwie słyszałem jego szept. – Teraz... nie możemy stracić... kolejnego agenta... zbyt niebezpieczne. Powiedz mu... zbliża się... Noc Mrozu.

– Powiem, obiecuję – przyrzekłem.

Jego powieki opadły, stracił przytomność.

To jednak nie zmieniało faktu, że obietnica to obietnica, nieważne, czy Jay mnie usłyszał, czy nie. Ja siebie usłyszałem i nie chciałem przeżyć reszty życia, próbując tłumaczyć samemu sobie, czemu nie postąpiłem jak należy.

Opuściłem jego ciało i zakołysałem się na piętach, czując nagły ucisk w gardle. Nie jestem pewien, jak długo tam stałem, po prostu oddychając.

W końcu spojrzałem na litery nakreślone w piasku.

Z pewnością były ważne. Gdy jednak przyjrzałem im się bliżej, stwierdziłem, że nie mają sensu. To musiało być jakieś równanie matematyczne:

$$j\mu = 4\mu$$

Nie rozumiałem, co oznaczają, lecz symbole jakby zapuszczały korzenie w moim

mózgu, świecąc w umyśle.

Na owej skalnej równinie zapadła cisza. Słyszałem urywany oddech Jaya, syk przesypywanego wiatrem piasku i nic poza tym. Nie wiem, jak długo tak czekałem, ale zdawałem sobie sprawę, że nierówna bitwa pomiędzy dinopotworem i małym mudlufem mogła zakończyć się tylko w jeden sposób. Pożałowałem małego, bańkowatego stwora. Najpierw był przynętą w pułapce, potem zginął, próbując ocalić mnie i Jaya przed monstrem.

Wstałem, odwróciłem się i obejrzałem, nie dostrzegłem jednak śladu żadnego ze stworzeń. Postąpiłem kilka ostrożnych kroków naprzód, próbując przyjrzeć się lepiej.

Nic, tylko osiadający pył.

Skóra Jaya zmieniała kolor, nabierała sinawego odcienia. Tak jak mówił, zęby potwora musiały zawierać jad. Gdybym tylko go posłuchał i nie był głupi, nigdy nie znalazłby się w paszczy śmierci, próbując mnie przed nią ocalić. Pobiegłem tam, gdzie zapewne lękali się stapać nawet aniołowie – i przez to Jay umierał. Przeze mnie. To była moja wina. Nie mogłem obwiniać nikogo innego.

Spojrzałem w niebo i złożyłem jeszcze jedną obietnicę wszystkim, którzy tam byli, każdemu kto słuchał. Że jeśli Jay przeżyje, jeśli zdoła to przetrwać, jeśli otrzyma pomoc medyczną i wyzdrowieje, to będę najlepszym, najpracowitszym, najmilszym, najfajniejszym facetem pod słońcem. Będę świętym Franciszkiem z Asyżu, Gautamą Buddą i innymi podobnymi gośćmi.

On jednak oczy miał zamknięte i nie oddychał ani się nie poruszał. Nieważne, co obiecałem i jak dobry zamierzałem być w przyszłości.

Nic już nie miało znaczenia.

Jay nie żył.

## Rozdział 8

Nie mogłem go tam zostawić.

Pewnie będziecie się śmiać, ale nie mogłem. Zapewne byłoby to najrozsądniejsze rozwiązanie – i może gdybym zdołał wykopać mu grób czy coś takiego, nie przeszkadzałyby mi wizja zostawienia Jaya na pustyni, na granicy Pomiedzy. Lecz pod stopami miałem twardą, spieczoną, czerwoną glinę, przykrytą cieniutką warstwą piasku.

Spróbowałem go zatem podnieść. Ani drgnął. Wiedziałem, że waży więcej ode mnie, lecz mimo wszystko zaledwie dziesięć minut wcześniej podtrzymywałem go, a potem odciągałem od urwiska i pewnie zużyłem przy tym cały zapas adrenaliny. Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, nie miałem szansy go ruszyć. Równie dobrze mogłem próbować podnieść zębami „Titanica”.

Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie docięża go metalowy kombinezon, toteż zacząłem go oglądać, szukając zatrzasku, zamka błyskawicznego, czegoś w tym rodzaju.

Nic.

Obok usłyszałem ciche psyknięcie. Odwróciłem głowę. To był mały pomiedzowiec. Mudluf wisiał w powietrzu obok mnie, szybując niczym ameba rozmiarów kota i mieniając się wszystkimi barwami tęczy.

– Cześć – rzuciłem. – Przynajmniej tobie nic nie jest. Ale Jay nie żyje. Może jednak powinienem był zostawić cię sam na sam z tym tyranozaurom.

Bańka mydlana przybrała ponury odcień fioletu.

– Nie mówiłem poważnie – dodałem szybko. – Ale on był... moim przyjacielem. W pewnym sensie był mną. A teraz nie żyje, a ja nie mogę nawet zabrać go do domu. Jest za ciężki.

Fiolet zaczął jaśnieć i po chwili stwór połyskiwał już delikatnym odcieniem złota. Wyciągnął coś przed siebie – niezupełnie kończynę ani mackę – może nibynóżkę, jeśli to oznaczało to, co mam na myśli – i dotknął metalowego kombinezonu tuż nad sercem.

– Tak – mruknąłem. – Nie żyje.

Stwór zapulsował złotem – sfrustrowanym złotem – i postukał dokładnie w to samo miejsce.

– Chcesz, żebym go tam dotknął?

Ponownie zmienił barwę, na pogodny błękit... zadowolony błękit.

Dotknąłem palcem miejsca, które przed chwilą musnęła nibynóżka, i kombinezon otworzył się przede mną jak kwiat w słońcu. Jay miał na sobie szare bokserki i zielony podkoszulek, jego ciało było bardzo blade. Wywlokłem spod niego kombinezon.

Ważył chyba z tonę. No, może pięćdziesiąt kilo. Ameba wciąż krążyła wokół mnie, jakby próbowała mi coś powiedzieć. Wyciągnęła szkarłatną nibynóżkę w stronę srebrnego kombinezonu leżącego na czerwonej ziemi. Potem wskazała mnie i na jej balonowatym ciele pojawiły się migoczące, srebrne żyłki.

– Co? – Nic nie rozumiałem. – Szkoda, że nie umiesz mówić.

Mudluf raz jeszcze wskazał na srebrny kombinezon – obecnie przygaszony, metalicznie szary – i na mnie.

– Uważasz, że powinienem go włożyć?

Zalśnił błękitem, identycznym jak wcześniej. Tak. Powinienem go włożyć.

– Słyszałem o mówieniu językami – rzekłem. – Ale nigdy kolorami.

Podniosłem kombinezon – teraz przypominał obszerny płaszcz w kształcie rozgwiazdy – i nałożyłem na ramiona. Zawisł na mnie ciężko, a od jego ciężaru zaboląły mnie plecy. Miałem wrażenie, jakbym okrył się kocem z ołowianą podszewką. Był zimny i martwy. W żaden sposób nie zdołałbym pokonać nawet dziesięciu kroków w takim stroju.

– I co teraz? – spytałem amebę, która pozieleniała, a po jej powierzchni przebiegły smugi żółci i szkarłatu. Potem z wahaniem wskazała miejsce pośrodku kombinezonu na mojej piersi. Dotknąłem go.

Nic się nie stało.

Dotknąłem ponownie. Uderzyłem. Potarłem. Z całych sił ścisnąłem kciukiem i palcem wskazującym – i nagle okrywający mnie ołowiany koc ożył, zaczął się rozlewać, spływać po ciele, okrywając je od stóp do głów. Gdy zalał mi twarz, świat pociemniał. Przez moment czułem czystą, obezwładniającą panikę, a potem znów zacząłem widzieć, lepiej niż wcześniej, a także oddychać.

Patrząc w dół, widziałem srebrne okrycie, ale też to, co tkwiło pod nim. Przypominało to nieco odwrócone instrumenty, używane przez pilotów myśliwców w ich kokpitach. Widziałem złotą butelkę i coś, co wyglądało jak pistolet, a także kilka innych przedmiotów, których nie rozpoznałem. Tkwiły w kieszeniach. I widziałem własne ciało.

Teraz było mi ciepło, prócz lewego ramienia, na którym zakłęcie pani Indygo uszkodziło kombinezon.

Oglądana przez lustrzaną maskę ameba wyglądała jeszcze dziwniej, zupełnie jakbym



patrzył na coś wielkiego przez odwróconą lornetkę. Widziałem, że rozmiarami nie przewyższa kota, lecz z jakiegoś powodu nie potrafiłem pozbyć się myśli, że tak naprawdę jest wielka jak drapacz chmur, tyle że znajduje się dziesięć mil dalej. Czy według was to ma jakiś sens?

– Masz może jakieś imię? – spytałem.

Stwór załśnił setką kolorów. Uznałem to za potwierdzenie. Problem w tym, że ja sam nie umiałem przemawiać kolorami.

– Nazwę cię Tęczkiem – poinformowałem. – To taki żarcik, nie zabawny, z tych innych.

Zabłyśł złotem i uznałem, że nie ma nic przeciw temu.

Schyliłem się, podniosłem Jaya i zarzuciłem go sobie na ramiona. Wciąż czułem jego ciężar, wyglądało jednak na to, że większość brzemienia wziął na siebie kombinezon. Miałem wrażenie, że Jay waży piętnaście kilo.

A potem pomyślałem:

$$j\mu = 4\mu$$

...i ruszyłem w stronę Bazy, dźwigając na ramionach ciało Jaya, jak myśliwy z plemienia Siuksów niosący do obozu jelenia.

Tęczek przez jakiś czas podskakiwał w powietrzu obok mnie. Potem jednak dotarłem do ścieżki, która, jak czułem, zawiedzie mnie na Ziemię, na której mieściła się Baza InterŚwiata.

Żałuję, że nie potrafię wyjaśnić tego lepiej. Czułem ją, tak jak wy samym językiem wyczuwacie miejsce w zębie, z którego wypadł fleczer. Ja to czułem.

Nadeszła pora, by Wędrować. I to właśnie zrobiłem.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem za sobą, był Tęczek, tańczący z wyraźnym smutkiem w powietrzu za moimi plecami. A potem ową scenę zastąpiła...

Pustka...

Brzeg rzeki...

Widok dalekiego miasta... Tysiąc oczu zamykających się i otwierających niezależnie od siebie, a każde wypatrywało mnie.

Trawiasta równina. Za nią w dali fioletowawe góry.

I nagle znalazłem się tam, choć sam nie miałem pojęcia co oznacza „tam”. Po prostu wiedziałem, czułem to w głowie;  $j\mu = 4\mu$  nie zabierze mnie dalej.

Lecz w pobliżu nie było niczego. Znajdowałem się pośrodku pustego stepu, sam jak palec. Położyłem ciało Jaya na trawie. Uznałem, że albo ludzie z bazy Jaya – z InterŚwiata, czymkolwiek był – sami mnie znajdą... albo nie. I nagle, możecie mi wierzyć, przestało mnie to obchodzić.

Przyłożyłem palec do miękkiego miejsca pod brodą i poczułem, jak kombinezon cofa mi się z twarzy, którą omiotło ciepłe powietrze. A potem, zupełnie sam, milion milionów mil od wszystkiego, rozplakałem się z żalu i tęsknoty – za Jayem, moimi rodzicami, Jenny i Lejkiem, Roweną, Tedem Russellem, panem Dimasem i innymi.

Ale przede wszystkim opłakiwałem samego siebie.

Płakałem tak i szlochałem, aż w końcu nie pozostało we mnie nic, czym mógłbym płakać. Usiadłem, czując na twarzy schnące łzy, pusty i wyczerpany, i siedziałem tak, dopóki nie zaszło słońce i nad stepem nie pojawiło się miasto pod szklaną kopułą, lewitujące bezszelestnie jakieś dwa metry nad ziemią. Zatrzymało się piętnaście metrów od Jaya i ode mnie. Ze środka wyłoniła się grupa ludzi, którzy wyglądali jak ja i którzy zabrali nas obu.

## **CZEŚĆ II**

## Rozdział 9

Kurczowo przytrzymałem się pionowej skalnej ściany. Miałem na sobie jednoczęściowy, szary kombinezon i buty do wspinaczki. Do pasa okalającego talię przypiąłem linę, łączącą mnie z dziewczyną wiszącą jakieś sześć metrów nade mną. Dziewczyna szczerze mnie nie znosiła, co w pewnym stopniu komplikowało sytuację, biorąc pod uwagę fakt, że trzydzieści metrów wyżej czekała wolność, ciepło, porządny posiłek i powrót do Bazy.

W tym momencie jednak dla mnie trzydzieści metrów mogło równie dobrze oznaczać trzydzieści mil. Byłem głodny i przemarznięty, bolały mnie palce u rąk i stóp. A także wszystko pomiędzy nimi.

Moją głowę okalała opaska z neurosieci, zakodowana tak, by powstrzymać mnie przed Wędrowaniem, gdyby nadarzyła się okazja. A byłbym skłonny ją wykorzystać. Wierście mi, myśl ta wydawała się bardzo kusząca, zwłaszcza gdy zaczęło padać: mokry, zamarzający deszcz ze śniegiem, który przemoczył mnie do suchej nitki, a potem zamroził. Po prostu super. Zacząłem dygotać tak mocno, że o mało nie puściłem się ściany.

Tuż za plecami usłyszałem kasznięcie. Odwróciłem się, bardzo ostrożnie.

To był Jai. Należał do tych wyglądających prawie jak ja, tyle że skórę miał ciemnobrązową. Okrywała go jednoczęściowa, biała szata, siedział ze skrzyżowanymi nogami. Czy, ściślej biorąc, szybował ze skrzyżowanymi nogami około pięćdziesięciu metrów nad ziemią.

– Przybywam złożyć zapytanie, jak sobie radzisz? – rzekł z charakterystycznym, lekkim akcentem. – Deszcz sprawia, że dalsza wspinaczka staje się dość problematyczna. Gdybyś na tym etapie zechciał finiszować swą ekskursję, nikt nie uznałby tego za świadectwo twojej niemocy.

Moje zęby szczykały jak kości w kubku; ledwie go słyszałem.

– Co?

– Chciałbyś to przerwać?

Jak mówiłem, wizja wyglądała kusząco, ale miałem już dość problemów i wolałem nie narażać się na etykietkę tchórza.

– Wchodzę dalej – oznajmiłem. – Nawet gdyby miało mnie to zabić.

– To wyjście – odparł z dezaprobatą – jest niedopuszczalne.

Jai zachowywał się czasami jak palant, ale przynajmniej dostrzegał to, że żyję. Poszybował powoli w górę, w stronę obozu na szczycie wzgórza.

Znów podjąłem wspinaczkę. Dotarłem do głębokiej szczeliny w skale, w którą wcisnąłem się jak w komin, przy okazji pozbywając się większości skóry z ramion i pleców. Po czasie, który wydał mi się zaledwie krótką wiecznością, zrównałem się z półką jakieś dziesięć metrów nad poprzednim miejscem i ujrzałem dziewczynę, z którą się wspiąłem. Stała skulona z boku półki, ukryta przed zacinającym deszczem. Mimo wszystko nie mogło jej tam być wygodnie i ten fakt sprawił mi dużą radość, której starałem się nie okazywać. Gdy tam dotarłem, ledwo zaszczyliła mnie spojrzeniem. Wpatrywała się w niebo.

– Masz jakiś plan dotarcia na szczyt? – spytałem ze znużeniem, mierząc wzrokiem skalną ścianę w górze.

– Lista ludzi, z którymi nie rozmawiam, jest dość krótka – odparła. – Prawdę mówiąc, składa się wyłącznie z ciebie. – Znów zapatrzyła się w szare burzowe chmury.

– No dobra...

Kciukiem otworzyłem termos wiszący u pasa i nałamałem sobie zakrętkę parującego bulionu z syntetycznego bizona. Nie poczęstowałem jej. Po pierwsze dlatego, że miała u pasa własny termos, identyczny jak mój. A po drugie, bo do diabła z nią.

Zacząłem sączyć zupę, powoli, żeby nie poparzyć ust – strasznie szybko się nagrzewała – i przyglądałem się Jo, a zwłaszcza dwóm rzeczom, które tak bardzo odróżniały ją ode mnie.

– Przestań się gapić.

– Przepraszam – rzekłem. – Po prostu tam, skąd pochodzę, nikt nie ma skrzydeł.

Spojrzała na mnie jak na coś, co znalazła właśnie przyklepione do podeszwy buta. Jo pochodzi z jednego z magicznych światów. Skrzydła – wielkie, białe, pierzaste, jak u aniołów na obrazach – nie utrzymują jej w powietrzu, kiedy fruwa, choć za ich pomocą może szybować i kontrolować lot. Stary wyjaśnił kiedyś, że rzeczą, która naprawdę utrzymuje ją w górze, jest przekonanie, że potrafi latać. No i fakt, że w jej świecie w powietrzu naprawdę czuje się magię. Często miałem ochotę spytać, czy jej lud pochodzi od skrzydlatych małąp, tak jak lud Joken wywodzi się od wilków, czy też dawno temu na jej planecie jakiś czarodziej doczepił łabędzie skrzydła do pleców małego dziecka i tak to się zaczęło. Ponieważ jednak traktowała mnie z równą sympatią, jaką mogłaby obdarzyć wirus eboli, wątpliwe, bym kiedykolwiek się dowiedział.

\* \* \*

Przebywałem w obozie od dziesięciu dni, lecz miałem wrażenie, że minęło całe życie. Niezbyt szczęśliwe życie. Było to uczucie sugerujące, że w poprzednim wcieleniu było się na przykład Dżyngis-chanem.

Dziesięć dni przed wspinaczką w deszczu na skalną ścianę ocknąłem się na polowym łóżku w białym pokoju cuchnącym środkami odkażającymi. Gdzieś w tle słyszałem dźwięki orkiestry, żałobne, wzruszające, lecz smutne.

To był marsz pogrzebowy.

Muzyka ucichła. Wstałem i niepewnym krokiem podszedłem do okna. Wyjrzałem.

Na dużym placu zebrało się około pięciuset osób. Bardzo różnych osób. Stali w szeregach wokół skrzyni. Leżało na niej ciało okryte czarną flagą.

Wiedziałem, do kogo należy.

I wiedziałem, czyje życie ocalił jego właściciel, za kogo zginął.

Na podeście stał mężczyzna, który wyglądał trochę jak ja, gdybym dożył wieku średniego. Wiedziałem, że właśnie kończy mówić dobre rzeczy o Jayu, choć ledwie słyszałem jego słowa.

A potem ludzie zaczęli krzyżeć. Krzyżeli pięciuset różnymi głosami, bez słów, i w owym krzyku brzmiał żal, poczucie straty, ale także zwycięska nuta. Było to zawodzenie, jęki i wrzaski, wyrywające się z pięciu setek gardel.

Skrzynia z trumną w środku zamigotała i poruszyła się. Potem zaś rozbłysła i zniknęła bez śladu.

Orkiestra znów zagrała żałobnego marsza, tym razem jednak pojawił się w nim cień optymizmu. Zdawał się mówić, że życie toczy się dalej.

Wróciłem na łóżko i usiadłem. Bez wątpienia przebywałem w czymś w rodzaju szpitala w okrytej kopułą Bazie. I właśnie oglądałem pogrzeb Jaya.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – rzuciłem.

To był starszy mężczyzna, ten sam, który wygłosił mowę.

– Cześć, Joey – rzekł; mundur miał czysty i odprasowany. – Witaj w Bazie. – Jedno oko miał piwne, zupełnie jak moje, drugie było sztuczne: wyglądało jakby w oczodole osadzono kilka kolorowych diod.

– Pan także jest mną – zauważyłem.

Skłonił głowę – być może miało to być przytaknięcie.

– Joe Harker. Tu nazywają mnie Starym, najczęściej za plecami. Kieruję tym miejscem.

– Przykro mi z powodu Jaya. Przyniosłem jego ciało.

– Dobrze się spisałeś – rzekł. – I, co jeszcze ważniejsze, przyniosłeś też jego kombinezon. Zostało nam ich zaledwie tuzin, już ich nie robią. Świat, który je produkował, już... nie istnieje.

Uznałem, że powinienem coś powiedzieć.

– Nie istnieje? Cały świat?

– Światy są tanie, Joey. Wiem, to brzmi strasznie, ale najczęściej nawet najstraszniejsze słowa kryją choćby odrobinę prawdy. Dla Binarium i RUN światy są czymś bardzo tanim, a życie jeszcze tańszym... Ale wróćmy do ciebie. Dobrze się spisałeś, przynosząc tu ciało, bo dzięki temu mogliśmy się pożegnać. A w kombinezonie pozostała ostatnia wiadomość Jaya. – Znow zawiesił głos. – Pamiętasz, jak cię tu sprowadziliśmy? Wyglądałeś, jakbyś był w malinie, cały czas mnie wołałeś.

– Naprawdę?

– Tak. Powiedziałeś, że Jay zginął przez ciebie, że ratował ci życie. Opowiedziałeś o mudlufie i węzowym tyranozaurze. Mówiłeś, że zachowałeś się głupio i wszystko stało się przez ciebie.

Spuściłem wzrok.

– Tak.

Otworzył notes i coś sprawdził.

– Jay kazał powiedzieć Staremu, że mu przykro i przeprasza, że stracił jednego agenta. Mówił, że następcą ma jego pełne poparcie.

– Ja to powiedziałem?

– Tak. – Znow zajrzał do notesu, a potem spytał: – Co to jest Noc Mrozu?

– Noc Mrozu? Nie wiem. Jay kazał to panu powiedzieć. Że nie możecie stracić nawet jednego agenta, że zbliża się Noc Mrozu.

– Mówił o niej coś jeszcze?

Pokręciłem głową.

Stary mnie przerażał. To znaczy, jasne, był mną, ale mną, który widział tak wiele. Zastanawiałem się, jak stracił oko. I czy naprawdę chcę to wiedzieć.

– Moglibyście mnie odesłać do domu? – spytałem.

Skinął głową, po czym rzekł:

– Możemy, owszem. Wymagałoby to sporego wysiłku i oznaczało, że ponieśliśmy klęskę. Musielibyśmy wymazać ci wspomnienia, usunąć wszelkie informacje na temat tego miejsca, a także zniszczyć twoje zdolności Wędrowania między światami. Lecz owszem,

moglibyśmy to zrobić. Pewnie zastanawiałoby się, gdzie się podziałeś, ale w różnych światach czas biegnie w różnym tempie. Zapewne jak dotąd nie było cię najwyżej pięć minut... – Chyba dostrzegł nadzieję malującą się na mojej twarzy. – Naprawdę chciałbyś nas opuścić?

– Proszę pana, bez urazy, ale ja nawet was nie znam. Niby czemu miałbym dołączyć do waszej organizacji?

– Cóż, masz najlepsze możliwe poparcie. Jay tak powiedział. Jak mówił, nie stać nas na stratę nawet jednego agenta.

– Ja... ja jestem następcą, o którym wspominał?

– Obawiam się, że tak.

– Ale przecież właśnie przeze mnie zginął!

– Tym lepszy powód, by tu zostać. Utrata Jaya to tragedia. Utrata was obu byłaby katastrofą.

– Rozumiem... – Pomyślałem o domu: moim prawdziwym domu, nie jego nieskończonych cieniach. – Czyli moglibyście mnie odesłać?

– Tak. I jeśli tu oblejesz, może będziemy musieli.

Gdy zamykałem oczy, wciąż widziałem Jaya, patrzącego na mnie tuż przed śmiercią, leżącego na czerwonej ziemi. Westchnąłem.

– Wchodzę w to – oznajmiłem. – Nie dla pana. Dla Jaya.

Wyciągnął rękę. Ja także to zrobiłem, chcąc ucisnąć mu dłoń, on jednak zamknął moją w swej własnej, twardej i wielkiej, i spojrzał mi głęboko w oczy.

– Powtarzaj za mną – polecił. – Ja, Joseph Harker...

– Uhm... Ja, Joseph Harker...

– ...świadom, że we wszystkim musi panować równowaga, niniejszym zobowiązuję się czynić, co tylko w mej mocy, by chronić i strzec altiwersum przed tymi, którzy chcieliby je zniszczyć bądź nagiąć do swej woli, i robić wszystko w obronie InterŚwiata oraz wartości, które symbolizuje.

Powtórzyłem jak najlepiej umiałem. Kiedy się zająknąłem, podpowiedział mi.

– Doskonale – rzekł. – Mam nadzieję, że wiara Jaya w ciebie miała podstawy. Musisz pobrać sprzęt u kwatermistrza; magazyny są w kwadratowym budynku po drugiej stronie placu apelowego. Teraz mamy jedenastą, dość czasu, byś do jedenastej czterdzieści pięć urządził się w koszarach. Lunch jest o dwunastej, o dwunastej czterdzieści rozpoczynasz szkolenie podstawowe.

Wstał, szykując się do wyjścia. Miałem do niego jeszcze jedno pytanie.

– Proszę pana? Czy wini mnie pan za śmierć Jaya?



Jego sztuczne oko zalśniło zimnym błękitem.

– Hm. Tak, oczywiście, że tak. Podobnie jak pięćset innych osób w tej bazie. Masz naprawdę wiele do nadrobienia, chłopcze.

Wyszedł.

\* \* \*

Czułem się jak nowy uczeń w znienawidzonej szkole, tyle że jeszcze gorzej – jak nowy uczeń w znienawidzonej szkole, kierowanej przez wojsko na dość sadystycznych zasadach. Szkole, w której każdy pochodzi z innego kraju i wszystkich łączy tylko jedno.

To, że cię nie znoszą.

Mogło być gorzej. Nikt nie pluł mi do talerza, nikt nie ciągnął mnie za barak, żeby mnie skopać, nikt nie wpychał mi głowy do kibla i nie spuszczał wody. Ale też nikt się do mnie nie odzywał, chyba że musiał. Nikt mi nie pomagał. Jeśli szedłem na zajęcia w złą stronę, nikt nic nie mówił, a gdy widzieli, jak biegam wokół placu, spocony i zdyszany, bo zjawiłem się pięć minut po czasie – cóż, tylko wtedy dostrzegałem na twarzach pozostałych rekrutów uśmiech.

I kiedy ktoś wywracał mnie przypadkiem podczas wspinania się po linach; kiedy dostawałem najslabszy dysk antygravitacyjny na lekcjach jazdy na dyskach; kiedy wybierałem najstarszą, najpaskudniejszą i najslabszą różdżkę na podstawowym kursie magii; kiedy jadłem obiad sam przy stole pośrodku zatłoczonej stołówki... Wiecie co się działo?

Nie miałem nic przeciw temu.

A nawet się cieszyłem. Nie karali mnie dotkliwiej, niż na to zasługiwałem. Jay ocalił mi życie. Uratował mnie ze statku pośrodku Nigdzie-Nigdzie; więcej niż raz ocalił mnie przed moją własną głupotą. A ja odpłaciłem mu, doprowadzając do jego śmierci.

I jeśli wszyscy ustawili się w kolejce, by mnie potępić, ja stałem na samym jej czele.

\* \* \*

Fala deszczu uderzyła mnie w twarz. Przypiąłem kubek z powrotem do pasa i odwróciłem się do skały.

– Dobra – rzuciłem. – Czas ruszać na górę.

Jo nie odpowiedziała. Zatrzepotała skrzydłami, strząsając z nich lodowatą wodę i także przywarła do ściany. Zaczęła się wspinać. Po paru minutach ruszyłem za nią.

Cały dygotałem, teraz jednak szło mi łatwiej: Jo chyba instynktownie odnajdowała uchwyty i oparcia, a ja podążałem tuż za nią. Wszystko szło świetnie do czasu, gdy deszcz

rozpadał się na dobre.

Uniosłem głowę. Kamień, na którym stała Jo, pękał pod jej stopami.

– Hej! – krzyknąłem, rozpaczliwie machając ręką.

Ona jednak nie zwracała na mnie uwagi. A potem skalna krawędź pękła i Jo zaczęła się zsuwać w gradzie kamyków. Spadła wprost na mnie, odrywając mnie od ściany.

Od ziemi dzieliła nas daleka droga. Spadaliśmy razem, obracając się w powietrzu.

Chwyciłem ją w pasie i odepchnąłem się nogami od skały. Jo natychmiast zorientowała się, co robię, i mocno uderzyła skrzydłami. Może i nie zdoła zbyt długo utrzymać nas w powietrzu, ale też nie potrzebowaliśmy zbyt wiele czasu.

Wylądowała na półce, na której wcześniej posiliłem się zupą.

– Próbowałem ci powiedzieć – oznajmiłem.

– Tak – odparła. – Wiedziałam, że chcesz zwrócić moją uwagę. Po prostu nie zamierzałam na ciebie patrzeć.

Zadrzałem, stojąc w deszczu.

– Jak poznałeś Jaya? – spytałem.

– Tak samo jak my wszyscy. Pewnego dnia zaczęliśmy Wędrować, a on zjawił się i sprowadził nas tutaj. Zazwyczaj po drodze wybawiał nas z niezłych tarapatów.

– Mnie też tak znalazł i po drodze trzy czy cztery razy uratował mi życie. Poświęcił swoje, byleby tylko tu dotarł. Nie sądzę jednak, by tak mnie traktował. I nie sądzę, żeby pozwolił wam tak mnie traktować.

Zapadła cisza. W końcu Jo spojrzała mi prosto w twarz swymi piwnymi oczami, które wyglądały, jakbym patrzył w lustro.

– Masz rację, ja też nie przypuszczam, by to zrobił. Dam znać innym.

Wspięliśmy się w milczeniu na szczyt, ale było to przyjazne milczenie.

Potem było już lepiej. Może nie do końca, ale jednak lepiej.

# Rozdział 10

A ja sądziłem, że sprawdziany u pana Dimasa były trudne.

Na widok egzaminów końcowych w InterŚwiecie nawet oddziałowi Mensy opadłyby szczęki ze zdumienia. Naszym najlepszym mózgowcom dym wychodziłby uszami. Jak odpowiedzieć na pytanie typu: „Czy czynnik nieprawdopodobieństwa w świecie odwróconego czasu jest solipsystyczny, czy też fenomenologiczny?”. Albo: „Podaj sześć zastosowań pandemonium przeciwżywołowego”. A może: „Objaśnij gnozę istot klippotycznych siódmego rzędu”.

Spróbujcie zmierzyć się z czymś takim, kiedy ledwie zaliczyliście ZPT.

Od dwudziestu tygodni przebywałem w obozie szkoleniowym InterŚwiata. Dwadzieścia tygodni nieustannych ćwiczeń, nauki sztuk walki, o których nigdy nie słyszałem (jeden z naszych instruktorów pochodził ze świata, w którym Japonia połączyła się z Indochinami, tworząc między innymi style walki, w porównaniu z którymi taekwondo wygląda jak tańce na wieczorku u cioci), sposobów przetrwania, dyplomacji, magii stosowanej, nauk przyrodniczych i mnóstwa innych rzeczy, których zazwyczaj nie znajduje się w programach szkół średnich – czy nawet M.I.T.

Po dwudziestu tygodniach na diecie InterŚwiata, tygodniach intensywnych ćwiczeń, intensywnej nauki – do diabła, wszystko tam było intensywne – byłem chudy jak pasek suszonego mięsa, a moje odruchy i mięśnie zaczynały przypominać te, o jakich zawsze marzyłem i które oglądałem na reklamówkach drukowanych na tylnych okładkach starych komiksów. Moją głowę wypełniały fakty, zwyczaje i inne ezoteryczne informacje, pozwalające (przynajmniej teoretycznie) udawać tubylca na całkiem licznych Ziemiach, na których ludzkość wyglądała jak ja.

Oczywiście nowo nabyte umiejętności wtapiania się w tło i przeżycia na niewiele by się zdały na innych znanych nam Ziemiach. Choćby na tej, z której pochodziła Jakon Haarkanen. Jakon wyglądała, jakby trzydzieści tysięcy lat temu do jej drzewa genealogicznego przybłąkał się wilk. Była szczupła, drapieżna i ważyła niecałe czterdzieści kilogramów, na które składały się głównie chude, żylaste mięśnie, porośnięte krótkim, ciemnym futrem. Uwielbiała robić nam dowcipy; często przysiadła na jednej z belek pod sufitem sali na piętrze i zeskakiwała na człowieka, kiedy przechodził pod nią, przewracając

go na podłogę. Miała ostre zęby, jasnozielone oczy i nadal wyglądała trochę jak ja.

Jak zapewne wywnioskowaliście z opisu, Jakon jest jedną z moich dalszych kuzynek.

W tym momencie staliśmy – Jakon i ja, a także Josef Hokun i Jerzy Harhkar – na jednym z najwyższych balkonów Bazy podczas rzadkiej przerwy w nauce i obserwowaliśmy stado podobnych do antylop stworzeń, pędzących w dole środkiem wąskiej rzecznej doliny. Zbliżało się południe i pola ochronne przekreślono tak, by przenikał przez nie rzeński, chłodny wietrzyk planety. Obok mnie rosła wysoka idesia, uginająca się pod ciężarem kiści pomarańczowoczerwonych jagód. Przed nami ciągnęły się klomby lilii królewskich, cyklopii, jupiterowca i błękitnego lotosu. Były tu też cykady, drzewa szpilkowe i kwiaty nieistniejące na większości Ziemi od milionów lat. Od ich połączonych zapachów kręciło mi się w głowie, zwłaszcza po suchym, filtrowanym powietrzu niższych poziomów.

Baza, podobnie jak trzy czy cztery inne latające miasta pod kopułami, w których stacjonowały siły InterŚwiata, nie znajdowała się w jednym stałym miejscu. Zamiast tego, napędzana połączeniem magii i nauki unosiła się nad powierzchnią świata, w którym ludzie wciąż iskali się nawzajem i zjadali swoje pchły. Przypominało to nieustanną wycieczkę po parku narodowym wielkości planety – jeden spektakularny widok zastępowały następne. Przemykaliśmy ponad puszciami porastającymi pół kontynentu, wisieliśmy nad wodospadem, który nigdy nie będzie nosił nazwy Niagara. Z bezpiecznej odległości oglądaliśmy wybuchy wulkanów, trąby powietrzne, powodzie...

Istniały gorsze szkoły.

Sunęliśmy na wschód i właśnie zbliżała się pora kolejnego przesunięcia fazowego. Nastąpiło o czasie – na naszych oczach krajobraz w dole zamigotał i jakby się rozplynął. Na moment ujrzeliśmy psychodeliczne kolory Pomiedzy, a potem powróciliśmy do rzeczywistości. Kiedy zorza przygasła, zawiśliśmy nad mroźną tundrą. Wysoko nad nami płonęło słońce. Widziałem odbiegające w dal stado żubrów oraz garstkę ponurych, ociążonych mastodontów, metodycznie obgryzających rozłożystą wierzbę. Powietrze było zimniejsze, a w dali dostrzegłem błyszczące urwiska olbrzymich lodowców, skradających się ku nam i jaśniejących w słońcu niczym szklane góry.

Ta sama dolina. Inny świat.

Zazwyczaj nasze przybycie zaskakuje miejscowych, dlatego właśnie trzymamy się czasów prehistorycznych. To zmniejsza szansę odkrycia. Wszystko stanowi część środków bezpieczeństwa, które musi stosować InterŚwiat, by uniknąć wykrycia przez agentów Binarium i RUN. Szybujące miasta pod kopułami przeskakują losowo pomiędzy skupiskami kilkunastu tysięcy Ziemi, mniej więcej w połowie środka Łuku. Dlatego właśnie mimo mojego

talentu do Wędrowania Pomiedzy potrzebowalem pomocy, by znalezc wlasciwy swiat, w ktorym pozostawala wlascnie Baza.

Pomoc stanowilo owo osobliwe rownanie, ktore Jay nakreslil w krwistoczerwonym piasku. Podobnie jak wiekszosc rzeczy z InterSwiata, dzialalo dzieki polaczeniu magii i nauki;  $j\mu = 4\mu$  nie bylo do konca formula matematyczna, ani tez zakleciem magicznym. Stanowilo paradoks, cos jak pierwiastek kwadratowy z minus jeden, kombinatoryczna abstrakcja, twierdzenie naukowe stworzone za pomoca srodkow magicznych;  $j\mu = 4\mu$  bylo talizmanem memetycznym, ktory kazde z nas nosilo w glowie i nigdzie indziej i ktory pozwalal nam namierzyc Baze poprzez ostatnie kilka warstw rzeczywistosci, niezaleznie od jej polozenia. Stanowilo klucz, ale by przekrecic go w zamku, trzeba bylo byc Wedrowcem. Latajace statki, zasilane energia Wedrowcow zamkniete w butelkach, nie mogly tego dokonac. Podobnie statki kosmiczne krazace wsród bialych szumow podprzestrzeni, zasilane przez zamrozonych Wedrowcow, martwych w dziewiecdziesieciu dziewieciu procentach. Trzeba bylo byc prawdziwym, zywym Wedrowcem, przechowujacym w glowie klucz. I fakt ten w zasadzie uniemozliwial obu imperiom odnalezienie InterSwiata.

Przynajmniej w teorii.

Wszystko to wyjasnialo poczucie bezpieczenstwa, pozwalajace nam przebywac na otwartej przestrzeni, gdy zakuwalismy we czworke do majacych sie odbyc nastepnego dnia egzaminow z podstaw teorii multifazowych asymetrii na spolaryzowanych plaszczynach rzeczywistosci i prawa nieokreslonego trapezoidu obserwowanego podczas Ceremonii Dziewieciu Katow.

Nawet po trzech miesiacach wiekszosc rekrutow wciaz traktowala mnie dosc chladno. Owszem, przysiadali sie juz do mojego stolika, ale nie rwali sie do tego, i choc odzywali sie do mnie i traktowali uprzejmie, wciaz wyczuwalem w nich rezerwe, ktorej nie potrafilem zignorowac. Bylem jednym z nich – bylem nimi, a czlowiek nie moze nienawidzic samego siebie, ale tez nie caly czas musi sie lubic. Skoro jednak nigdy nie mialem zostac krolom popularnosci, nauczylem sie z tym zyc. Trzy alternatywne wersje mnie – nasz wykladowca na zajeciach z podstaw poziomow rzeczywistosci uzywal okrelenia parawcielenia – towarzyszace mi teraz na balkonie byly najblizszym odpowiednikiem przyjaciol, jakich tu mialem, co w tym przypadku oznaczalo „niewrogow”.

– Dobra – powiedzialem. – Wymien wlasciwosci, ktore pozostaja stale, niezaleznie od plaszczyny.

– Uhm. – Josef podrapal sie po nosie. – Wszystkie?

– Sa tylko cztery.

Josef pochodził z Ziemi gęściejszej niż moja, co oznaczało silniejsze pole grawitacyjne. Był zbudowany jak dwunożny czołg i prawdopodobnie silniejszy od jakiegokolwiek ziemskiego czołgu. Wyjaśnił mi to kiedyś – coś o dłuższych, szerszych zaczepach ściegien, zwiększonej proporcji mięśni prążkowanych do gładkich i większej gęstości kości. Mnie wystarczył fakt, że był dwa razy wyższy ode mnie i niemal tak silny, by sięgnąć za plecy i podnieść samego siebie za pasek od spodni.

– Symetria, chiralność, odpowiedniość i uhhmm...

Wyglądał, jakby ewentualnie mógł wygrać w szachy z golemem, ale tylko gdyby ktoś najpierw zasłonił golemowi oczy, w rzeczywistości jednak był całkiem mądry – musiał być, żeby dotrzymać kroku wszystkim innym Joeyom.

– Poddajesz się?

– To nie lateralność, prawda? – spytał bez zbytniego entuzjazmu.

– Owszem – odparłem – to ona.

– Moja kolej – oświadczył Jerzy. – Czym są izohipsy podprogowe i w jaki sposób odnoszą się do Wędrowców?

– To akurat wiem – odpowiedziałem. – Zaczekaj, nie mów...

Jerzy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Spokojna głowa, nie powiem.

W całym spektrum ewolucyjnym Jerzy wydawał się całkiem bliski mnie. Podstawowa różnica pomiędzy ludzkością w jego świecie i moim sprowadzała się do tego, że rodacy Jerzego zamiast włosów mieli pióra. A, i kobiety nie rodziły dzieci, tylko znosiły jajka. Możliwe, że jedno wiąże się z drugim. Zawsze zdumiewał mnie widok Jerzego wyłaniającego się zza rogu – ma twarz niemal identyczną jak moja, może troszkę ostrzejszy nos i wydatniejsze kości policzkowe, lecz jego brwi to miękki szary puch, a „włosy” tworzą barwne, pierzaste wypustki, długie na jakieś dwadzieścia centymetrów, z jaskrawoczerwonymi koniuszkami.

Jerzy to bardzo bystry, błyskotliwy i złośliwy gość. Z kilku milionów Ziemi był mi chyba najbliższy.

– Izohipsa ma coś wspólnego z wysokością, a izohipsy podprogowe pozwalają Wędrowcom przechodzić z jednego świata do drugiego bez lądowania dziesięć metrów pod powierzchnią. To dzięki nim, niezależnie od miejsca, pozostajemy na poziomie Ziemi.

Skrzywił się.

– No, owszem, zgadza się – rzekł. – Mniej więcej. Ale będziesz musiał lepiej to ująć. Hej, widziałeś to? O tam!

– Gdzie?

– Tam, wysoko. Wyglądało jak... sam nie wiem. Jak bańka, balonik czy coś. Nie, już zniknęło.

Spojrzałem w błękitne niebo, lecz niczego nie dostrzegłem.

\* \* \*

Na ostatni tydzień składały się głównie egzaminy, co oznaczało zakuwanie do późna. A najgorsze, że cały czas musieliśmy brać udział w ciężkich zajęciach fizycznych. Programowanie fal delta, któremu poddawano nas podczas trzech czy czterech (jeśli mieliśmy szczęście) godzin snu trochę pomagało, ale do kompletu wciąż trzeba było na staroświecką modłę pochylić się nad książkami. Nigdy w życiu nie pracowałem tak ciężko. Miałem wrażenie, że przepala mi się mózg. Budziłem się w środku nocy, mamrocząc: „wieczny ruch i kamień filozoficzny” albo „istota chthoniczna”, albo „podprzestrzeń (czyli Szum) i Nigdzie-Nigdzie to jedynie odmiany percepcji pozostające względem siebie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni”. Za dużo się uczyłem, a pozostałym wcale nie szło lepiej.

Potem sprawy się jeszcze pogorszyły, bo zacząłem mieć problemy z J/O HrKrem. J/O był prawie identyczny jak ja. Wyglądał jak ja, był tylko o głowę niższy – tak jak ja w jego wieku. Ten sam nos. Nawet te same piegi. Na oko miał jakieś jedenaście lat i był młodszy ode mnie i od większości pozostałych. Może właśnie to go tak wkurzało, albo przynajmniej część jego, bo w połowie był przecież komputerem. Czy też, jak to nazywał, formami bionanotycznymi. Tam, skąd pochodził, wszyscy tacy byli.

– To ma sens – oznajmił któregoś dnia podczas wspólnej sesji w Strefie Zagrożenia. – W końcu nosisz na ręce zegarek. Czemu zatem ja nie mógłbym odczytywać tych samych informacji z mojej siatkówki?

Zanurkowałem, przeturlałem się i uskoczyłem, unikając pęku wijących się stalowych kabli, które nagle wystrzeliły z podłogi w miejscu gdzie stałem. Kable pomknęły w stronę J/O, tworząc wachlarz mający go spętać. J/O uniósł prawą rękę, pokrytą gęstą siatką. Zabłysło oślepiające rubinowe światło, usłyszałem dźwięk przypominający syk boczku na rozgrzanej patelni i gdy wzrok mi się przejaśnił, odkryłem, że z kabli pozostały jedynie poczerwiałe kikuty i zapach ozonu.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz nawet nosić na głowie zegar słoneczny – odparłem, robiąc salto w tył, bo ze ściany wytrysnął potężny płomień. – Po prostu uważam, że to nie fair, że możesz mikroskanować podręczniki i zapisywać je na ROMie, podczas gdy my musimy kuć wszystko na pamięć.

– Wasza strata, mięsogłowi – odparł. – Mam wszystko co najlepsze: krzem i inżynierię cząsteczkową zamiast białek, nukleotydów i zakończeń nerwowych. Oto przyszłość, stary.

Palant. Zachowywał się, jakby sam wynalazł to wszystko, a przecież tylko pochodził z kultury, w której od chwili narodzin zaczynają wstrzykiwać ludziom komputery i maszyny wielkości cząsteczek wody. Ziemia J/O nie należała do satelitów Binarium – jeszcze nie – była jednak znacznie bardziej zaawansowana technicznie i naukowo niż moja.

Gdy egzaminy dobiegły końca – nie, nie poznaliśmy wyników, co zresztą do dziś dnia strasznie mnie wkurza – wezwano nas do sali odpraw, wszystkich stu dziesięciu młodszych rekrutów, i po raz pierwszy od złożenia przysięgi w szpitalu znów ujrzałem Starego.

Wyglądał starzej.

– Panie i panowie, witajcie – rzekł do nas. – Jesteście teraz gotowi, by wziąć udział w wielkiej walce. Nieustannie powstają nowe światy. Niektórymi włada nauka. – Dostrzegłem, jak J/O dumnie unosi głowę. – Inne to światy, których siłą napędową pozostaje magia. Większość stanowi połączenie tych dwóch ekstremów. My z InterŚwiata nie mamy nic przeciw żadnej z owych ideologii. Mamy natomiast wiele przeciw zakusom RUN i Binarium, które próbują narzucić innym światom swoje wierzenia i postrzeganie rzeczywistości – czasami poprzez wojnę, czasami bardziej subtelnymi środkami.

InterŚwiat istnieje po to, by zachować równowagę. Jesteśmy grupą partyzancką, a nasz przeciwnik dysponuje ogromną przewagą sił i środków. Nie możemy bezpośrednio stawić czoła żadnej ze stron, bo nigdy nie zdołalibyśmy wygrać. A zresztą wcale tego nie pragniemy. Możemy być jednak szczyptą cukru w baku samochodu, gumą do żucia na siedzeniu, gwoździem, bez którego zawaliło się królestwo.

Chronimy altiwersum. Utrzymujemy równowagę. To nasz cel: panować nad prądami nauki i magii i, gdzie tylko możemy, pilnować, by łączyły się ze sobą.

Wy, rekruci, ukończyliście pierwszy stopień szkolenia podstawowego. Gratuluję wam. Dobra robota. Jutro zostaniecie podzieleni na mniejsze zespoły, które wyruszą z misjami szkoleniowymi. Będą one identyczne jak prawdziwe operacje w terenie, tyle że, co oczywiste, nie zagrozi wam żadne prawdziwe niebezpieczeństwo. Odwiedzicie Ziemię przyjazną bądź neutralną, a cel misji będzie osiągalny, czasem nawet z łatwością, w narzuconych ramach czasowych. Macie dwadzieścia cztery godziny na to, by ukończyć misję i wrócić do bazy.

W skład każdego zespołu wejdzie czwórka rekrutów i jeden bardziej doświadczony agent, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Co, dodam szybko, nie nastąpi...

\* \* \*



Po wszystkim usiadłem w stołówce obok Jerzego. – Tęsknisz czasem za domem? – spytałem.

– Czemu miałbym tęsknić? – spytał zaskoczony. – Gdybym tu nie trafił, nie zostałbym w gnieździe rodzinnym, tylko bym nie żył. InterŚwiatowi zawdzięczam życie.

– Słuszna uwaga – mruknąłem z zazdrością; ja cały czas tęskniłem i czasami uczuciu temu towarzyszył autentyczny ból, który uruchamiał biosensory i dziwił medyków. Oczywiście nie przyznałbym się do tego głośno. Szybko zmieniłem temat. – Zastanawiam się, czy podczas ćwiczeń znajdziemy się w tym samym zespole.

– Po cóż na próżno spekulować i dywagować? – usłyszałem łagodny głos za naszymi plecami. – Kiedy zwykła perambulacja do tablicy ogłoszeń na samym krańcu korytarza pozwala osiągnąć całkowite i pełne oświecenie co do faktów. – Jai skłonił głowę, uśmiechnął się i odszedł.

– Czy on powiedział, że wywiesili już przydziały? – spytał Jerzy.

– Chyba tak – odparłem i zaczęliśmy ścigać się korytarzem do tablicy, wokół której zgromadził się już tłumek rekrutów, przepisujących do notesów ważne informacje i pokrzykujących między sobą: „Raju, jestem z Joliette! Lepiej weźcie czosnek”, „Hej, Jijoo, jesteśmy jutro w tej samej grupie!”.

Jerzy odchylił w tył głowę i zapiał.

– Jestem w grupie Starego! – wykrzyknął.

Istotnie, Stary we własnej osobie zabierał w teren czwórkę rekrutów. Zazdrościłem mu, ale poczułem też ulgę, że nie padło na mnie; Stary nadal czasami mnie przerażał. J/O też był w zespole Starego, podobnie Jr'ohoho. Ten centaur dał nam w zeszłym tygodniu jasno do zrozumienia, że jeśli jeszcze raz usłyszysz od kogoś z nas wzmianki o końskim śmiechu, ozdobi nam twarzę odciskiem podkowy. Oceniałem, że Stary wybrał do swojego zespołu najbardziej obiecujących kandydatów. Nie zdziwiło mnie, że nie znalazłem się w ich gronie, i nie miałem do niego pretensji.

Naszym doświadczonym opiekunem okazał się Jai, enigmatyczny i, jak raz sam się opisał, makaronizujący.

– To znaczy, że używa mnóstwa obcych słów – wyjaśnił J/O, który ma w głowie dostęp do mnóstwa słowników.

Grupa składała się ze mnie, z wielkiego jak byk Josefa, ze skrzydlatej Jo, która od tamtego dnia na skałach nie odezwała się do mnie ani słowem, ale też nie udawała już, że mnie ignoruje, oraz z Jakon, wilczej dziewczyny. Istniały gorsze zespoły, do których mógłbym trafić.

Zadzwieczęła dzwonek i pomaszzerowaliśmy na zajęcia laboratoryjne z praktycznego cudotwórstwa.

\* \* \*

Budzik zadzwonił pół godziny przed świtem, wrywając mnie z niespokojnego snu, w którym wraz z rodziną z jakiegoś sennego powodu spakowaliśmy się i przeprowadziliśmy Pomiedzy. Dla odmiany próbowałem wspiać się na piętro po schodach, które zamieniły się w rycinę M.C. Eschera oraz słuchałem wykładu mamy o tym, że jeśli będę dostawał złe stopnie, mogą mnie pożreć demony. Mama wyglądała jak obraz Picassa z obojgiem oczu po jednej stronie nosa. Jenny zamieniła się w dziewczynę-wilka, a Lejek stał się prawdziwym lejkiem, mieszkającym na dnie morza. Ucieszyłem się, kiedy wstałem z łóżka.

Ustawiliśmy się w kolejce po owsiankę – prócz mięsożernych wersji mnie, które dostały mielone mięso żubra, gotowane bądź, w przypadku Jakon, surowe. Następnie zabraliśmy sprzęt i ustawiliśmy się w pięcioosobowych grupach na placu apelowym.

Kilka pierwszych grup wyprawiono już w drogę i zniknęły Pomiedzy, kiedy z gabinetu Starego wybiegła asystentka i zawołała go. Stali niedaleko nas.

– Nie mogą? – usłyszałem. – Teraz? Cóż, nic na to nie poradzimy. Kiedy góra wzywa i tak dalej. Powiedz im, że się zjawię.

Odwrócił się do Jaia.

– Możesz zabrać dodatkową osobę, prawda?

Jai przytaknął. W ręce trzymał zapieczętowane rozkazy dotyczące naszej misji.

Stary wrócił do swojego zespołu i przekazał im wieści. Następnie zaczął wskazywać różne miejsca na placu.

Czekałem niecierpliwie. Miałem nadzieję, że trafi do nas Jerzy.

Zamiast tego ujrzałem J/O.

– Cześć, nowy zespole – rzekł. – Jestem gotów do drogi. Idący na śmierć i tak dalej.

– Nie mów tak, nawet żartem – uciał Jai. Poklepał mnie po ramieniu. Miałem być Wędrowcem naszej grupy. – Zainicjuj ekskursję międzywymiarową.

– Co? – zapytała Jo.

Jai uśmiechnął się.

– Zabieraj nas stąd – przetłumaczył.

Odetchnąłem głęboko, otworzyłem w umyśle drzwi do krainy obłądu i pomaszzerowaliśmy tam gęsiego. Pomiedzy było zimne, smakowało jak dym drzewny i wanilią. Wędrowałem.

# Rozdział 11

Od czasu tamtego pierwszego, przerażającego skoku kilkanaście razy odwiedzałem Pomiędzy: podczas podstawowego szkolenia szlifowałem zdolność znajdowania różnych punktów wejścia i wyjścia, uczyłem się, na jakie powierzchnie lepiej nie wchodzić (duże, fioletowe dyski, szybujące w powietrzu niczym latające talerze wielkości samochodów, wydawały się łatwym środkiem transportu; wystarczyło jednak postawić na nich stopę, a wsysały człowieka niczym wygłodniałe bagno) i jak rozpoznawać mudlufy oraz inne niebezpieczeństwa. Nadal nie lubiłem tego miejsca. Było zbyt niezwykle, zbyt niestabilne. Podczas jednej z wielu lekcji przetrwania instruktorka opisała nawigację Pomiędzy jako „intuicyjne narzucanie porządku liniowego w nierozwiniętym ugięciu fraktalnym”. Zauważyłem, że bardziej przypomina mi to próby odnalezienia drogi wewnątrz olbrzymiej lampy z przelewającymi się kolorami. Odparła, że to mniej więcej to samo.

Lecz, wierzcie lub nie, istniały sposoby, by się przez nie przedostać i dotrzeć tam, gdzie zamierzamy. Nie były łatwe, zwłaszcza dla kogoś takiego jak ja, kto miał problemy z trafieniem do sklepu na siatce dwuwymiarowej, takiej jak powierzchnia Ziemi. Nikt nie wie dokładnie, ile wymiarów obejmuje Pomiędzy – najlepsze mózgi InterŚwiata ustaliły, że jest ich co najmniej dwanaście, a być może w najróżniejszych subatomowych szczelinach i zakamarkach kryje się kolejnych pięć czy sześć. Pełno tam było hiperboloid, wstęg Moebiusa, butelek Kleina... tak zwanych brył nieuklidesowych. Człowiek czuł się jak uwięziony wewnątrz najgorszego koszmaru Einsteina. Poruszanie się Pomiędzy to nie tylko kwestia spojrzenia na kompas i rzucenia: „Tędy”. Nie ma tam czterech kierunków czy ośmiu, czy nawet szesnastu. Istnieje nieskończona liczba możliwych dróg – i ich znalezienie wymaga skupienia i koncentracji, jak wypatrzenie ukrytych Indian na obrazku przedstawiającym las. Co więcej, wymaga też wyobraźni.

Kiedy przeszliśmy przez portal (tym razem wyglądał jak sklepowe obrotowe drzwi, tyle że z tkwiącymi w nich wielobarwnymi witrażami), zatrzymaliśmy się na jednej ze ścian olbrzymiego dwunastościanu, czekając, aż Jai otworzy zapieczętowane rozkazy. Wyjął kartkę i upuścił kopertę (która natychmiast rozpostarła skrzydła i odleciała; śmiecenie Pomiędzy nie jest rzeczą łatwą). Rozłożył kartkę i w milczeniu przebiegł wzrokiem.

– Mamy podążać pod następujące współrzędne – odczytał. – To jeden ze światów

neutralnych konfederacji Lorimare. Na miejscu musimy znaleźć trzy sygnalizatory, rozmieszczone w promieniu kilometra od miejsca wyjścia.

Wziąłem kartkę i przyjrzałem jej się. Same współrzędne mówiły już coś o celu naszej wyprawy. Jeśli wyobrazicie sobie Łuk – to, co nazywamy altiwersum – jako krzywą, grubą pośrodku i coraz cieńszą na końcach, ta szczególna Ziemia leżała prawie dokładnie w centrum krzywizny, w jej najgrubszym miejscu. Światy na końcach obu ramion są albo całkowicie magiczne, albo też całkowicie techniczne. Lecz w pobliżu centrum linia demarkacyjna zaczyna się rozmywać. Na ramionach imperia Binarium i RUN władają milionami Ziem, otwarcie, bez żadnych protestów. Lecz bliżej środka z obu stron ich żelazny uścisk zaczyna nieco słabnąć. Na owych Ziemiach jedna bądź druga potęga rządzi zza kulis, posługując się figurantami takimi jak Iluminaci bądź technokraci. Istnieją także światy, których cywilizacja opiera się na nauce bądź czarach, lecz które nie zostały jeszcze wchłonięte przez naszych wrogów. Zaliczała się do nich moja Ziemia – leżąca nieco bliżej ramienia nauki niż magii. Świat, do którego zmierzaliśmy, był położony jeszcze bliżej środka Łuku – szala cywilizacyjna bardzo wcześnie przechyliła się na nim w stronę nauki, lecz równie dobrze mogła odchylić się w drugą, w kierunku magii.

Jai wskazał mnie ręką.

– Proszę, odeskortuj nas do naszego autentycznego celu, Wędrowcze.

Przytaknąłem, powtórzyłem w myślach współrzędne i pozwoliłem im się prowadzić, tu i tam, niczym psychicznej różdżce. Namierzyłem wybrany węzeł wyjściowy – pulsujący, kraciasty pierścień po drugiej stronie czegoś, co przypominało pole rozwijających się makaronowych wstążek. Kolejno zeskoczyliśmy z dwunastościanu na wielki, wężlasty cyprysowy korzeń, unoszący się w łagodnym, złocistym blasku. Już miałem zabrać ich stamtąd do stożka, gdy nagle tuż obok mojej głowy coś szybko przemknęło, pozostawiając za sobą wielobarwny ślad.

– Mudluf! – krzyknęła Jokan. – Kryć się!

Jak to Jokan, zignorowała własne polecenie i skuliła się przy ziemi, napinając mięśnie. Warknęła groźnie, rozglądając się po chaotycznym otoczeniu.

Jo, Jai i Josef poszli w jej ślady. J/O przykucnął, uniósł rękę z laserem i poruszył celowniczym okiem, próbując namierzyć zagrożenie. Zareagował ze zdumieniem, kiedy wskoczyłem mu na linię ognia.

– Stój! – krzyknąłem. – Nie strzelaj! To mój przyjaciel!

Pozostali spojrzeli na mnie, zaskoczeni.

– To mudluf. – Tym razem Jai zrezygnował ze swych ulubionych, skomplikowanych

słów; rozumiałe, biorąc pod uwagę zagrożenie. – One wszystkie są niebezpieczne.

J/O próbował manewrować wokół mnie, żeby strzelić w Tęczka. Przesunąłem się równocześnie z nim. Tymczasem Tęczek wyglądał mi niespokojnie znad ramienia.

– To pomiędzy, o którym wam opowiadałem – wyjaśniłem. – Ten, który... – Umilkłem, za późno pojmując, że niemądrze byłoby wspominać o tym, co spotkało Jaya. – Który... ocalił mi życie – dokończyłem nieco niezręcznie. – Wierście mi, nie robi wam krzywdy.

Moi towarzysze zdecydowanie nie wyglądali na przekonanych, lecz powoli wyłonili się ze swoich kryjówek. Tęczek cały czas rozsądnie trzymał się za moimi plecami. Przemówiłem kojąco z nadzieją, że zdołam go wywabić.

– Cześć, mały, co słyhać? Dobrze cię znów widzieć. Chodź, poznaj całą bandę, i tak dalej.

Odrobinę się ośmielił, ale nadal trzymał się blisko mnie. Jego ciało pulsowało niespokojnymi kolorami, głównie akwamarynem z turkusowymi żyłkami.

– Jesteśmy już niemal przy portalu. Tęczek nie opuści Pomędzy.

Nie wspominałem, że wraz z Jayem po raz pierwszy spotkaliśmy go w świecie granicznym, mającym pewne cechy Pomędzy, lecz generalnie znacznie bliższym normalnej rzeczywistości. Miałem nadzieję, że Tęczek nie zechce – nie zdoła – do końca opuścić Pomędzy. W końcu był mudlufem, multiwymiarową dynamiczno-labilną formą życia, co oznaczało, że zapewne nie mógłby ograniczyć się do zaledwie czterech rozmiarów płaszczyzn ziemskich. Przypominałoby to próby wepchnięcia olbrzymiej ośmiornicy do pudełka po butach. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

– No dobrze – rzekł z wahaniem Jai. Wraz z pozostałymi zebrali się wokół mnie, choć nikt nie zbliżał się do Tęczka.

– Dokąd teraz? – spytał Josef.

– Tędy. – Wskazałem kraciasty obwarzanek.

Jai skoczył i zanurkował w sam środek. Reszta poszła w jego ślady, aż w końcu pozostałem tylko ja.

Odwróciłem się do Tęczka. Bańkowaty stwór unosił się obok mnie, migając z nadzieją błękitami i zieleniami.

– Przykro mi, mały, ale mam coś do załatwienia w prawdziwym świecie. Może zobaczymy się w drodze powrotnej.

Szczerze mówiąc, poważnie w to wątpiłem. W końcu jakie były szanse, że spotkam się z nim ponownie w niepoznawalnym, niemożliwym do ogarnięcia ogromie Pomędzy?

Praktycznie zerowe...

Co oznaczało, że w jakiś sposób mnie wytropił.

Myśl ta jednocześnie wzruszyła mnie i wzbudziła obawę. Podczas nauki ani razu nie natknąłem się na nic, co wskazywałoby, że mudlufy są w stanie wyczuć ludzi i ich odnaleźć, nie mówiąc już o polubieniu – lecz biorąc pod uwagę fakt, że całość naszej wiedzy na ich temat pozostawiłaby sporo luzu nawet w pępku wirusa grypy, nie było w tym nic dziwnego.

Mimo wszystko poczułem sympatię do malucha. Miałem nadzieję, że zostanie i zaczeka na nas.

– Pa, Tęczku – powiedziałem.

Przeskoczyłem przez obwarzanek...

I prześliznąłem się przez portal, który za moimi plecami skurczył się i zniknął. Lecz w ostatniej chwili przez otwór przecisnął się mały ściśnięty balonik, podobny do mydlanej bańki, i powiększając się szybko do rozmiarów Tęczka, pomknął ku mnie. Z początku go nie zauważyłem, bo, jak to czasem bywało – wciąż nie opanowałem tego uczucia – mój żołądek opuścił resztę wnętrzości, ogłaszając bunt, do którego stłumienia potrzebowałem mniej więcej minuty. Potem moje uszy wewnętrzne wynegocjowały dodatkowy traktat i zdołałem wstać, lekko chwiejąc się na nogach, i rozejrzeć się wokół.

Tuż przed tym, nim dostrzegłem Tęczka, zauważyłem wyraz twarzy moich towarzyszy.

– Mówiłeś, że nie opuści Pomiędzy – rzuciła oskarżycielsko Jo.

Wzruszyłem ramionami. Tymczasem Tęczek zajął swą zwykłą pozycję, tuż nad moim lewym ramieniem.

– Co mogę powiedzieć? Nie mam pojęcia, jak się go pozbyć. Jeśli ktoś ma jakieś sugestie, jestem otwarty na propozycje.

Nikt ich nie miał. Jai uznał, że lepiej będzie skupić się na czekającym nas zadaniu, czyli odnalezieniu pierwszego sygnalizatora. Miałem właśnie ostrzec Tęczka, żeby się zachowywał, lecz gdy się rozejrzałem, słowa zamarły mi na ustach.

Widok był naprawdę imponujący. Staliśmy na dachu, spoglądając na miasto przypominające okładkę starego magazynu fantastycznego. Wysokie, smukłe wieże, wdzięczne niczym meczety, wyrastały wokół nas z majestatem nowojorskich drapaczy chmur. Łączyły je lekkie pomosty i przejrzyste, szklane rury. Pojazdy powietrzne – dwuosobowe, błyszczące wehikuły w kształcie łez – wlatywały ze specjalnych lądowisk, przemykając w czystym powietrzu.

Żadne z nas nie mogło zbyt długo podziwiać widoków – ten świat nie wyglądał

szczególnie niebezpiecznie, ale podobnie jest z kolorowym, pasiastym węzem koralowym, nim nas ugryzie. Jakiś metr od nas z dachu wyrastał okrągły kiosk z błyszczącego metalu, ozdobiony secesyjnymi wirnikami. Znak na drzwiach głosił szyb windy – dzięki Bogu na tej Ziemi posługiwano się rozpoznawalną formą angielskiego. Lecz przesuwne drzwi były zamknięte, choć nie dostrzeżliśmy ani śladu zamka.

– Pozwólcie. – J/O wycelował ręką z laserem w styk drzwi i kiosku. – Patrzcie, zaraz go rozwalę.

– Czy twoje maniery całkiem się zdematerializowały? – spytał Jai. – Jesteśmy gośćmi w tym miejscu. Bezsensowne niszczenie osobistej własności stanowiłoby jedynie akt bezpodstawnego wandalizmu.

Zamknął oczy i dotknął drzwi, które rozsunęły się powoli. W środku nie dostrzegłem ani śladu windy, ale ze ściany po drugiej stronie sterczały metalowe uchwyty. Zaczęliśmy schodzić kolejno, pokonując piętra. J/O cały czas marudził, że nigdy nie pozwalamy mu użyć ręcznego lasera. Tęczek trzymał się blisko, wisząc nad naszymi głowami w szybie. Raz zanadto zbliżył się do Jokan i na jej ostrzegawcze, wilcze warknięcie skoczył w górę na dobre pięć metrów. Odkryłem, że się zastanawiam, jak coś tak bezbronnego mogło przetrwać Pomiedzy.

Kiedy schodziliśmy, Jai wyjął z kieszeni urządzenie wielkości i kształtu napałka i położył na dłoni. Po chwili zaczęło unosić się w powietrzu. Mała dioda rozbłysła i migiała miarowo, wskazując przed siebie.

– Lokalizator aktywowany – oznajmił. – Poszukiwany obiekt rezyduje na przedpreultymatycznym poziomie tej rezydencji.

– Czy naprawdę coś by ci się stało, gdybyś za każdym razem, gdy coś mówisz, ściał choćby parę sylab? – Jo z irytacją poruszyła skrzydłami.

– Właśnie – dodał J/O. – Mam najnowszy chip Merriama-Webstera – dwadzieścia tera różnych słowników, tezaurusów, leksykonów i tak dalej, obejmujących słownictwo z ponad sześćdziesięciu płaszczyzn rzeczywistości. A jednak część twoich tekstów wciąż do mnie nie trafia.

Jai jedynie się uśmiechnął.

– Po co komu bogate słownictwo, jeśli go nie używa?

Drzwi windy otwarły się i znaleźliśmy się w laboratorium, tak wypolerowanym i modernistycznym, że doktor Frankenstein na jego widok rozplakałby się z zazdrości. Podobnie jak miasto, pomieszczenie wyglądało, jakby powstało w latach pięćdziesiątych, a potem przeskoczyło kilka dziesięcioleci i wylądowało wprost w dwudziestym pierwszym

wieku. Rzędy lamp zamontowanych na wysokim sklepieniu oświetlały wszystko ostrym, bezlitosnym blaskiem. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono błyszczące rzędy komputerów, kryjących potężne rolki taśmy magnetycznej. Były tam kondensatory, elektrody, z których od czasu do czasu z trzaskiem strzelały iskry, potężne zamrażarki i inne urządzenia, których nie rozpoznałem.

O dziwo, choć większość sprzętu działała, w środku nie zastaliśmy nikogo. Jakon wspomniała o tym. Jai wzruszył ramionami.

– Widać mamy szczęście.

Zaczął przesuwać wokół palcem w ślad za pomrukiwaniem naparstka, aż w końcu światełka utworzyły prostą, wąską linię.

– Tutaj. – Wskazał ręką.

„Tutaj” oznaczało serię półek jakieś siedem metrów nad ziemią, w dwóch trzecich wysokości laboratorium.

– Ja to załatwię.

Jo wystąpiła naprzód, rozłożyła skrzydła – starannie unikając iskrzącego generatora Vandegraafa – i uniosła się w powietrze. Wznosiła się łagodnie w blasku białych, anielskich piór i patrząc na nią, pomyślałem, że Ziemia, z której pochodzi, musi najbardziej w całym altiwersum przypominać niebo.

Jo zatrzymała się, zawisła obok półki i sięgnęła za stojące na niej przedmioty. Tęczka wyraźnie zafascynowała jej zdolność latania, lecz ostrożność wygrała z ciekawością, toteż jedynie unosił się metr czy dwa dalej, obserwując wszystko. Jo zdjęła z półki mały wihajster, który zdaje się błyskał, choć nie miałem pewności – rozbłyski były na granicy ultrafioletu, na samym krańcu widma widzialnego pasma. Z jakiegoś powodu budziły we mnie niepokój, więc odwróciłem wzrok i ponad konsolą i monitorem wyjrzałem przez okno.

Coś mi się tu nie podobało, ale nie umiałem określić co...

Laboratorium leżało trzy piętra poniżej szczytu wieży i z okna było widać niemal całe miasto. Usłyszałem szelest skrzydeł Jo lądującej za moimi plecami i niepokój, który wyczuwałem z tyłu głowy, zaczął narastać. Wręczyła sygnalizator Jaiowi.

– Jeden z głowy, zostały jeszcze dwa – powiedziała Joka. Czy raczej na wpół powiedziała, na wpół wywarczała.

– W tym ćwiczeniu musi się kryć coś więcej – zagrzmiął Josef. W jego głosie dźwięczała nutka zawodu.

A ja chciałem rzec: „Kryje się, kryje... więc zachowajcie ostrożność”, ale nie wiedziałem, dlaczego pragnę to powiedzieć. A potem ujrzałem, jak jeden z owych smukłych



pojazdów powietrznych przemyka obok okna, i zrozumiałem.

Było już jednak za późno.

Obróciłem się błyskawicznie do pozostałych.

– To pułapka – zdołałem wykrztusić i nie powiedziałem już nic więcej, bo wtedy wszystko się...

...zmieniło.

Wyglądało to jak fala, której źródłem był sygnalizator w dłoni Jo – fala rozchodząca się na wszystkie strony, zalewająca wszystko po drodze – w tym nas. Poczułem jedynie chłód i dezorientację, żadnemu z moich towarzyszy także nic się nie stało.

Lecz wszystkiemu innemu owszem. Rozszerzająca się przejrzysta fala przemknęła po wyposażeniu i sprzętach naukowych, odmieniając je. Bezlitosny, fluorescencyjny blask ustąpił miejsca migotliwemu, żółtemu światłu świec. Monitor pokazujący obraz z kamer przemysłowych zamigotał i zamienił się w kryształową kulę. Rząd chemikaliów i roztworów w szklanych retortach i probówkach stał się dębową szafą z glinianymi dzbankami i fiolkami pełnymi najróżniejszych proszków, soli i eliksirów. Komora ochronna na materiały toksyczne i promieniotwórcze zmieniła się w krąg złotych cegieł wbudowanych w posadzkę i oznaczonych ochronnymi symbolami kabalistycznymi. Fala – w istocie będąca rozszerzającym się bąblem, w którego środku się znajdowaliśmy – rozrastając się, jednocześnie przyśpieszała i po paru sekundach futurystyczne laboratorium przeistoczyło się w sanktuarium czarnoksiężnika.

A zmiana bynajmniej się na tym nie zakończyła. Wyglądając przez okno, widziałem falę rozchodzącą się po mieście na wszystkie strony, niczym fala uderzeniowa po wybuchu jądrowym. Secesyjne wieżowce i iglice falowały, stając się gotyckimi wieżami z kamienia. Pomosty i szklane rury między budynkami zniknęły, a statki powietrzne zmieniły się w skrzydlate stwory podobne do smoków, dźwigające na grzbietach pasażerów.

Wystarczyła niecała minuta, by błyszczące miasto science fiction stało się średniowiecznym grodem z zamkiem pośrodku. My sami przebywaliśmy w najwyższej wieży. Nawet w oknie, przez które wyglądałem, tkwiła teraz nierówna szyba, osłonięta ukośną, żelazną kratą. Wszystko się zmieniło.

Nie, pomyślałem wtedy, nie zmieniło. Nie można zmienić tego, co istnieje, a to zawsze był świat rządzony przez magię, nie naukę. Moja podświadomość dostrzegła to w chwili, gdy Jo wzleciała po nadajnik. Jej skrzydła były stanowczo za małe, by udźwignąć ciało wyłącznie dzięki sile nośnej i zmianom ciśnienia powietrza. Lud Jo wyewoluował w świecie, w którym magia tkwiła w samym powietrzu. Umiała latać tylko w obecności podobnych niezemskich

mocy.

Na przykład tutaj.

– Wracajcie na dach! – krzyknąłem i odwróciłem się do windy, tylko po to, by ujrzeć wąską klatkę schodową, pełną strażników celujących w nas włóczniami, mieczami i kuszami.

W duchu zwymyślałem się od najgorszych kretynów. Nic dziwnego, że nigdzie, prócz kabin odległych pojazdów powietrznych, nie dostrzeżliśmy ludzi. Nic dziwnego, że całe miasto błyszczało nowością. Rzucono na nie urok, przeznaczony wyłącznie dla nas; zakłęcie widzenia, które nakazywało oczom i umysłowi postrzegać jedynie fałszywe pozory. Dotykając sygnalizatora – czy raczej udającego go talizmanu – zdjęliśmy czar i daliśmy znać agentom RUN, że tkwimy bezpiecznie w potrzasku.

Nic dziwnego, że tak łatwo nam szło!

Tęczek unosił się niespokojnie nade mną i moimi towarzyszami. Tymczasem zbrojni rozstąpili się, przepuszczając dwóch ludzi, których miałem nadzieję nie oglądać już nigdy więcej – Scarabusa, pierwowzór Człowieka Ilustrowanego, i Neville'a, chodzącego, mówiącego człowieka galarety, podobnego do tego, którego model dostałem kiedyś na Gwiazdkę. Zeszli po schodach i zatrzymali się po obu stronach wejścia. Wyraźnie na kogoś czekali i bez trudu odgadłem na kogo.

Nagle zaszeleściły jedwabne szaty i z ciemności na schodach wyłoniła się postać w płaszczu. Wstąpiła w krąg migotliwego światła, odrzuciła kaptur i zmierzyła nas wzrokiem. Na mój widok uśmiechnęła się szeroko.

– I znów się spotykamy, Joeyu Harkerze – powiedziała pani Indygo. – Cóż za cudowna niespodzianka. I proszę! Tym razem przyprowadziłeś przyjaciół.

## Rozdział 12

– Chowajcie się za mnie! – krzyknął Jai, dowodząc, że w razie konieczności potrafi wyrazić dokładnie to, co chce.

Unosił się jakieś piętnaście centymetrów nad podłogą. Podniósł obie ręce i przed nami wyrosło coś przypominającego wielki, przezroczysty parasol. Jai wyjaśniał mi kiedyś, że jego zdolności psychokinetyczne nie zależą ani od magii, ani od nauki, choć w światach magicznych są silniejsze. Twierdził, że to umiejętności duchowe. Nieważne. Miałem tylko nadzieję, że zdołają powstrzymać panią Indygo.

Deszcz beltów z kusz zasypał naszą tarczę, zwolnił w powietrzu i runął bezwładnie na ziemię.

Pani Indygo skinęła ręką i nad jej dłonią rozbłysła kulka zjadliwie zielonego ognia. Uniosła ją do ust i dmuchnęła. Kula pomknęła w stronę parasolowej tarczy Jai'a. Kiedy w nią uderzyła, eksplodowała w lepki, szkarłatny płomień. Jai wyglądał, jakby zaciskał zęby; zaczął się pocić, a potem powoli drżeć. Z coraz większym wysiłkiem utrzymywał osłonę.

I nagle z głośnym pstryknięciem tarcza zniknęła w rozbłysku szkarłatnego ognia. Jai runął na ziemię.

Usłyszałem groźny warkot. Josef podniósł Jakon, dziewczynę-wilka, i cisnął nią, niemal wtoczył po schodach. Wyglądało to jak jedna z gier, w które graliśmy w bazie, tyle że tym razem wszystko działo się naprawdę. Jakon przeturlała się zręcznie niczym gimnastyczka, roztrzając tuzin łuczników. Potem skoczyła ze schodów na Neville'a. Chyba spodziewała się go wywrócić, gdy jednak dotknęła galaretowatego ciała, zastygła, jak ktoś sparaliżowany jadem meduzy. Neville podniósł ją niczym dziecięcą zabawkę, raz potrząsnął i upuścił. Nie poruszyła się więcej.

Josef sapnął i rzucił się na Neville'a. Przypominało to atak czołgu, lecz człowiek-galareta w ogóle się nie przejął. Josef wbił pięść głęboko w wielki brzuch Neville'a. Ten jednak tylko rozciągnął się jak w zwolnionym tempie.

Człowiek galareta zaśmiał się głośno, zgrzytliwie, bulgotliwie.

– Posyłają przeciw nam dzieci – rzekł, a potem wyciągnął rękę.

Galaretowate ciało wystrzeliło naprzód, oblepiając twarz Josefa. Widziałem, jak walczy, próbując złapać oddech, jak wybałusza oczy. Później także runął na ziemię.

Jo z trzepotem skrzydeł wleciała aż pod powałę. Trzymała się najdalszego kąta, poza zasięgiem strzał.

Pani Indygo pstryknęła palcami, Scarabus ukląkł u jej stóp. Dotknęła palcem obrazka wijącego mu się na kręgosłupie. Przedstawiał smoka.

Nagle Scarabus zniknął – na jego miejscu siedział olbrzymi, syczący gad ze skrzydłami i szponiastymi łapami, wyrastającymi z upiornego, węzowego ciała. Wleciał w górę i owinał się wokół belek, poruszając się błyskawicznie w stronę Jo, która cofnęła się pod ścianę, przerażona.

Niemal od niechcenia oplótł ją i uderzył o mur, po czym cofnął się na ziemię, niosąc ze sobą nieprzytomną dziewczynę.

Kiedy raz jeszcze zwinął się na posadzce, otrząsnął się i z powrotem zamienił w Scarabusa. Jo leżała na ziemi obok niego.

W komnacie zapadła cisza.

Bardzo chciałem coś zrobić, ale co? Nie miałem żadnych niezwykłych mocy ani zdolności, jak pozostali. Nie zabrałem też broni; nikt z nas nie był uzbrojony, prócz J/O, u którego broń stanowiła część ciała. Pamiętajcie, że to była misja szkoleniowa.

– Jakich uroczych masz przyjaciół – powiedziała pani Indygo. – I w dodatku to wszystko Wędrowcy. No, w pewnym sensie. Nikt z nich nie dorównuje tobie potęgą ani zdolnościami, ale po ugotowaniu i zamknięciu w butelkach każde zasili statek albo dwa, co?

Opowiedzenie tego wymaga czasu, w istocie jednak wszystko rozegrało się w ciągu paru sekund. Teraz zostaliśmy tylko ja i J/O. Owszem, miałem problemy z nieznośnym smarkaczem – przypuszczam, że w jego wieku też byłem taki – lecz w tej chwili zostaliśmy tylko on i ja. No i Tęczek, który skurczył się do rozmiarów kuli do kręgli i przybrał przerażony odcień przejrzystej szarości.

– Nie, raczej nie – odparł J/O na pytanie pani Indygo i wycelował w nią swym ręcznym laserem. Jego koniuszek rozjarzył się słabym, rubinowym blaskiem, poza tym jednak nic się nie stało.

Uznałem, że to nie najlepsza pora na przypomnienie, że poza pewnymi wyjątkami w czysto magicznych światach urządzenia techniczne przestają działać.

Słowo, które wypowiedział J/O, musiało pochodzić z jednego z jego programów słownikowych, bo z całą pewnością nie nauczył się go ode mnie.

A potem pani Indygo także wymówiła słowo, którego nie można znaleźć w żadnym słowniku. Lekko poruszyła dłońią i J/O stanął nieruchomo z bardzo niemądrą miną.

– Zabierzcie ich do lochu – poleciła żołnierzom – każde ma trafić do innej celi. I

skujcie ich. – Podeszła do J/O. – Idź z tymi miłymi panami do celi, którą dla ciebie przygotowali i pomóż im się zakuć w kajdany. Kiedy już się rozgościsz, przyjdę cię odwiedzić.

Kiedy na nią spojrział, wyglądał jak spaniel patrzący na boga. Na ten widok zrobiło mi się niedobrze, bo wiedziałem, że musiałem wyglądać tak samo, gdy Jay uratował mnie z tamtego pirackiego statku.

Ale wiecie, od czego było mi jeszcze bardziej niedobrze? Powiem wam. Oto odpowiedź: zostawili mnie na koniec, bo zupełnie się mną nie przejmowali. Każde z pozostałych stanowiło problem, który należało rozwiązać, albo irytującą przeszkodę do pokonania. Ja byłem błahostką... nie liczyłem się.

– A co ze mną? – spytałem.

– A, tak, mały Joey Harker. – Podeszła do mnie trochę za blisko. Czulem jej perfumy, dziwną mieszaninę zapachu róży i woni zgnilizny. – Idealnie wyczułeś stosowny moment. Miałam nadzieję, że złapię w naszą małą pułapkę Wędrowca pierwszej klasy, ale ciebie? To więcej niż mogłam liczyć. Flota RUN cię potrzebuje, i to bardzo. Właśnie rozpoczynamy potężną operację, a ty... Ty możesz zasilić całą armadę wojennych okrętów. Za godzinę odpływa szkuner pocztowy, zabierze cię. Oczywiście będziesz sparaliżowany. Scarabusie.

Wytatuowany człowiek skinął głową.

– Wszystko gotowe, pani.

– Doskonale – rzekła i rzuciła na mnie zakłęcie.

Przypuszczam, że miało mnie sparaliżować, ale nie potrafię tego powiedzieć na pewno, bo nim do mnie dotarło, Tęczek pomknął w dół i je przechwyił. Zakłęcie uderzyło go w snopie złocistych iskier i wyparowało w nicłość.

Tęczek przybrał dokładnie taki odcień różu, jak puszyste ręczniki w łazience pani Indygo. Zastanawiałem się, czy miał to być mudlufowy dowcip.

Pani Indygo wyraźnie nie rozbawił. Spojrzała na swych siepaczy.

– Co to za stwór? Neville?

– Nigdy w życiu nie widziałem takiego – odparł człowiek galareta i cisnął w Tęczka wielką, zieloną wazą kanopską.

Dotknąwszy powierzchni ciała Tęczka, naczynie na moment zastygło w czasie i przestrzeni, a potem zniknęło bez śladu. Na przejrzystej skórze, jakże przypominającej mydlaną bańkę, zatańczyły pasma zieleni, złota i różu. Po sekundzie mudluf zbiełał.

Przez chwilę wisiał w powietrzu, kołysząc się łagodnie, zupełnie jakby przyglądał się ludziom zebranych w pokoju i próbował podjąć jakąś decyzję. A potem śmignął ku mnie.

Przez moment dotykałem powierzchni Tęczka – zimnej, śliskiej i co dziwne, wcale nie obrzydliwej – i wtedy świat eksplodował.

Ujrzałem mnóstwo rzeczy jednocześnie, jakby nałożonych na siebie: panią Indygo i piwnicę; świat, na który rzucili pseudonaukowy urok; powalonych towarzyszy – tyle że wszystko to oglądałem pod wszelkimi możliwymi kątami, z góry, z dołu, z boków i od wewnątrz. Czuję się, jakbym widział to także w czasie – wszystkie przecięcia linii, które doprowadziły ich w to miejsce.

Potem zaś wśliznąłem się do świata, gdzie wszystko miało doskonały sens, było skupione, zwyczajne i dogłębnie logiczne, i na jakimś poziomie zrozumiałem, że znaleźliśmy się Pomiedzy. Tyle że to było Pomiedzy oglądane z punktu widzenia międzywymiarowej formy życia. Tak właśnie widział to miejsce Tęczek.

Nasze umysły się zetknęły i w głowie pojawiło mi się coraz silniejsze przecucie co do tego, czym naprawdę jest Tęczek...

...i...

...runąłem na coś, co Pomiedzy odpowiada ziemi. W tym przypadku była to cieniutka warstwa miedzianego płynu, którą najwyraźniej utrzymywało w całości wyłącznie napięcie powierzchniowe. Na niebie rozplątało się stadko maleńkich, osobliwych powietrznych wirów.

Otoczenie przestało mieć głęboki sens, co przyjąłem z ogromną ulgą. Tęczek z powagą wisiał w powietrzu obok mnie, albo może Tęczek wielkości Vermontu znajdował się tysiąc mil dalej, połyskując ciepłym, dodającym otuchy odcieniem błękitu. Wypuścił z siebie nibynóżkę, delikatnie rozłożył ją w wachlarz koślawych palców, poruszył nimi ze smutkiem i wchłonął z powrotem w głąb kolistego ciała.

– Dzięki, że mnie stamtąd wyciągnąłeś – powiedziałem. – Ale muszę wrócić. Mają mój zespół.

Gdyby pozbawiony wszelkich cech zewnętrznych balonik mógł wzruszyć ramionami, to Tęczek właśnie by to zrobił.

Skupiłem się na współrzędnych bramy światów...

I nic się nie stało. Zupełnie jakby planeta przestała istnieć. Jakby współrzędne nie miały sensu.

Skupiłem się mocniej. Nic.

– Tęczku, gdzie my jesteśmy? Co się tam stało?

On jednak wyglądał tak, jakby moja osoba przestała go interesować. Zawirował, wskoczył w płamę niewyraźnej muzyki wygrywanej na wietrznych dzwoneczkach i zniknął.

– Tęczku! Tęczku! – wołałem, lecz mudluf odszedł na dobre.

Raz jeszcze spróbowałem dotrzeć do świata, do którego zabrałem mój zespół; bez skutku.

A potem z ciężkim sercem pomyślałem:  $j\mu = 4\mu$  i wróciłem do Bazy, z nadzieją, że zabiorę stamtąd posiłki i przynajmniej spróbujemy wyrwać moich towarzyszy ze szponów pani Indygo.

\* \* \*

W Bazie roiło się od powracających ekip szkoleniowych, tryumfalnie niosących nadajniki. Zobaczyłem przejeżdżającego obok centaura J'r'hoho. Na jego grzbiecie siedział chłopak, który mógł być mną.

Podbiegłem do pierwszego dostrzeżonego oficera, kobiety, i opowiedziałem jej moją historię. Zbladła, zawołała kogoś i naradziła się z nim szybko.

Potem zabrała mnie do pomieszczenia za magazynami, służącego w Bazie za coś w rodzaju aresztu. Wyciągnęła przedmiot podobny do standardowych pistoletów policyjnych na Ziemi i kazała mi usiąść na plastikowym krzeselku ogrodowym, jedynym meblu w pomieszczeniu. Sama tymczasem stanęła przy drzwiach, celując we mnie.

– Jeśli spróbujesz Wędrować, rozwalę ci głowę – oznajmiła ostrym tonem.

Co gorsza, gdzieś pośród nieskończonych możliwych światów, w kamiennym lochu pod zamkową fosą siedział mój zespół, zakuty w kajdany, poraniony, sam.

# Rozdział 13

Przyszli i zadawali mi pytania, a ja odpowiadałem na nie najlepiej jak umiałem. Trochę przypominało to odprawę, trochę przesłuchanie.

Było ich troje, dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Cała trójka była mną, tyle że starszymi mną.

I wciąż zadawali mi te same pytania.

– Dokąd ich zabrałeś? Jak uciekłeś? – I wciąż bez końca: – Gdzie oni są?

A ja opowiadałem o tym, jak sądziłem, że zabrałem grupę we właściwe miejsce. O tym, jak Tęczek, mały mudluf, wyciągnął mnie stamtąd. O tym, jak próbowałem wrócić i ich znaleźć, ale nie mogłem się tam dostać.

– Wiesz, że wysłaliśmy już na tę planetę niezależną grupę ratunkową? To zwykły techniczny świat, jak setki tysięcy pozostałych. Mówią, że twój zespół w ogóle tam nie dotarł. Nikt was nie widział.

– Może nas tam nie było? Wiem, że wyglądało to na miejsce, którego współrzędne dostałem. Wyglądało na świat techniczny, a potem się... zmieniło. I dopadli nas. Ale nie zrobiłem tego specjalnie, przysięgam.

Wypytywali mnie całymi godzinami, a potem odeszli, zamykając za sobą drzwi.

Nie miałem pojęcia, po co to zrobili. Mogłem przecież poWędrować – na planetach InterŚwiata wszędzie da się znaleźć potencjalne portale. Może to miał być symbol. Tak czy inaczej, nie chciałem nigdzie odchodzić.

\* \* \*

Następnego ranka drzwi się otwarły i wyprowadzono mnie. Przez chwilę mrugałem, oślepiiony światłem przenikającym przez kopułę.

Zabrali mnie do biura Starego. Wcześniej byłem tam tylko raz. Jego biurko zajmuje większą część pokoju, pokrywają je stosy infokronów, holosfer, parę kul do wróżenia, a nawet sterty cienkoplastu – Stary jest tradycjonalistą i lubi sporządzać notatki świetlnym piórem.

Wygląda jak człowiek po pięćdziesiątce, ale w istocie jest znacznie starszy, nawet jeśli liczyć tylko czas linearny. Przeżył niejedno i nie zawsze szczęśliwie; mimo odbudowy



komórkowej jest nieźle poobijany. Jego lewe oko to nanokonstrukt; w głębi migają światelka, zielenie, fiolety, błękity. Po Bazie krążą legendy co do tego, co potrafi owo oko: wystrzeliwuje promienie laserowe i zaklęcia transfiguracji, odczytuje najgłębiej skrywane myśli, przenika przez ściany i tak dalej. Może i potrafi to wszystko, może nie. Wiem tylko, że kiedy Stary na ciebie patrzy, masz ochotę wyznać mu wszystko, co złego zrobiłeś w życiu, a do kompletu dołożyć parę wymyślonych występków.

Jego prawdziwe oko jest piwne, jak moje.

– Witaj, Joey – powiedział Stary.

– Nie zrobiłem tego specjalnie. Nie chciałem zablądzić, proszę pana. Naprawdę. I próbowałem tam wrócić.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłeś tego celowo – odparł cicho. – Wiesz... niektórzy mieli wątpliwości co do przyjęcia cię na szkolenie po śmierci Jaya. Powtarzałem im, że jesteś młody, surowy i zapalczywy, ale masz potencjał i możesz stać się jednym z najlepszych Wędrowców. I że w pewnym sensie zastępujesz Jaya, tak jak sobie tego życzył. Jeden za jednego. Ale teraz stawka się zmieniła. Jeden za sześciu... I cóż, koszt jest zbyt wysoki. Zabrałeś ich w niewłaściwe miejsce. Przez ciebie wpadli w pułapkę. I wygląda na to, że uciekłeś, ratując własną skórę.

– Wiem, jak to wygląda, ale tak nie było. Proszę posłuchać, mogę ich znaleźć, pozwólcie mi tylko spróbować.

– Nie. – Pokręcił głową. – Niestety, nie. Na tym zakończymy sprawę. Nie ukończysz szkolenia, zamiast tego wymażemy ci wspomnienia o tym miejscu, wykasujemy wszystko, co cię spotkało, odkąd opuściłeś własną Ziemię. I usuniemy twoją zdolność Wędrowania.

– Na zawsze? – Równie dobrze mógłby rzec, że pozbawią mnie oczu.

– Niestety, tak. Posłuchaj, nie chcemy, by coś ci się stało. Gdybyś znów zaczął Wędrować, natychmiast by cię wykryli. Doprowadziłbyś ich prosto na swoją planetę – albo do InterŚwiata. Zatem odeślemy cię na twoją Ziemię. Nie wprowadzimy nawet poprawki temporalnej. To ci wyjdzie na dobre – twoja nieobecność nie trwała zbyt długo.

Usiłowałem znaleźć coś na swoją obronę, ale nic nie przychodziło mi do głowy, poza jednym: „Naprawdę zabrałem ich w miejsce zgodne ze współrzędnymi, które dostałem. Wiem, że to zrobiłem. I nie uciekłem”. Lecz powtarzałem to już poprzedniego dnia zbyt wiele razy zbyt wielu osobom.

– Kiedy odbierzecie mi wspomnienia? – spytałem zamiast tego.

Spojrzał na mnie z głębokim współczuciem.

– Już to zrobiliśmy – odparł.

Popatrzyłem ze zdumieniem na obcego człowieka o różnobarwnych oczach.

– Kim... – zacząłem.

– Przykro mi – rzekł.

A potem wszystko pociemniało.

\* \* \*

– Amnezja to zabawna sprawa – powiedział doktor. To był mój lekarz rodzinny, dr Whitterspoon, który odebrał poród Lejka i leczył Jenny, gdy złapała wietrzną ospę, a w zeszłym roku zszyl mi nogę po tym, jak w swojej głupocie postanowiłem zeskoczyć z wodospadu na Grand River w beczce. – Choćby twój przypadek. Straciłeś około trzydziestu sześciu godzin. Jeśli nie udajesz.

– Nie udaję – odparłem.

– Tak też przypuszczałem. Mówię ci, całe miasto szukało cię jak szalone. Wątpię, by nawet Dimas zdołał zachować posadę po tej aferze. Jak mógł wysłać was samych i kazać trafić z powrotem? No cóż. – Zajrzał mi w oczy, zaświecił. – Nie widzę żadnych śladów urazu. Pamiętasz cokolwiek przed wejściem na komisariat?

– Ostatnie, co pamiętam – odparłem – to jak zgubiliśmy się z Roweną. Potem już nic. Kiedy próbuję sobie przypomnieć, mam wrażenie, jakbym usiłował odtworzyć sen.

Zajrzał do papierów i zacisnął wargi. Telefon przy łóżku zapiszczał i doktor odebrał.

– Tak – rzekł. – Chyba nic mu nie jest... Moja droga, to nastolatek. Młodzi chłopcy są praktycznie niezniszczalni. Proszę się nie martwić. Jasne, za jakąś godzinę może go pani odebrać. – Odłożył słuchawkę. – To była twoja mama – wyjaśnił i zapisał coś w mojej karcie. – No cóż – powtórzył. – Może pewnego dnia wspomnienia powrócą, a może na zawsze stracisz trzydzieści sześć godzin ze swego życia. Na razie nie da się tego stwierdzić. Wyglądasz szczuplej niż cię zapamiętałem – dodał. – Czy coś cię gryzie? Coś, o czym chciałbyś pogadać?

– Cały czas mam wrażenie, że coś straciłem – odparłem. – Ale nie wiem co.

\* \* \*

Niektórzy uważali, że udaję. W szkole krążyła plotka o tym, jak pojechałem stopem aż do Chicago. Kiedy ją usłyszałem, ogarnął mnie niepokój – bo w końcu faktycznie mogłem pojechać do Chicago. Albo jeszcze dalej.

W lokalnych wiadomościach pokazali nawet materiał z wywiadami z burmistrzem Haenkle i komendantem policji, a także ze starszym gościem, który na modelach

zademonstrował, jak uprowadziło mnie UFO.

Dimas nie stracił pracy. Okazało się, że karty, które rozdał nam przed wyjściem, miały wbudowane obwody śledzące. Cały czas wiedział, gdzie jesteśmy.

Oczywiście z wyjątkiem mojej osoby. Moja czerwona kropka zniknęła z ekranu jego laptopa (krążył po mieście dżipem, pilnując, by nikt z nas nie wsiadł do autobusu ani nie zadzwonił do domu) i już się nie pojawiła. Według gościa od UFO to był dowód mojego uprowadzenia w kosmos.

Ted Russell uważał, że to prześmieszne. Zaczął przezywać mnie „tym ze spodka”, Kapitanem Kosmitą i Obi-Wanem Harkerem. Starłem się puszczać to mimo uszu.

Pod koniec pierwszego tygodnia, po lekcji matematyki podeszła do mnie Rowena Danvers.

– Gdzie właściwie poszedłeś tamtego dnia? – spytała. – Naprawdę poleciałeś latającym talerzem? Pojechałeś do Chicago czy co?

– Nie wiem – odparłem.

– Mnie możesz powiedzieć. To ja czekałam na ciebie na tym dumnym rogu całe pół godziny. Nikomu nie powtórzę.

– Naprawdę nie wiem – rzekłem. – A chciałbym.

Jej oczy błysnęły gniewnie.

– Dobra, skoro tak uważasz. Zdawało mi się, że jesteśmy przyjaciółmi. Nie musisz mi ufać, jeśli nie chcesz, i tak mnie to nie obchodzi.

Odeszła ze złością, a ja pomyślałem jedynie „wiem, jak byś wyglądała z bardzo krótkimi włosami”. A potem zdziwiłem się, że to pomyślałem.

Pewnego dnia – parę dni po materiale w wiadomościach – Ted Russell posunął się za daleko. Myślę, że nie podobała mu się moja nowa popularność. A może po prostu był wredny jak skunks, którego bolą zęby, i ostatnio nie zrobił nic paskudnego.

Tak czy inaczej, na jednej z przerw zaszedł mnie od tyłu i z zaskoczenia kopnął mocno w nerki.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Obniżyłem środek ciężkości, uginając lekko nogi, cofnąłem się o krok i przesunąłem drugą stopę, przyjmując zmodyfikowaną pozycję kota (nie pytajcie, skąd wiedziałem, jak się nazywa). Chwyciłem Russella za przegub, przekręciłem w sposób, w który przeguby nie powinny się zginać, wywróciłem go i uderzyłem krawędzią drugiej dłoni w kark. Po niecałej sekundzie Ted, zamiast zadawać mi ból, zwijał się w męce na podłodze u moich stóp. W ostatniej chwili wyłączyłem autopilota, powstrzymując się przed ruchem kończącym

sekwencję, po którym, jak wiedziałem (nie pytajcie skąd) Ted byłby martwy jak głąz.

Podniósł się, patrząc na mnie, jakby nagle wyrosły mi zielone macki. A potem uciekł pędem z sali. I dobrze, bo nie mogłem się ruszyć. Nie wiedziałem, co właściwie zrobiłem. Nie wiedziałem, jak to zrobiłem. Zupełnie jakby mięśnie zareagowały same, nie potrzebując mojego udziału.

Cieszyłem się, że nikt więcej tego nie widział.

I tak to szło przez jakieś dwa tygodnie.

\* \* \*

– Powinieneś częściej pozwalać się porywać kosmitom – powiedział tato podczas kolacji.

– Dlaczego?

– Same szóstki, po raz pierwszy w dziejach. Imponujące.

– Och.

Z jakiegoś powodu nie wydało mi się to wcale takie super. Nauka w szkole stała się nagle łatwa, zupełnie jakbym wiedział, jak trudne mogą być zajęcia i jak ciężko potrafię pracować. Czułem się jak porsche, który się dowiedział, że nie jest rowerem, lecz wciąż bierze udział w zawodach kolarskich.

– Co to znaczy „och”? – Mama natychmiast wylapała ton mojego głosu.

– No wiesz. – Machnąłem kawałkiem brokuła. Jeśli macha się czymś dostatecznie często, inni nie zauważają, że się tego nie je. – To tylko matematyka, angielski, hiszpański i tak dalej, nie geometria hiperwymiarowa czy coś w tym stylu.

– Nie co?

Zastanowiłem się nad tym, co właśnie powiedziałem.

– Sam nie wiem. Przepraszam.

Przez większość czasu nie pamiętałem o straconych trzydziestu sześciu godzinach. Lecz kiedy zasypiałem nocą i, czasami, gdy budziłem się rankiem, czułem w głębi umysłu coś dziwnego. Jakby swędzenie. Mrowienie. Lekkie ukłucia. Czułem się, jakbym stracił jakąś część ciała, tyle że w głowie: jakby oko, które się w niej otwarło, teraz zamknęło się na zawsze.

Wszystko było w porządku, prócz owych chwil w ciemności, bo wtedy pojawiał się ból. Straciłem coś wielkiego i ważnego. Tyle że nie wiedziałem co.

\* \* \*

– Joey? – zagadnęła mama, a potem dodała: – Robisz się już zbyt duży na Joeya. Chyba wkrótce zaczniemy ci mówić Joe.

Na ramionach wystąpiła mi gęsia skórka. Owo uczucie, cokolwiek oznaczało, znów się pojawiło.

– Tak, mamó?

– Mógłbyś przez kilka godzin zająć się bratem? Wybieramy się z ojcem do mojego dostawcy kamieni. Ma półszlachetny kamień z Finlandii, o którym nigdy nie słyszałam. Twierdzi, że byłby dla mnie idealny.

Wspominałem już, że moja mama projektuje i tworzy biżuterię? Z początku było to jej hobby, ale potem trochę ją poniosło i teraz z zarobków mamy zapłaciliśmy za całą nową przybudówkę.

– Jasne – odparłem.

Lejek to naprawdę fajny dzieciak, bardzo zabawny jak na półtoralatkę. Nie marudzi (zbyt często) i nie płacze, chyba że jest zmęczony, a także niezbyt często za mną łązi. I zawsze strasznie się cieszy, kiedy się z nim bawię.

Poszedłem do jego pokoju w nowej części domu. Za każdym razem, gdy wchodziłem po tych schodach, zastanawiałem się, czy tym razem na końcu znajdę pokój.

Była to jedna z owych dziwaczkich, paranoicznych myśli, które pojawiają się nam w głowie, gdy nie dzieje się zbyt wiele. Na przykład, wracamy autobusem ze szkoły i zastanawiamy się, czy może rodzice nie wyprowadzili się bez uprzedzenia. Was też z pewnością nawiedzają podobne myśli. Nie mogą być przecież jedyny, prawda?

– Hej, Lejku – rzuciłem. – Zajmę się tobą przez parę godzin. Masz na coś ochotę?

– Bańki – odparł, tyle że w jego ustach zabrzmiało to bardziej jak „ba-bki”.

– Lejku, mamy początek grudnia. W taką pogodę nikt nie puszcza baniek.

– Ba-bki – powtórzył Lejek ze smutkiem. (Naprawdę nazywa się Kevin). Wyglądał na zawiedzionego.

– A włożysz kurtkę? – spytałem. – I rękawiczki?

– Dobra – rzekł.

Zszedłem zatem do kuchni i przygotowałem kubek bańkowej mieszanki – płynu do zmywania naczyń, odrobiny gliceryny i kropli oleju kuchennego. A potem włożyliśmy kurtki i wyszliśmy na podwórze.

Lejek ma wielkie, plastikowe kółka do puszczenia baniek. Nie używał ich od września, co oznaczało, że najpierw musiałem je znaleźć, a potem umyć, bo były umazane błotem. Nim zabraliśmy się do puszczenia baniek, zaczął padać śnieg – wielkie, miękkie płatki sfruwające

z szarego nieba.

– Ha! – zawołał Lejek. – Ba-bki. Ho.

Zacząłem zatem zanurzać kawałek plastiku w kubelku i machać przed sobą. Z kółka wypływały wielkie, wielobarwne bańki. Zawisały w powietrzu, a Lejek mamrotał radośnie, wydając z siebie dźwięki niebędące do końca słowami. Płatki wpadały na bańki – mniejsze pryskały, lecz czasami drobinki śniegu spływały po ściankach większych, a każda odpływająca bańka przypominała mi...

...coś...

I fakt, że nie umiałem określić co, doprowadzał mnie do szału.

A potem Lejek zaśmiał się, wskazując podskakującą bańkę.

– Teńc! – zawołał.

– Masz rację – odparłem. – Wygląda jak Tęczek.

I faktycznie. Wykasowali z mojej głowy wszystko, lecz nie zdołali usunąć Tęczka. Ta bańka wyglądała zupełnie jak... .. jak mudluf, który był...

... „To multiwymiarowa, dynamiczno-labilna forma życia...”

Słyszałem jego głos. Wymawiał te słowa pod wirującym, wielobarwnym niebem...

Jay.

Pamiętałem, jak leżał zakrwawiony na czerwonej ziemi po ataku potwora...

I wtedy wspomnienia wróciły. Wróciły wszystkie, szybko i gwałtownie, a ja stałem na śniegu, z małym braciszkiem, puszczając bańki mydlane.

I pamiętałem. Pamiętałem wszystko.

## **CZEŚĆ III**

# Rozdział 14

Znów umiałem Wędrować.

Nie pytajcie mnie jak. Może wihajster do kasowania pamięci, którego użyli, nie zadziałał na mnie do końca. Może Tęczek stanowił nieprzewidzianą zmienną, której nie wprowadzili. Albo nie usunęli. Nieważne. Wiem tylko, że gdy tak stałem na podwórku, drząc pośród płatków pierwszego śniegu i patrząc, jak braciszek radośnie ugania się za bańkami, czułem, jak w głowie eksplodują mi kolejne fajerwerki, oświetlające wspomnienia, których wcześniej nie było.

Przypomniałem sobie wszystko: dni i noce morderczej nauki i ćwiczeń, nieskończoną różnorodność moich kolegów, stanowiących wariacje na temat Joeya Harkera, maleńkie, supernowe eksplodujące losowo w sztucznym oku Starego. Szaleństwo w technicolorze, będące Pomiedzy...

I łatwą jak bułka z masłem misję szkoleniową, która poszła nie tak. Ponowne schwytywanie przez panią Indygo i to, jak Tęczek przybył na ratunek, pomagając wyłącznie mnie.

Stałem tam, drząc z zimna niemającego nic wspólnego z pogodą. Mechanicznie zanurzałem kółko w mydlinach i puszczałem bańki, zastanawiając się, co teraz.

Pamiętałem wstyd i bezradność, które czułem, wracając bez towarzyszy. Co się z nimi stało? Co zrobili z nimi pani Indygo i pan Psinóż? Co im zrobili? Rozpaczliwie pragnąłem się dowiedzieć i wiedziałem, że mogę. Wiedziałem, że znów mogę Wędrować, wrócić Pomiedzy. Wzór umożliwiający odnalezienie Bazy płonął jasno w mym umyśle. Mogłem tam wrócić. O tak.

Ale czy chciałem?

Gdybym znów opuścił moją Ziemię, nigdy nie mógłbym już tutaj wrócić. Każde otwarcie portalu było jak flara wystrzelona w kierunku RUN i Binarium. A choć istotnie w każdej sekundzie gdzieś w Łuku dziesiątki moich parawcieleń odkrywają, że potrafią Wędrować – mapy w salach wojennych obu stron muszą cały czas migotać jak lampki na choince – ryzykowałbym, że ściągnę tu wrogów. Z tego, co mi mówiono, każdy Wędrowiec ma unikalną sygnaturę psychiczną, którą można wysledzić. Wiedziałem, że w Binarium tysiące połączonych mainframe'ów wypatrują mojej konfiguracji, a falanga czarodziejów z



RUN czuwa dwadzieścia cztery godziny na dobę z tego samego powodu. Nie mogłem narazić rodziny i przyjaciół na podobne niebezpieczeństwo.

Gdybym nigdy już nie Wędrował, szanse, by jedna ze stron postanowiła podbić akurat ten świat, wynosiły jeden do trylionu. Mogłem być w zasadzie pewien, że dorosnę, ożenię się, wychowam dzieci, postarzę się i umrę, nie słysząc więcej o altiwersum.

Ale nie mógłbym już nigdy Wędrować...

Nie wiem, czy o tym wspominałem, ale Wędrowanie nie różni się od innych umiejętności, w których jesteśmy dobrzy: sprawia nam przyjemność. Posługiwanie się umysłem do otwarcia przejścia Pomiedzy, przechodzenia ze świata do świata było czymś dobrym, naturalnym. Arcymistrzowie szachowi nie grają dla pieniędzy ani nawet dla sportu – grają z miłości do gry. Geniusze matematyczni nie uprawiają dla rozrywki ogródków – zonglują w głowach teoriami zbiorów, a w wolnych chwilach ustalają wartość pi do entego miejsca po przecinku. Niczym wytrenowany sportowiec, kiedy już przypomniałem sobie swą umiejętność, miałem okropną ochotę jej użyć.

Nie mogłem sobie wyobrazić, jak miałbym żyć, nigdy więcej nie Wędrując.

Ale też nie potrafiłem sobie wyobrazić życia bez mamy, taty, Jenny i Lejka. Raz już się zaciągnąłem, ale wówczas kierowało mną poczucie winy z powodu śmierci Jaya i nie zdawałem sobie sprawy, w co się pakuję.

Tym razem wiedziałem aż za dobrze.

Raz już mnie wyrzucili. Za drugim nie wypuściliby mnie tak łatwo. Gdybym znów zjawił się w Bazie, zapewne postawiliby mnie przed sądem polowym. Och, może nazwaliby to inaczej, ale pluton egzekucyjny pod inną nazwą to wciąż banda gości celujących do ciebie z karabinów. Nie wiedziałem, czy poprosiłbym o przepaskę na oczy, czy nie, i wcale nie miałem ochoty tego sprawdzać.

Gdybym jednak tu został, musiałbym żyć ze świadomością, że porzuciłem w niebezpieczeństwie ludzi, na których mi zależało.

Jakże żałowałem, że cholerne bańki mydlane uruchomiły obwody przechowujące owe wspomnienia. Niewiedza to może nie błogosławieństwo, ale przynajmniej jest lepsza od bagna żalu, w którym ugrzązłem.

Śnieg zamienił się w zimny deszcz. Mógłbym sobie wmawiać, że to tylko krople spływają po moich policzkach, ale przecież z chmur nie pada ciepła, słona woda. I dość już się okłamywałem.

Zapatrzyłem się w bańkę, którą gonił Kevin. Unosiła się wyżej od innych, niemal na poziomie dachu garażu. Poszybowała pomiędzy nagie gałęzie pobliskiego dębu i

spodziewałem się, że lada moment zniknie w bezdźwięcznej implozji.

Ale nie.

Zamiast tego zawisła tam na moment, po czym powoli opadła ku mnie. Lejek biegł pod nią, krzycząc z irytacji i bezradności, bo nie mógł jej dosięgnąć. Balonik płynął pod słaby wiatr, który zdążył się zerwać, po czym zatrzymał się przede mną.

– Cześć, Tęczku – rzuciłem.

Mudluf rozbłysł radosną akwamaryną, po czym wystrzelił mi nad głowę, przemykając ponad dachem. Obróciłem się, wyciągając szyję, ale już zniknął.

– Ba-bka? – spytał żałośnie Kevin. – Ba-bka? Teńc?

Pokiwałem głową.

– Zgadza się, Lejuszku. – Patrzyłem, jak wyciera nos rękawem kurtki. – Czas wracać do domu.

\* \* \*

Niemal całą noc nie spałem, zmagając się z moim problemem, najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Nie mogłem porozmawiać z mamą ani z tatą – to świetni rodzice, ale nawet oboje razem nie mają dość wyobraźni, by poradzić sobie z jednym dodatkowym Joeyem, a co dopiero mówić o nieskończonej liczbie. Z kim jeszcze mógłbym pogadać? Na pewno nie z kolegami z klasy. Mojego szkolnego doradcę znaleziono w zeszłym roku w gabinecie, gdzie łkał cichutko; dyrekcja jeszcze nie zatrudniła zastępcy. Większość nauczycieli miała klapki na oczach. Po trzech miesiącach harówki pod batem instruktorów z Bazy wiedziałem więcej, niż ktokolwiek z nich zdołałby ogarnąć umysłem. Z całego grona pedagogicznego tylko jedna osoba być może zechciałaby mnie wysłuchać i nie wezwać gości w białych kitlach.

\* \* \*

Pan Dimas odchylił się na krzesło, wbijając wzrok w sufit wyłożony płytami tłumiącymi dźwięki. Jego twarz miała osobliwie zaskoczony wyraz. Nic dziwnego – ostatecznie zapewne nie słyszał dotąd historii podobnej do tej, którą właśnie mu opowiedziałem.

Po minucie spojrział na mnie.

– Kiedy zaczęliśmy rozmawiać – rzekł spokojnie – poprosiłeś, bym uznał wszystko, co opowiesz, za historię czysto hipotetyczną. Zakładam, że wciąż tak jest.

– Uch, tak, proszę pana. – Uznałem, że być może łatwiej przełknę historię, w której

główną rolę odegra nienazwany, wymyślony przyjaciel zamiast niżej podpisanego. – Ten mój, uhm, kolega, znalazł się między Scyllą a Charybdą. – Pan Dimas spojrzał na mnie przenikliwie i uświadomiłem sobie, że użyłem zwrotu, którego nauczyłem się w Bazie. – W każdym razie – dodałem szybko – co według pana powinien zrobić?

Dimas zapalił fajkę. Gdy w końcu się odezwał, zadał mi pytanie.

– A zatem według instruktorów z Bazy wszechświat rodzi sobowtóry swych światów tylko gdy podejmuje się ważne decyzje, zgadza się?

– No, mniej więcej. Tyle że tak od razu trudno stwierdzić, co jest ważne, a co nie. Na przykład, powiedzmy, że motyl trzepoczący skrzydełkami w Bombaju może doprowadzić do trąby powietrznej w Teksasie. Gdyby rozdeptał pan motyla, nim zdąży pofrunąć...

Skinął głową. Potem znów spojrzał na mnie.

– Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale zrób coś dla mnie, Joe.

Większość ludzi ostatnio zaczęła nazywać mnie Joe, sam nie wiem czemu. Wciąż nie mogłem do tego przywyknąć.

– Oczywiście, panie Dimas.

– Zdejmij koszulkę.

Zamrugalem, zaskoczony, po czym wzruszyłem ramionami. Nie byłem pewien, do czego zmierza, ale – w pewnym sensie to nawet smutne – wiedziałem też, że nie dałby mi rady w żadnej walce, uczciwej czy nie.

Zdjąłem zatem kurtkę i luźny podkoszulek. Pan Dimas przez chwilę przyglądał mi się bez słowa, po czym gestem polecił mi się ubrać.

– Bardzo schudłeś – zauważył. – I masz więcej mięśni, przynajmniej jak na kogoś w twoim wieku, czyli niezbyt wiele. Genetycznie wciąż jesteś zaprogramowany raczej na wysokiego chudzielca niż mięśniaka.

Uznałem, że lepiej będzie milczeć i czekać. Miałem nadzieję, że w końcu odpowie na moje pytanie.

I odpowiedział.

– Co do twojego hipotetycznego przyjaciela, zgadzam się z tobą: to bardzo trudna decyzja. Jeśli jednak podejmiemy do niej od podstaw, uważam, że twój przyjaciel powinien odpowiedzieć sobie na jedno pytanie: czy szczęście jednej osoby – a nawet jej życie – znaczy więcej niż los niezliczonych światów?

– Ale ja... to znaczy on nie wie na pewno, że to się stanie!

– Wie, że istnieje takie prawdopodobieństwo. Nie zrozum mnie źle, współczuję mu, to naprawdę bolesna decyzja. A niektórym do twarzy z brodą. – Dostrzegł pytający wyraz mojej

twarzy. – Dzięki temu nie muszą patrzeć na siebie w lustrze, gdy się golą.

Przytaknąłem. Wiedziałem, co chce mi powiedzieć, i wiedziałem, że ma rację. Jasno pokazał mi, co muszę zrobić. Nie oznaczało to wcale, że decyzja będzie łatwiejsza, ale na pewno jaśniejsza.

Wstałem.

– Panie Dimas, diablo dobry z pana nauczyciel.

– Dziękuję. Rada szkolna nie zawsze się zgadza, używali jednak słów „Jack Dimas” i „diabli” w jednym zdaniu. I to często.

Uśmiechnąłem się i odwróciłem do wyjścia.

– Czy mam się ciebie spodziewać na zajęciach jutro rano?

Zawahałem się, po czym pokręciłem głową.

– Tak też sądziłem. Powodzenia, Joey. Powodzenia wam wszystkim.

Chciałem odpowiedzieć coś sprytnego, ale nic nie przyszło mi do głowy, toteż uścisnąłem mu dłoń i wyszedłem jak najszybciej.

\* \* \*

Usiadłem na brzegu łóżka i wręczyłem Lejkowi moją starą, plastikową zbroję i kosmiczny blaster. Blaster wystrzeliwał promień podczerwieni, który wykrywał czujnik na piersi pancerza i rejestrował – jeśli trafiło się jak należy.

Lejek był zachwycony, zawsze o nich marzył.

– Jo-e! Dzieńki.

Był jeszcze za młody na te zabawki, ale dorośnie do nich.

Powiedziałem sobie w duchu, że w pewnym sensie pomagam, by do tego doszło.

Poinformowałem Jenny, że może sobie wziąć mój zbiór kompaktów i DVD. Mieliśmy podobny gust co do filmów – jeśli tylko coś kończyło się wybuchem Gwiazdy Śmierci lub czegoś w podobnym stylu, to nam odpowiadało. Muzyka stanowiła większy problem, ale jeśli coś jej się nie spodoba, będzie mogła to sprzedać albo poczekać, aż dorośnie.

Oczywiście przyjęła moją nagłą hojność z pewną podejrzliwością. Powiedziałem jej, że zamierzam odwiedzić daleki odłam rodziny na drugim końcu świata i sam nie wiem, kiedy wrócę. Nie dodałem „ani czy w ogóle”. Może powinienem, ale jeśli sądzicie, że łatwo jest żegnać się z młodszym rodzeństwem, być może na zawsze, to cóż... nie jest.

Z mamą i tatą sprawa przedstawiała się jeszcze trudniej. Nie mogłem im po prostu powiedzieć, że odchodzę, może na dobre. Ale z drugiej strony chciałem, by wiedzieli, że nic mi nie będzie (choć sam nie byłem tego pewien w stu procentach). Ogólnie rzecz biorąc,

okropnie namieszałem. Oznajmiłem im, że wstępuję do czegoś w rodzaju wojska. Tato odparł, że nie ma mowy i że „wystarczy kilka telefonów we właściwe miejsca, by do tego nie dopuścić, młodzieńcze”. Mama jedynie rozplakała się i spytała, gdzie popełniła błąd jako rodzic.

Chyba nie powinienem się dziwić, że schrzaniłem sprawę – ostatecznie jak dotąd niezbyt dobrze sobie radziłem z dbaniem o bliskich mi ludzi. W końcu obiecałem, że „tego wieczoru nie zrobię nic pochopnego” i że „rano o tym pomówimy”.

Ale nie mogłem zwlekać do rana. Musiałem działać szybko, dopóki wciąż miałem ikrę, jak mawiał dziadek. Nie kładłem się do drugiej – do tej pory wszyscy zasnęli – po czym ubrałem się i zszedłem na dół.

Mama już na mnie czekała.

Siedziała w fotelu przy zgaszonym kominku, opatulona w szlafrok. Z początku przestraszyłem się, że zacząłem Wędrować we śnie i znalazłem się na równoległej Ziemi, bo mama paliła, a rzuciła ten nałóg dobre pięć lat temu.

Zamarłem w świetle lampy z salonu, jak królik w promieniach samochodowych reflektorów. Spojrzała na mnie i w jej oczach nie dostrzegłem gniewu, jedynie rezygnację, która oczywiście okazała się dziesięć razy gorsza od złości.

W końcu mama uśmiechnęła się, choć uśmiech nie sięgnął jej oczu.

– Jaka byłaby ze mnie matka, gdybym po tylu latach nie umiała odczytać twoich zamiarów? Sądziłeś, że nie zorientuję się, że odchodzisz? I że położyłabym się spać, tracąc szansę pożegnania?

W mojej głowie pojawiło się tysiąc odpowiedzi, niektóre prawdziwe, inne fałszywe, większość łącząca jedno i drugie.

– Mamo – powiedziałem w końcu – musiałbym zbyt długo wyjaśniać, a ty i tak byś mi nie uwierzyła i...

– Spróbuj – odparła. – Po prostu mi powiedz. Opowiedz wszystko. Ale tylko prawdę.

Tak też zrobiłem. Opowiedziałem jej o wszystkim, co tylko pamiętałem, całą historię, od początku do końca, a ona siedziała tam, paliła, kasłała i wyglądała, jakby było jej niedobrze (nie wiem, czy to dlatego, że od tak dawna nie paliła, czy też z powodu tego co mówiłem).

Wreszcie skończyłem i w pokoju zapadła cisza.

– Kawy? – spytała matka.

– Nie znoszę tego świństwa – odparłem. – Przecież wiesz.

– Dorośniesz do niej – odparła. – Ze mną też tak było.

Wstała i podeszła do ekspresu. Nalała sobie filiżankę kawy.

– Wiesz, co jest najgorsze? – spytała nagle, niespodziewanie, jakbyśmy spierali się o coś i przyszedł jej do głowy kolejny argument. – Najgorsze nie jest wcale zastanawianie się, czy oszalałeś ani czy mnie okłamujesz. Bo ty nie kłamiesz. Znam cię od bardzo dawna, Joey. Wiem, jak się zachowujesz, kiedy kłamiesz i nie kłamiesz. – Pociągnęła łyk kawy. – I nie oszalałeś. Znałam wielu wariatów; nie jesteś jednym z nich.

Wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa, lecz zamiast zapalić, zaczęła rozkładać go na czynniki pierwsze. Najpierw zdarła bibułkę, potem kolejno centymetr po centymetrze wyskubywała zawartość, aż w końcu w popielniczce pozostały tylko trzy starannie ułożone kupki: bibułka, tytoń i filtr.

– A zatem mój synek wyrusza na wojnę. Oczywiście nie jestem pierwszą matką w dziejach, którą to spotyka, a z tego co mówisz nie jestem nawet pierwszą – pierwszą mną, którą to spotyka. Ale najgorsze jest to, że od chwili, kiedy przekroczysz próg, dla mnie będziesz martwy. Bo już nigdy nie wrócisz. Bo jeśli... jeśli nawet zginiesz, ratując swych przyjaciół, albo walcząc z wrogiem, albo w twoim świecie Pomędzy... nigdy się o tym nie dowiem. Matki ze starożytnej Sparty mawiały: „Wróc z tarczą bądź na tarczy”. Ale ty ruszasz w drogę i nigdy więcej cię nie zobaczę. Ani z nią, ani bez niej. Nikt nigdy nie przyśle mi medalu, ani – co teraz robią, skoro nie ma już telegramów? – ani wiadomości, mówiącej „Szanowna pani Harker, z ogromnym żalem informujemy, że Joey zginął jak... zginął jak... ”.

Sądziłem, że się rozplacze, ale jedynie odetchnęła głęboko i przez chwilę siedziała w milczeniu.

– Pozwolisz mi odejść? – spytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Przez całe życie miałam nadzieję, że moje dzieci będą potrafiły odróżnić dobro od zła i kiedy nadejdzie pora podjęcia decyzji, ważnej decyzji, postąpią jak należy. Wierzę ci, Joey, i robisz to co powinieneś. Jak miałabym cię powstrzymać? Dokądkolwiek pójdziesz, cokolwiek cię spotka, wiedz jedno, Joey. Kocham cię. Zawsze będę cię kochać i myślę... wiem, że postępujesz słusznie. Po prostu to... boli.

A potem mnie uścisnęła. Twarz miałem mokrą, nie wiem, czy od jej łez, czy od moich.

– Nigdy już się nie zobaczymy, prawda? – spytała mama.

Pokręciłem głową.

– Proszę – rzekła. – Zrobiłam go dla ciebie. Na pożegnanie. Nie wiem, co jeszcze mogłabym ci dać. – Wyciągnęła z kieszeni mały kamyk na łańcuszku. Wydawał się czarny, lecz nagle, gdy padło na niego światło, zaśnił błękitem i zielenią, jak skrzydła szpaka.

Powiesiła mi go na szyi.

– Dziękuję – odparłem. – Jest śliczny. – A potem dodałem: – Będę tęsknić.

– Nie mogłam spać – odparła. – Przynajmniej miałam coś do roboty. Ja też będę tęsknić. Wróć, jeśli będziesz mógł. Kiedy już uratujesz wszechświat.

Skinałem głowę.

– Przekażesz coś tacie? – poprosiłem. – Powiedz mu, że go kocham i że był najlepszym ojcem, jakiego można sobie wymarzyć.

Skinęła głowę.

– Powiem mu. Mogłabym go obudzić, jeśli chcesz.

– Muszę już iść – odparłem.

– Zaczekam tutaj – rzekła. – Jakiś czas. Na wypadek, gdybyś wrócił.

– Nie wrócę – oświadczyłem.

– Wiem, że nie – powiedziała. – Ale zaczekam.

Wyszedłem w noc.

\* \* \*

Na zewnątrz temperatura spadła poniżej zera. Wprowadziłem swój umysł w stan, który ponoć usunięto z niego na zawsze, i zacząłem szukać potencjalnego portalu.

Miałem nadzieję, że znajdę jakiś w pobliżu – niezbyt zachwycała mnie myśl o wędrówkach (przez małe w) w taką pogodę. Nie mogę tak po prostu otworzyć w dowolnym miejscu przejścia Pomiedzy. Chciałbym, żeby tak było, ale to tak nie działa. Pewne międzywymiarowe punkty czasoprzestrzeni muszą się zgadzać, lecz żaden nie jest stały. Przypomina to nieco łapanie taksówki – jeśli mamy szczęście, możemy zatrzymać ją tuż przed domem, bardziej jednak prawdopodobne jest to, że będziemy musieli przejść się kawałek, może nawet do najbliższego hotelu czy restauracji, gdzie znajdziemy postój. Istnieją miejsca, w których prawdopodobieństwo natknięcia się na potencjalne portale wzrasta. Niestety, nie zawsze w pobliżu restauracji bądź hoteli.

Może to zabrzmie dziwnie, ale starałem się nie myśleć o rozmowie z mamą. Kryło się w niej zbyt wiele zaskakujących elementów. Za każdym razem, kiedy powracałem do niej w pamięci, czułem, jak przegrzewają mi się bezpieczniki w głowie. Zamiast tego skupiłem się na odnalezieniu portalu.

Nie czułem słabego mrowienia w głowie, które zazwyczaj zwiastuje jego obecność, toteż pobiegłem truchtem w głąb ulicy, wypuszczając z ust obłoczki pary. Zastanawiałem się przelotnie, jak bańki mydlane, które puszczałem wcześniej dla Lejka, zachowują się na

mrozie. Chwilę później znalazłem to, czego szukałem – w pewnym sensie. Z mroku wyłonił się Tęczek i zawisł tuż przede mną, pulsując nagłącymi barwami: zielenią, pomarańczem, żółcią, kremową bielą. Nagle przyszło mi do głowy, że być może te wzory to coś bardziej złożonego, niż wcześniej zakładałem – że może zamiast objawów prostych stanów emocjonalnych są one językiem. Bo z całą pewnością próbował mi coś powiedzieć.

Kiedy się upewnił, że przyciągnął moją uwagę, pomknął naprzód, od czasu do czasu przystając i upewniając się, że idę za nim. Szedłem. Zatrzymaliśmy się na niewielkim skwerze – właściwie trawniku – jakieś sześć przecznic od mojego domu. Tęczek jakby na mnie czekał.

Wiedziałem, czego chce. Zacząłem szukać myślami rodzącego się portalu. Wiedziałem, że tam będzie, i znalazłem go.

Spojrzałem na Tęczka.

– Dzięki, stary – rzekłem.

Wpasowałem mój umysł w ową międzywymiarową spójność niczym klucz w zamek, przekręciłem go i otworzyłem drzwi.

Za nimi ujrzałem zmieniający się nieustannie, szalony krajobraz przypominający ilustrację z komiksu Doctor Strange. Wyprostowałem plecy, obejrzałem się po raz ostatni, odetchnąłem głęboko...

I rozpocząłem Wędrowkę.



# Rozdział 15

Kiedy znalazłem się Pomiedzy, nie dostrzegłem w pobliżu Tęczka, i szczerze mówiąc, przyjąłem to z lekką ulgą.

Nie zrozumcie mnie źle, byłem mu naprawdę wdzięczny. Ale gdybym go nigdy nie spotkał... Cóż, moje życie z pewnością byłoby znacznie prostsze. Po pierwsze, Jay wciąż by żył i może wciąż siedziałbym szczęśliwie w domu z rodziną, zamiast próbować ocalić multiwersum, czy co tam usiłowałem zrobić.

Stałem na skale, która w dotyku przypominała zapach świeżego oregano i przelatowała przez obłęd Pomiedzy do wtóru ogłuszającego kontrabasowego arpeggio. Jechałem na niej jak surfer na desce i zastanawiałem się, co począć dalej.

Powiedziałem, że przypomniałem sobie wszystko, ale nie była to do końca prawda. Pamiętałem niemal wszystko. Choć wysiłałem umysł, wciąż nie mogłem znaleźć w nim klucza prowadzącego z powrotem do Bazy. (Było coś... coś takiego... ale mi umykało, niczym kształt dziury w zębie po tym, jak zaplombował ją dentysta, albo nazwisko faceta, który z pewnością nazywał się jakoś na S – a może na L, albo W. Ta informacja po prostu zniknęła i chyba ma to sens – ze wszystkich moich wspomnień klucz do InterŚwiata Jeden stanowił przecież największy sekret).

Tymczasem gdzieś z tyłu głowy głos brzmiący jak gaz bulgoczący w miodzie mówił: „Jesteśmy gotowi do ataku na światy Lorimare. Widmowe bramy, które przywołałyśmy, uniemożliwią kontratak i odwet. Gdy je uruchomimy, zwykłe współrzędne Lorimare skierują wszystkich do kapryśnych światocieni, pozostających pod naszą kontrolą. Teraz, gdy zdobyliśmy kolejnego świetnego Harkera, będziemy mieć dość mocy, by posłać flotę. Imperator światów Lorimare jest już jednym z nas... ”.

Kiedy pierwszy raz usłyszałem słowa pana Psinoża dobiegające z ust Scarabusa, tatuowanego człowieka, nic one dla mnie nie znaczyły – stanowiły tylko drobną część zbioru informacji, których nie rozumiałem. Teraz jednak, w świetle wszystkiego co się stało, nabrały jasnego – i przerażającego sensu.

Widmowe bramy, wiodące do światocieni. O tak.

Światocieni jak ten, w którym wylądowała szóstka dzieciaków, zamierzających zebrać trzy sygnalizatory podczas łatwej misji szkoleniowej. Sądziłyśmy, że udajemy się na jeden ze

światów Lorimare. Zamiast tego trafiliśmy do wymiaru-cienia. Podczas którychś zajęć wspomniano o tym jako czysto teoretycznej możliwości. Światy te zwano również światami starorzeczy; nazwa ta odwoływała się do jezior osobliwego kształtu, powstających w miejscach, gdzie pozostała odcięta część koryta wijącej się rzeki. Wyobraźcie sobie rzekę jako strumień czasowy, a starorzecze jako fragment rzeczywistości, który w jakiś sposób został odseparowany i skazany na wieczne zapętlenie. Może to trwać od paru sekund aż po lata, może nawet stulecia. Chodzi o to, że owa rzeczywistość pozostaje odcięta od reszty altiwersum, nie bardziej wykrywalna bądź dostępna niż teoretyczny wszechświat wewnątrz czarnej dziury.

Jeśli czarownicy pana Psinoża w jakiś sposób zdołali otworzyć drogę do jednego z owych wymiarów-cieni, mogli rzucić na niego zaklęcie maskujące, sprawiając, że wyglądał tak jak zechcieli – a potem zabrać nas stamtąd i przerzucić na jeden ze światów RUN. I dokładnie tak właśnie zrobili. W żaden sposób nie wykrylibyśmy podstępu, ani za pomocą instrumentów, ani też podczas Wędrówki. Pułapka doskonała.

Lecz po otwarciu ów wymiar nie był już niedostępny. Wciąż pamiętałem, jak się tam dostać.

Nie mogłem wrócić do InterŚwiata, brakowało mi wiedzy.

No dobra. Nie oznaczało to jednak, że nie mogę szukać moich przyjaciół.

Przywołałem współrzędne, które doprowadziły nas w pułapkę, i delikatnie odtworzyłem je w umyśle.

Kilka metrów przede mną, z głuchym zgrzytem, pachnącym gorzką czekoladą, pojawiły się wielkie, jajowate drzwi.

Nie przeszedłem przez nie, jedynie patrzyłem i czekałem. Po chwili drzwi się zamknęły, skurczyły i zniknęły. W ich miejscu jednak pozostała ciemna plama, coś jak cień, falujący i łopoczący niczym flaga podczas burzy.

To była ukryta zapadnia, portal wiodący do wymiaru-cienia, do którego trafił mój zespół.

I tam właśnie się wybierałem.

Ruszyłem w stronę cienistych drzwi. Nim jednak zdołałem wejść, nagle coś zastąpiło mi drogę, podskakując w powietrzu. Był to balonik wielkości dużego kota.

– Tęczku... – zacząłem.

Po jego powierzchni przepłynęły butelkowozielone i jaskraworóżowe ostrzegawcze pasma.

– Tęczku, muszę tam pójść.

Powierzchnia Tęczka zmieniła się, zaczęła się rozciągać, pulsując, i ujrzałem przed sobą coś, co przypominało balonową karykaturę pani Indygo. A potem ów wizerunek znów przeistoczył się w balonik.

– Wcześniej nie mogłem tam wrócić, bo mnie powstrzymywałeś, prawda?

Ciemny fiolet, potwierdzenie.

– Posłuchaj, muszę tam pójść. Może już dawno zginęli albo zaledwie pięć minut temu zakuto ich w kajdany. Wiesz, jak pokręcony bywa czas po przejściach ze świata do świata, zwłaszcza w wymiarach-cieniach. Ale to moi przyjaciele, ja ich tam zabrałem. Muszę przynajmniej spróbować ich uratować – albo umrzeć próbując.

Tęczek skurczył się, jakby się namyślał. Potem pofrunął w górę, przepuszczając mnie. Sprawiał wrażenie zasmuconego.

– Ale hej, jeśli chcesz pójść ze mną, to zapraszam. Dobrze jest mieć przy sobie przyjaciela.

W odpowiedzi Tęczek zaczął mienić się kolorami, które nie występują nigdzie oprócz Pomiedzy, i radośnie opadł ku mnie. Zawisł nad moim prawym ramieniem.

Razem wkroczyliśmy w cień.

Na moment ogarnął mnie chłód, zupełnie jakbym w ciepły dzień wszedł do rzeki. A potem świat zamigotał i się zmienił.

Stałem na dachu w świetle rodem z kreskówki o Rodzinie Odrzutowskich. A potem Tęczek zawisł mi przed twarzą, przyjmując kształt dużej soczewki. Spojrzałem na świat poprzez przejrzystego mudlufa i ujrzałem...

Ujrzałem szare niebo. Przekonałem się, że stoję na wieżyczce ponurego zamku. Cały świat wyglądał jak porzucone, nieużywane dekoracje. W pobliżu nie widziałem nikogo.

– Dobra – rzekłem do Tęczka. – Poszukajmy lochów.

# Rozdział 16

Oto, jak znaleźć lochy, jeśli kiedykolwiek wasi przyjaciele wpadną w tarapaty w starym zamku.

Starajcie się nie rzucać nikomu w oczy. Znajdźcie tylne schody, a potem zejździe na sam dół. Otoczą was wąskie korytarze, cuchnące wilgocią i zgnilizną i tak ciemne, że bez towarzyszącego wam niezwykłego światła (jeśli macie dość szczęścia, by wybrać się z wami mudluf) niczego byście nie zobaczyli. Kiedy dotrzecie w to miejsce, gwarantuję, że lochy będą tuż-tuż.

Zamek był niemal zupełnie opuszczony. Raz jeden usłyszałem kroki na końcu korytarza i pośpiesznie uskokczyłem za róg. To wszystko. A przechodzący obok ludzie skojarzyli mi się z pracownikami firmy przeprowadzkowej – ubrani w białe kombinezony, nieśli ze sobą krzesła i lampy.

W niecałe dwadzieścia minut bez problemów znalazłem lochy.

Poprawka, istniał pewien drobny problem: były puste.

W żywej skale wykuto dziewięć cel, dziewięć dziur bez okien, zaopatrzonych w ciężkie, żelazne drzwi z niewielkimi zakratowanymi okienkami. I wszystkie były puste. Wokół słyszałem tylko tupot i świergot szczurów, i kapanie wody, ściekającej po omszałych kamieniach. Zaryzykowałem i zawołałem głośno:

– Jai! Jo! Josef!

Nikt nie odpowiedział.

Usiadłem na kamiennej posadzce. Nie wstydzę się przyznać, że miałem łzy w oczach. Tęczek krążył wokół mnie i podskakiwał w powietrzu, po jego powierzchni przepływały plamy światła.

– Spóźniłem się, Tęczku – powiedziałem. – Pewnie już nie żyją. Albo ugotowali ich, jak mówili ludzie z RUN, albo też zmarli ze starości, czekając na mój powrót. I to... – Zamierzałem powiedzieć „moja wina”, ale tak naprawdę nie byłem tego pewien.

Tęczek próbował przyciągnąć moją uwagę. Unosił się przed mą twarzą, wyciągając liczne wielobarwne nibynóżki.

– Tęczku – rzekłem – jak dotąd bardzo mi pomogłeś. Ale chyba dalej nie damy już rady dotrzeć.

Na gładkiej powierzchni małego mudlufa rozszedł się szkarłatny rumieniec irytacji.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Zgubiłem ich. Co zamierzasz zrobić? Powiedzieć mi, gdzie są?

Powierzchnia Tęczka zamigotała i się zmieniła. Ujrzałem rzeki i skupiska gwiazd na nocnym niebie w górze i w dole. Natychmiast rozpoznałem to miejsce. Jay i pani Indygo nazywali je Nigdzie-Nigdzie, mieszkańcy Binarium – Szumem. Niezależnie od nazwy był to obszar graniczny Pomędzy, okrężna trasa, umożliwiająca podróże między płaszczyznami.

– Nawet jeśli tam są – powiedziałem – w żaden sposób nie zdołam pójść za nimi.

Ale Jay poszedł przeciw za mną, prawda? Uwolnił mnie z „Lacrimae Mundi”.

Zatem było to możliwe.

Tyle że nie wiedziałem, jak to zrobić. Umiałem jedynie wędrować przez Pomędzy. Dotarcie do Nigdzie-Nigdzie wymagało znajomości zupełnie innych wielowymiarowych współrzędnych, przekazanych przez kogoś dobrze znającego tamte poziomy rzeczywistości...

Uniosłem wzrok.

– Tęczku?

Mudluf oddalał się ode mnie powoli, metr za metrem, aż wreszcie znalazł się na końcu wilgotnego korytarza. A potem pomknął ku mnie szybciej niż spadająca z parapetu doniczka. I choć wiedziałem, co zamierza zrobić, nie mogłem powstrzymać wzdrygnięcia, gdy przesłonił mi widok. Usłyszałem głośne...

...pop!...

...i otaczający mnie świat zapadł się w morze gwiazd.

Mudluf gdzieś zniknął, lecz samo otoczenie wyglądało bardzo znajomo. Przez chwilę miałem nawet odczucie *déjà vu*, no wiecie „już tu byłem”, ale oczywiście to była nieprawda. Ostatnim razem, kiedy spadałem w Nigdzie-Nigdzie, Jay leciał obok mnie i oddalaliśmy się od „Lacrimae Mundi”.

Teraz wiatr pomiędzy światami smagał mnie po twarzy tak mocno, że do oczu napływały łzy, a rozmazane gwiazdy (czy cokolwiek to jest w Nigdzie-Nigdzie) przelatowały obok. Szamotałem się przerażony pustką nicości, lecz jeszcze bardziej faktem, że nie oddalałem się od niczego.

Spadałem ku czemuś.

Wyobraźcie sobie obwarzanek albo dętkę – klasyczny pierścień. Pomalujcie go czymś czarnym i oślizgłym. Teraz weźcie pięć podobnych pierścieni i skręćcie je razem, jak balonowe zwierzątka, które artyści uliczni robią dla dzieci – choć myślę, że gdyby stworzyli coś, co wyglądałoby podobnie, dzieciak rozplakałby się i nie mógł uspokoić. Wciąż mnie

sluchacie? Teraz powiększcie to coś do rozmiarów supertankowca i wreszcie pokryjcie każdą zakrzywioną powierzchnię otrzymanego obiektu, wielkiej, czarnej, złowieszczej rurowatej konstrukcji, dźwigami, wieżyczkami, zębatymi murami, balistami, armatami, gargulcami i... Już widzicie?

W gruncie rzeczy nie było to coś, ku czemu chcielibyście spadać, wierzcie mi – raczej oddalać się, i to jak najszybciej.

Ale nie miałem wyboru. Zmrużyłem oczy, próbując osłonić je przed wiatrem. Wokół wielkiej czarnej konstrukcji dostrzegłem parę tuzinów mniejszych okrętów – galeonów podobnych do „Lacrimae Mundi”, a także jeszcze mniejszych i szybszych statków. Wyglądały jak kaczki eskortujące wieloryba.

Wiedziałem, że patrzę na armadę pana Psinoża i jego pancernik. Nie mógł być niczym innym. Zaczynali atak na światy Lorimare.

W końcu odkryłem, gdzie więżą moich przyjaciół – zakładając, że nie zamienili ich już w zupę z Wędrowców. Problem w tym, że za jakąś minutę miałem uderzyć o pokład jak melon zrzucony z wieżowca i nic nie mogłem na to poradzić. Nigdzie-Nigdzie to nie przestrzeń kosmiczna, jest tam powietrze i coś w rodzaju grawitacji. Gdybym uderzył w ten statek, zginąłbym. Gdybym nie trafił – a szanse miałem mniej więcej takie, jak na nietrafienie w boisko do piłki nożnej – spadałbym przez wieczność, chyba że zdołałbym otworzyć portal wiodący Pomiedzy, a nie miałem co do tego żadnych gwarancji. Ostatnim razem udało mi się tylko dlatego, że był ze mną Jay.

Co zrobiłby Jay? – pomyślałem.

*Sądziłem już, że nigdy nie zapytasz* – odparł głos, dobiegający gdzieś z głębi głowy. Brzmiał jak mój, tyle że był starszy o dziesięć lat i nieskończenie mądrzejszy. Nie był to Jay ani jego duch, czy coś takiego, tylko ja sam, odnajdujący głos, którego gotów byłem wysłuchać.

*Jesteś teraz w rejonie panowania magii* – ciągnął głos Jaya. *Fizyka Newtonowska to raczej sugestia niż niezłomna zasada. Liczy się siła woli.*

Stanowiło to streszczenie wykładów z praktycznego cudotwórstwa czy też, jak to nazywaliśmy, podstaw magii. „«Magia» to po prostu sposób przemawiania do wszechświata słowami, których nie może zignorować” – powiedział nam nauczyciel, cytując kogoś, czyje nazwisko zdążyłem już zapomnieć. „Niektóre części altiwersum słuchają – to światy magiczne. Niektóre nie i wolą, abyście wy słuchali ich – to światy nauki. Wystarczy to zrozumieć, a wszystko staje się niemal proste”.

Oczywiście „niemal proste” to pojęcie względne w szkole, w której nawet zajęcia

uzupełniająco wywołałyby krwotok z nosa u Stephena Hawkinga i czarodzieja Merlina. Nauczyłem się jednak dość, by wiedzieć, że miejsce, w którym przebywałem, to królestwo surowej, nieopanowanej magii, podprzestrzeń, bardziej posłuszna zasadom świadomości zbiorowej niż mechaniki.

Wola. Oto klucz.

*Właśnie* – powiedział głos Jaya z głębi mojej głowy. *A teraz do dzieła.*

Olbrzymi, złowieszczy precel rósł z każdą chwilą. Wciąż spadałem ku niemu. Nie wyglądał szczególnie miękko i raczej trudno byłoby w niego nie trafić.

W porządku zatem, postanowiłem, że go nie ominę. Ale nie spadam już ku niemu – wznoszę się łagodnie w jego stronę, tak wolno i delikatnie, że kiedy dotknę jego powierzchni, będę jak pyłek ostu lądujący na trawie, piórko opadające na poduszkę, tak lekko, jakby go nie było.

Wystarczyło tylko przekonać tę część altiwersum, że nie spadam wprost ku śmierci.

Co oznaczało przekonanie samego siebie.

– Ja nie spadam – powiedziałem sobie. – Wznoszę się lekko i wolno, delikatnie...

Z trudem zdołałem zignorować cichutki głos rozsądku wrzeszczący ze strachu gdzieś z tyłu głowy.

Nie spadałem. Nie spadałem...

Miałem wrażenie, że wiatr chłuszczący mi twarz zaczyna słabnąć. A potem moja perspektywa zmieniła się nagle o sto osiemdziesiąt stopni i gdy mój żołądek wciąż próbował sobie z tym poradzić...

Uderzyłem o powierzchnię statku, znacznie mocniej niż puszek ostu o trawę – dość mocno, bym stracił dech i przez moment próbował złapać powietrze. Ale niczego nie złamałem. Leżąc tak na pokładzie statku, trzymając się liny i próbując złapać oddech, podziękowałem w myślach głosowi Jaya, przemawiającemu w mojej głowie.

W końcu zdołałem usiąść i się rozejrzeć. W pobliżu nie widziałem Tęczka – nie pojawił się od chwili, gdy w jakiś sposób przeniósł mnie z lochu w Nigdzie-Nigdzie. W porządku, byłem sam – i znalazłem się na statku.

Co teraz?

Odpowiedź nadeszła wkrótce. Nagle czyjaś dłoń chwyciła mnie za kark, kolejne dźwignęły mnie z pokładu, wykręciły mi ręce za plecy i popchnęły w stronę wieżyczki, a następnie wąskimi schodami tuzin pięter w dół, w głąb olbrzymiego pancernika, do gigantycznej komory, która wyglądała jak skrzyżowanie ośrodka dowodzenia, komnaty tortur inkwizycji i szkolnej sali gimnastycznej.

W powietrzu unosiła się woń przypominająca coś, co zdechło kilka miesięcy temu, lecz gospodarze jeszcze tego nie znaleźli, albo też w ogóle nie przejęli się tym faktem. Był to smród zgnilizny, rozkładu i pleśni.

Wśród ponad pięćdziesięciu nieznanych mi osób dostrzegłem panią Indygo i człowieka-galaretę Neville'a. Część obecnych stanowili zwykli ludzie, część stworzenia znacznie bardziej egzotyczne.

Był tam też ktoś, kogo nigdy jeszcze nie widziałem, lecz natychmiast rozpoznałem, gdy tylko przekroczył próg. Najwyższy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek oglądałem: tak potężny i idealnie zbudowany, że w porównaniu z nim pozostali zebrani wydawali się mali jak dzieci. Miał na sobie czarne i szkarłatne szaty, jego ciało, przynajmniej ta część, którą widziałem, było ludzkie i umięśnione jak Dawid Michała Anioła. Idealne.

Natomiast twarz...

Jak mam ją opisać? Gdybyście kiedykolwiek go spotkali, nigdy byście go nie zapomnieli. Jego twarz powracałaby w myślach tuż przed zaśnięciem i budzilibyście się z krzykiem.

Wyobraźcie sobie człowieka, który zaczął zmieniać się w hienę, jak wilkołak. Wyobraźcie sobie, że zatrzymał się w połowie procesu: twarz do połowy przekształcona w pysk, broda z szorstkiej, psiej sierści, zęby ostre, stworzone do rozszarpywania padliny. Miał świńskie oczka, płonące czerwonym światłem, z pionowymi źrenicami jak u fretki; spłaszczony nos i szczękę stale wykrzywioną w upiornej parodii uśmiechu.

Skojarzył mi się z wizerunkami Anubisa, egipskiego boga o głowie szakala, który sądził zmarłych. Prawdę mówiąc, to chyba lepszy opis, bo tak właśnie zamierzał postąpić ze mną.

Ale nie jego wygląd zapowiadał zbliżający się koszmar, lecz poczucie tego, co kryło się za ową straszliwie zniekształconą twarzą – świadomość, że dla tego stwora, tego potwora, nocne koszmary są uroczą rozrywką, zabawą w parku w stylu Mary Poppins.

Pan Psinóż uśmiechnął się do mnie, odsłaniając ostre, jakże ostre, zęby i przemówił głosem przypominającym ociekający miodem gaz bagienny.

– Byliśmy okropnie zawiedzeni, że w zeszłym miesiącu umknąłeś nam z sieci, Josephie Harkerze. Jakże ci dziękuję za powrót. – Odwrócił hienią głowę. – Miałaś rację, pani Indygo. Najpotężniejszy Wędrowiec od dziesięciu lat. Czuję to. Będzie świetnym paliwem dla „Malefica”.

Z powrotem odwrócił się ku mnie i o mało nie krzyknąłem, czując na sobie spojrzenie owych przerażających oczu.



– Masz szczęście – rzekł. – W całej flocie nie ma innego statku dysponującego sprzętem potrzebnym do całkowitego pozbawienia cię całej zbędnej materii, oczyszczenia z ciała, włosów, kości i tłuszczu, zredukowania do absolutnej esencji: mocy, która pozwala ci Wędrować pomiędzy światami, a nam umożliwia podróże w Nigdzie-Nigdzie. Nie ma innego statku prócz „Malefica”. Zabierzcie go – polecił.

Podbiegło do mnie kilku lokajów. Chwycili mnie i zaczęli odciągać od Psinoża.

Nagle nad moją głową rozbłysły kolory. Rozpoznałem tęczowe pasma i mocniej zabiło mi serce, a ciało zalała fala ulgi. Tęczek opadał ku mnie. Miałem nadzieję, że zamierza jakoś mnie stamtąd teleportować, jak uczynił to wcześniej, gdy pani Indygo schwytała cały nasz zespół.

– Mudluf, mój panie – powiedziała teraz; w jej głosie nie usłyszałem niepokoju.

– Istotnie – odparł spokojnie Psinóż swym gardłowym, lepkiem głosem. – Spodziewałem się tego.

Uniósł rękę, demonstrując małą, szklaną piramidkę, coś jak pryzmat. Umieścił ją na podłodze i cofnął się o krok, mamrocząc pod nosem jedno słowo. Brzmiało jak „Smuklethorrap-gobslocz”, ale niedokładnie. Nagle rozbłysło światło, czarne światło – nie to fioletowe, którym oświetla się plakaty, lecz naprawdę czarne, jak promienie z obsydianu i żarówka rozbłyskująca w negatywie. Spowiło Tęczka, który zaczął bieleć, kulić się i zmieniać.

Wiedziałem, że gdyby mógł krzyknąć, zrobiłby to teraz.

– Nie! – wrzasnąłem, ale to nic nie dało.

Czarne promienie w jakiś sposób zmniejszyły małego mudlufa, ścisnęły go pod kątami prostymi we wszystkich trzech wymiarach tego świata. Potem zaś oświetliły ów mały pryzmat i po paru sekundach zniknęły, pozostawiając mi jedynie białe powidoki przed oczami.

Pan Psinóż podniósł pryzmat. Nawet z mojego miejsca widziałem tkwiącą w środku bańkę, mieniającą się gniewną czerwienią i wściekłym szkarłatem.

– Podobno ten stwór przywiązał się do ciebie, chłopcze. Zabrałem zatem ze sobą pojemnik na niego. Używaliśmy ich wiele lat temu, gdy próbowaliśmy skolonizować obłąkańcze krainy pomiędzy światami. Te stwory bardzo nam przeszkadzały. Pojemnik nie wytrzyma zbyt długo – najwyżej dziesięć, dwadzieścia tysięcy lat – lecz gdy mudluf uwolni się z niego, żaden z nas nie będzie już żył.

Schował pryzmat do wewnętrznej kieszeni.

– Często marzyłem – rzekł do mnie, i chyba nie potrafię wyjaśnić, jak strasznie się

czułem, kiedy zwracał się wprost ku mnie i patrzył mi w oczy. Już kiedy zwracał się do całej sali, był dość przerażający, gdy jednak patrzył na mnie, miałem wrażenie, jakby widział moje wszystkie występki, wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem złego. Jakby uważał, że owe występki to jedyna część mnie, która ma znaczenie, a reszta jest nieważna i głupia. – Często marzyłem – powtórzył – o tym, byśmy mogli zapanować nad mudlufami. Gdybyśmy zdołali wykorzystać ich energię tak, jak używamy energii Wędrowców, z łatwością opanowalibyśmy wszystkie światy i wszechświaty; do nas należałoby całe cudowne panopticum stworzenia. Niestety, nie wydaje się to wykonalne. Podjęto jedną próbę, lecz w miejscu, gdzie niegdyś krążyła Ziemia, na której to uczyniono, obecnie pozostał jedynie kosmiczny pył. Nie zostało z niej nic większego niż piłeczka. Nie, musimy się zadowolić esencją życiową dzieci takich jak ty. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo, jakby opowiedział właśnie nieprzyzwoity dowcip.

To on cuchnął jak coś, co zdechło dawno temu; to jego zapach wyczułem, wchodząc do wielkiej sali. Pod wonią kurzu kryło się zepsucie i zgnilizna.

Nigdy w całym moim życiu niczego i nikogo tak się nie bałem jak jego. Być może w tym strachu kryło się nieco magii, lecz nawet jeśli, wcale jej nie potrzebował.

– Przez resztę życia, jaka ci pozostała – rzekł pan Psinóz – czy też, ujmując inaczej, chłopcze, przez następne trzydzieści, czterdzieści minut, możesz pocieszać się świadomością, że twoja esencja – czy dusza, jeśli wolisz – w towarzystwie wielu innych małych Wędrowców będzie zasilać statki i okręty, które pozwolą mojemu ludowi i kulturze zdobyć przewagę, na którą uczciwie zasługujemy. Czy to cię raduje, chłopcze?

Nie odpowiedziałem.

Żółte kły wykrzywiły się w parodii przyjaznego uśmiechu.

– Powiem ci coś – podjął. – Padnij przede mną na kolana. Ucałuj me stopy. Obiecuję służyć mi wiernie po wsze czasy, a daruję ci życie. Mamy dość paliwa, by dokonać inwazji, wzięliśmy ze sobą wszystkie dusze w butelkach, jakie zdołaliśmy znaleźć. To co powiesz? Cmok w stopkę? – Pokiwał na mnie jedną ze swych wielkich stóp. Porastały ją czarne włosy, a zamiast paznokci miała szpony.

W tym momencie zrozumiałem, że umrę, bo nigdy nie ucałowałbym jego stóp. Spojrzałem mu prosto w oczy.

– I tak byś mnie zabił, prawda? – powiedziałem. – Najpierw chcesz mnie upokorzyć.

Roześmiał się i pomieszczenie wypełnił smród zepsutego mięsa. Potem klepnął się w udo, jakbym właśnie opowiedział najlepszy dowcip świata.

– Oczywiście! – wykrzyknął pomiędzy wybuchami śmiechu. – Oczywiście, że i tak bym cię zabił. – Odetchnął głęboko. – Och – rzekł – tego mi było trzeba. Jakże się cieszę, że

postanowiłeś wpaść. Zabrać go do sali ekstrakcji – polecił trzymającym mnie sługom. – Czas wypreparować chłopaka i pozostałych. I nie musi to być bezbolesne. – Odwrócił się do mnie, mrugnął raz jeszcze i wyjaśnił swobodnym tonem: – Odkryliśmy, że ból zadawany Wędrowcom podczas procesu ekstrakcji pobudza ich dusze przed butelkowaniem. Może daje im coś, na czym mogą się skupić. Cóż, żegnaj chłopcze. – Wyciągnął potężną łapę i niemal czule uszczypnął mnie w policzek.

A potem zaczął zaciskać palce, coraz mocniej i mocniej. Przyrzekłem sobie, że nie zareaguję, lecz ból stał się nie do zniesienia.

Krzyknąłem.

Psinóż jeszcze raz mrugnął do mnie powoli, jakbyśmy właśnie usłyszeli dowcip, którego nie zrozumiał nikt inny z obecnych, i puścił mój policzek.

Wykręcili mi ręce za plecy i wyprowadzili. Fakt, że oddalam się od Psinoża, przyjąłem z taką ulgą, że przynajmniej przez parę minut nie docierała do mnie informacja, że zmierzam do sali ekstrakcji.

Kiedy podczas lektury książek natykałem się na frazę „los gorszy od śmierci”, zastanawiałem się, co to znaczy. W końcu śmierć to chyba najgorsze, co może spotkać człowieka. To coś ostatecznego.

Lecz myśl, że zostanę zabity, ugotowany i zredukowany jedynie do tego, co czyni mnie mną – a potem spędzę całą wieczność w butelce jako część kosmicznego akumulatora...

W porównaniu z nią śmierć wyglądała całkiem nieźle, wierzcie mi. Nie żartuję.

# Rozdział 17

W miarę, jak schodziliśmy na kolejne poziomy, korytarze stawały się coraz węższe i ciemniejsze, a także gorętsze, jakby potężny pancernik wyposażono w silniki parowe. Miałem wrażenie, że schodzę w piekielną otchłań. W chwili, gdy znalazłem się na pokładzie „Malefica”, otoczył mnie ponury mrok i w miarę schodzenia tylko się pogłębiał.

Maszerowaliśmy kolejnymi wąskimi schodami – sala ekstrakcji musiała mieścić się na najniższym poziomie statku. Ucieszyło mnie to, bo dało mi więcej czasu do namysłu. Przedemną szło dwóch strażników, za mną kolejnych dwóch. Korytarze i schody tworzyły labirynt – zapewne zaprojektowano je tak specjalnie – i wiedziałem, że sam nigdy nie odnajdę wyjścia.

Lecz mimo panującej w nich ciasnoty i duchoty nie dorównywały szczurczemu labiryntowi, w którym szamotał się mój umysł.

Pan Psinóż kazał mnie zabić wraz z „pozostałymi”. To mogło oznaczać tylko jedno: członkowie mojego zespołu wciąż żyli.

A jeśli tak, nadal mieliśmy choćby cień szansy.

Ale tylko cień. Pięć uwięzionych wersji mnie naprzeciwko kto wie ilu tysięcy żołnierzy RUN, czarodziejów, demonów... Szczerze mówiąc, mielibyśmy niewielkie szanse, nawet w starciu wyłącznie z panem Psinożem i panią Indygo. Bez pomocy Tęczka nasze szanse równały się... no cóż, zeru.

Wiedziałem to wszystko. A jednak sama świadomość, że być może wciąż żyją, dodała mi otuchy.

Niższe poziomy „Malefica” miały w sobie coś zdecydowanie piekielnego. Zacząłem sobie wyobrażać, że w powietrzu wyczuwam woń siarki. A potem maszerujący przodem strażnicy otworzyli ciężkie, drewniane, okute brązem drzwi, brutalnie przepchnęli mnie za próg i smród jeszcze się pogorszył.

Przypomnijcie sobie piekło, dokładnie takie, jakim wyobrażaliście je sobie w dzieciństwie. A teraz wyobraźcie sobie, że najgorsza piekielna sala tortur to pomieszczenie wielkości licealnej klasy. Wyobraźcie sobie, że zaprojektował je ktoś, kto oglądał zbyt wiele starych, tanich horrorów, tych, które telewizja wyświetla nocą w czerni i bieli. To właśnie była sala ekstrakcji.

Nie miała okien, podobnie jak dziewięć dziesiątych mijanych pomieszczeń na statku.

Na ścianach wisiały najróżniejsze narzędzia i instrumenty, ostre, wielkie i przerażające – wyglądały, jakby miały pomóc nam się wygotować, gdy już trafimy do kotła i pobędziemy w nim jakiś czas. W głębi pomieszczenia, na kracie ustawiono – nie uwierzycie – prawdziwy garnek, odlany z brązu i mający co najmniej trzy metry średnicy. Wyglądał jak olbrzymi kocioł z karykatury przedstawiającej kanibali, stojący wysoko na trzech cienkich, metalowych nogach. W środku gotował się jakiś płyn – sądząc po zapachu, zdecydowanie nie woda. Śmierdział siarką, amoniakiem i płynami do balsamowania. Mam wrażenie, że była w nim też krew – magia czerpie sporo mocy z krwi. Płonący pod nim ogień podsycano najróżniejszymi solami i proszkami – na zmianę rozbłyskiwał zielenią, czerwienią i błękitem, w miarę jak dodawano do niego kolejne chemikalia. Dym i opary zasnuwały powietrze; zapiekły mnie od nich oczy i rozboleły płuca. Mały stwór, wyglądający jak skrzyżowanie ropuchy z karłem, dosypywał proszków do ognia, uważając, by jednorazowo nie dodać więcej niż małej garstki.

Żadna z osób zajmujących się przygotowaniem do ekstrakcji nie była człowiekiem. Choć ogień pod kotłem stanowił jedyne źródło światła w całej sali, dostrzegłem macki i czułki. Nie wiedziałem, czy ich właściciele pochodzą ze światów granicznych daleko w głębi Łuku, czy też to ludzie zamienieni w stwory, którym nie przeszkadza gęsty, chemiczny dym, palące powietrze i to, co muszą robić, zresztą nie miało to chyba znaczenia. Moim strażnikom natomiast dym i powietrze przeszkadzały zdecydowanie. Dwóch zostało na zewnątrz, po obu stronach zamkniętych drzwi. Pozostali dwaj, którzy odeskortowali mnie do sali, przyciskali do ust i nosów chustki, a po policzkach ściekały im łzy.

Jeden ze stworów podszedł do nas; mógłby być modliszką, gdyby dorastały do rozmiarów człowieka i miały ludzkie oczy. Zaświergotał z dezaprobatą do moich strażników.

– Wy stąd iść – polecił. – Nie da oddychać, zaraz rozpocząć ekstrakcja. Iść. Opuścić to miejsce. Czk-czk-czk, nie miejsce dla was.

A potem dym rozwiął się na moment i zobaczyłem ich po drugiej stronie kotła. Serce zabiło mi mocniej. Mieli związane stopy i dłonie, leżeli na ziemi jak króliki gotowe na rzeź. Moi koledzy.

Od razu zorientowałem się, że są tam wszyscy: Jai, Jakon, J/O, Jo i Josef. Byli przytomni, choć wychudzeni i otepiali z rozpacz. Nie miałem pojęcia, ile to dla nich trwało – dni? tygodnie? miesiące? – ale najwyraźniej pobyt tutaj nie należał do najprzyjemniejszych.

Mój widok wcale ich nie zaskoczył; może do sali dotarła już wieść o schwytaniu mnie, a może po prostu się go spodziewali. Jak dotąd schrzaniłem tyle spraw, że mogli oczekiwać, że nawalę po raz ostatni. Po prostu spojrzeli na mnie i widoczna na ich twarzach rezygnacja zraniła mnie do głębi.

Co gorsza, wiedziałem, że mają rację. Nie było to miejsce umożliwiające dramatyczną ucieczkę w ostatniej chwili. To miejsce, w którym się umiera – boleśnie, powoli, z żalem.

Jeden ze strażników puścił mnie i wystąpił krok naprzód.

– Mamy tu jeszcze jednego do garnka. Rozkaz pana Psinoża.

Z płomieni pod kotłem wleciała chmura siarki. Drugi strażnik puścił mnie, by otrzeć łzawiące oczy.

I wtedy właśnie rzuciłem się do działania.

No, może „rzuciłem się” nie jest najodpowiedniejszym słowem, ale brzmi lepiej niż „potknąłem się i kopnąłem”. Chwiejnie poleciałem naprzód, a potem z całych sił wymierzyłem kopniaka w najbliższą podpórę, podtrzymującą olbrzymi kocioł.

Bardzo pragnąłbym móc wam powiedzieć, że było to częścią genialnego planu. Ale nie. Chciałem jedynie zyskać trochę czasu. Zrobić cokolwiek.

Czułem się, jakbym uczestniczył w wypadku samochodowym. Wszystko działo się bardzo wolno. A potem...

Jedna z podpór trójnoga przesunęła się ze zgrzytem.

Widziałem strażników; kaszląc i kichając, ruszyli ku mnie.

Kocioł zaczął się przechylać.

Ropuchowaty stwór, dotąd starannie dosypujący kolejne sole do ognia, upuścił weń całą tacę proszków i odskoczył na bok, wprost na najbliższego strażnika, który zaklął i poleciał do tyłu na modliszka.

Rzuciłem się w bok, uskakując przed kotłem. Proszki i sole zajęły się ogniem i eksplodowały niczym miniaturowe fajerwerki.

A kocioł powoli, majestatycznie się przewrócił.

Nigdy nie zapomnę strażnika unoszącego ręce, jakby chciał powstrzymać olbrzymi garnek przed upadkiem, i tego, jak kocioł cały czas opadał. Nie zapomnę stopionej zawartości, rozbryzgującej się i wylewającej, a także krzyków stworzeń, których dotknęła. Owa ciecz paliła, nie przestawała palić. Nawet kości.

Dławiłem się, nie mogłem oddychać. Świat wokół mnie wirował. Czułem łzy spływające po policzkach, ale nie ustawałem.

Podniosłem z podłogi coś przypominającego nóż do filetowania i zacząłem rozcinać więzy towarzyszy. Na pierwszy ogień poszła Jo. Przeciąłem liny krępujące jej skrzydła, a potem pasek knebla.

– Dzięki – rzuciła.

– Skrzydła – wydyszałem. – Powietrze. Wachluj. Powietrze. – Przeszedłem do Jakon.

Jo skinęła głową, rozpostarła skrzydła i zaczęła nimi łopotać, odganiając od nas duszący dym. Spod kraty wypływało świeże powietrze – pewnie miało podsycać ogień. Zachłysnąłem się nim, otarłem oczy i znów zacząłem piłować nożem sznury. Jakon sprawiała wrażenie najżywszej z całego zespołu, wiła się i skręcała w więzach. Nim jeszcze skończyłem, szarpnęła się, rozrywając ich resztki zębami.

A potem odsłoniła kły, warknęła i skoczyła na mnie.

Schyliłem się.

Wilcza dziewczyna przeleciała nad moją głową i rzuciła się na modliszka, który zbliżał się ku mnie, unosząc tasak.

Jednym gniewnym uderzeniem oderwała mu głowę. Ciało zaczęło szamotać się ślepo dookoła, wciąż wymachując gniewnie ostrzem.

Następnego uwolniłem Josefa. Krępujące go sznury były grube jak cumy okrętowe. Oswobodziłem mu ręce, a potem wręczyłem nóż i kazałem samemu zająć się stopami. Zatarł dłonie, skrzywił się, po czym przeciął liny dwa razy szybciej, niż ja bym to zrobił.

Kątem oka widziałem Jakon, strzegącą nas jak wilczyca szczeniąt – przykucnęła z wyszczerzonymi zębami i nastroszonymi włosami na głowie – a także Jo, nadal wachlującą skrzydłami. Chwyliła ze ściany pikę i dźgała każdego, kto próbował się do niej zbliżyć. Niewielu się na to odważyło – większość stworów kulila się w kącie, starając się trzymać jak najdalej od rozdzielającej nas ognistej rzeki.

Uwolniłem Jaia.

Przeturlał się niezgrabnie po ziemi.

– Dopadła mnie parestezja – oznajmił. – Wszystko mnie boli i kłuje. Jestem też ci głęboko, niezmiernie zobowiązany.

– Nie ma sprawy – odparłem.

Rozciąłem pasek knebla J/O.

– Typowe – rzucił. – Mnie zostawiasz na koniec. Tylko dlatego że jestem najmniejszy. Pewnie uważasz, że to uczciwe. Mmmfmmfmmmmmf... – Ostatnie słowa zabrzmiały dokładnie tak, bo wepchnąłem mu z powrotem knebel w usta.

– Tak naprawdę – rzekłem – chciałeś powiedzieć „dziękuję”. Jeśli tego nie powiesz, zapomnę o twoich więzach i umyślnie „przypadkiem” zostawię cię tutaj.

Wyciągnąłem knebel. J/O oczy miał bardzo wielkie i bardzo okrągłe.

– Dziękuję – rzekł cichym głosikiem – za to, że wróciłeś. Że mnie uratowałeś. Dziękuję.

– Bardzo proszę – odparłem. – Nie ma za co. – Uwolniłem mu stopy i dłonie.

Dym zaczynał rzednąć, a ogień zachowywał się bardziej jak ogień niż jak Wezuwiusz. Moi towarzysze zebrali się wokół mnie. Domyśliłem się, że sala ekstrakcji jest pod ochroną potężnych zaklęć ognioodpornych – płomienie nie ogarniały ścian, podłogi ani sufitu. I zaczynały przygasać.

– Musimy wyindywidualizować się stąd z największą możliwą chyżością – oznajmił Jai. – Bez wątpienia nasz nagły rewolucyjny wybryk uruchomił niezliczone struktury alarmowe.

– Nie zdołamy się przebić przez cały statek – dodała Jo. – Ale wolę śmierć w bitwie niż śmierć w kotle pełnym wrzącej krwi.

– Nie zginiemy w bitwie ani we krwi – oznajmiłem. – Nie dojdzie do tego. Ale jedyne drzwi są po drugiej stronie ognia.

– Prawdę mówiąc – w głosie J/O dosłyszałem lekką, zadufaną nutkę – tu obok też są drzwi, tyle że ukryte. Widziałem, jak jeden z tych wijących się stworów przeszedł przez nie, gdy nas tu sprowadzili.

– Jesteś spostrzegawczy – pochwaliłem. – Ale jak je otworzymy? Z pewnością chronią je zaklęcia czy coś takiego.

Po drugiej stronie płomieni strażnik, który wciąż stał, i kilkanaście upiornych stworów rozmawiali o czymś, patrząc na nas. Nie mogliśmy już liczyć na zaskoczenie. Musieliśmy uciekać.

Josef wzruszył ramionami, potem splunął w dłonie, wyciągnął ręce i dźwignął. Mięśnie na jego karku napięły się jak postronki. Sapnął z wysiłku i cofnął się. W miejscu, gdzie krata stykała się ze ścianą, ujrzeliśmy zarys włazu. Uśmiechnął się szeroko, po czym mocno rąbnął masywną stopą.

W ścianie ziała teraz spora dziura.

– Zaklęcia zaklęciami – rzekł – a brutalna siła brutalną siłą. Ruszajmy.

Ci z nas, którzy nie mieli broni, zdjęli coś pośpiesznie ze ścian sali ekstrakcji. Przystanąłem na moment i zabrałem z haka małą, skórzaną sakwę, wypełnioną jakimś proszkiem.

– Co to? – spytał J/O.

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Ale przypuszczam, że właśnie to dodawali do ognia. Coś jak proch. Nie zaszkodzi.

Skrzywił się.

– Nie wydaje mi się, żeby to był proch, raczej jakaś dziwaczna magiczna mikstura, oko kijanki czy coś w tym rodzaju. Lepiej to zostaw.



To zdecydowało. Wepchnąłem sakwę do kieszeni, a potem przeszliśmy przez dziurę i znaleźliśmy się w wąskim tunelu, niewiele szerszym od szybu wentylacyjnego.

J/O szedł pierwszy, nasz szereg zamykała Jakon. Reszta dreptała w środku, wpadając na siebie w ciemności.

– Nie śpieszyło ci się – zauważyła Jo. Usłyszałem szelest piór, gdy złożyła skrzydła.

– Przeszedłem, kiedy tylko mogłem. Co się z wami działo?

– Zabrali nas do jakiegoś więzienia – odparł J/O. – Zamknęli w pojedynczych celach. Nie wolno nam było z nikim rozmawiać, czytać ani nic takiego. A to żarcie... błę. W moim znalazłem robaka.

– Robaki były z niego najlepsze – dodała Jakon. – Nawet nie próbowali nas przeszukiwać. Wiedzieliśmy, że trafimy do garnka. – Zawahała się i poczułem, jak drży. – Spotkałam Psinoża. Powiedział, że będziemy cierpieć, że osobiście tego dopilnuje.

Przypomniałem sobie ową upiorną, uśmiechniętą twarz.

– Mnie powiedział to samo – odparłem. – Ponoć nadaje to paliwu maksymalną wydajność. – Cieszyłem się, że w ciemności nie widzą mojej twarzy.

– Mieliśmy nadzieję, że po nas wrócisz – oznajmiła Jo. – Albo że dotrzesz do InterŚwiata, a oni wyślą zespół ratunkowy. Mijały jednak tygodnie, a ty się nie zjawiałeś i zaczęliśmy tracić nadzieję. A kiedy zabrali nas na Pierwszą z RUN i umieścili na pokładzie „Malefica”, zrozumieliśmy, że już jesteśmy trupami.

Pośpiesznie wyjaśniłem, co się stało – jak magowie RUN wykorzystali światocienie, by nas zmylić, jak zostałem wydalony i skasowano mi pamięć i jak ją odzyskałem dzięki Tęczkowi. W chwili, gdy skończyłem, J/O oznajmił, że widzi przed sobą światło.

Trzeba było kolejnych dziesięciu minut marszu, nim reszta z nas je dostrzegła. Cyberwzrok J/O jest znacznie czulszy niż ludzkie oczy. W końcu jednak wyłoniliśmy się z tunelu, znaleźliśmy w świetle i zamarliśmy, zadziwieni.

Staliśmy na galerijce okalającej pomieszczenie, które prawdopodobnie było maszynownią. Wciąż nie wiem do końca, w jaki sposób „Malefic” latał. Jeśli jednak wielkość ma znaczenie, to silniki dysponowały wręcz nadmiarem mocy. Były gigantyczne; komora musiała zajmować cały najniższy poziom statku. Pod nami poruszały się olbrzymie tłoki i zawory, a także koła zębate wielkości rotundy miejskiej w Greenville. Z wielkich kurków strzelała para, a szyny zderzały się ze sobą z ogłuszającym łoskotem. Przypominało to obrazki maszynowni na starych transatlantykach, takich jak „Titanic”. Tyle że na tamtych statkach nie pracowały trolle ani gobliny.

A potem Jai dotknął mojego ramienia i wskazał w bok. Odwróciłem się i ujrzałem

wielką ścianę z rzędami półek, na których od sufitu po podłogę ustawiono naczynia podobne do wielkich aptecznych słoików albo staroświeckich butli na wino, z grubego, ołowiowego szkła. W każdym zamknięto coś, co wyglądało jak blask świetlika, bez samego owada – łagodną luminescencję, pulsującą lekko w rytm łoskotu maszyn. Słoje mieniły się wieloma kolorami, od świetlikowej zieleni po fluorescencyjną żółć i pomarańcz, i oślepiający, ognisty fiolet. Ze szczytu każdego wychodziła rurka, podłączona do wielkiej rury na suficie, której koniec znikał w sercu silnika.

– To nasi bracia – wyszeptał Jai.

– I siostry – dodała Jakon.

Dotknąłem dłonią ścianki jednego chłodnego słoja, który natychmiast rozbłysł jasnym pomarańczem, jakby mnie rozpoznał. Uświadomiłem sobie, że w tych słojach kryje się „paliwo” zasilające pancernik: esencja niezliczonych Wędrowców, pozbawionych ciał, zamkniętych w butlach, zniewolonych.

Szkło, czy inny materiał, z którego zrobiono butle, wibrowało lekko. A mnie przyszła do głowy jedynie scena ze stu różnych horrorów, w której opętany bohater na moment odzyskuje świadomość i błaga: „Zabij mnie”.

– To mogliśmy być my – warknęła Jakon.

– I wciąż możemy – zagrzmiął Josef.

– To świętokradztwo – dodała Jo. – Chciałabym im jakoś pomóc.

– Możemy – rzucił Jai, zaciskając usta w gniewnym grymasie. Zawsze był łagodny, teraz jednak wyczuwałem jego gniew. Przypominał napięcie przed burzą.

Zmarszczył brwi i zapatrzył się w szklany słoik wysoko w górze. Wydało mi się, że widzę, jak drży. Jai skupił się mocniej, zamknął oczy – i słoik pękł, eksplodując z trzaskiem niczym kapiszon. W powietrzu, w miejscu gdzie stał, pozostało światełko, poruszające się nerwowo, jakby nieprzywykłe do wolności.

Popatrzyłem na pozostałych. Wszyscy przytaknęli.

Kawał żelaza, który zabrałem z sali ekstrakcji, przypominał nieco halabardę. Z jednej strony miał ostrze, z drugiej tępy młot. Idealne narzędzie do tej pracy, jak powiedziałyby tato.

Wystąpiłem naprzód. Gdy się zamachnąłem, wezbrał we mnie krzyk – dziki krzyk, który o mało nie zagłuszył trzasku pękających słoików. Pierwsze uderzenie rozbiło ich pięć. Zamknięte w nich światła rozbłysły jasno, tak jasno, że na moment mnie oślepiły.

Reszta grupy zabrała się do roboty z równym entuzjazmem. Powietrze wypełniły odłamki szkła i pulsujące światełka. Obejrzałem się przez ramię; w maszynowni zapanowało istne pandemonium. Olbrzymie tłoki zacinają się, wypadając z sekwencji bądź w ogóle się

zatrzymując. Z najróżniejszych zaworów i pękających rur coraz mocniej tryskała para. Gobliny, gremliny i inne wyrzutki z baśni uganiały się wokół w panice, jak szczury na rozgrzanej blasze.

Olbrzymia maszyna zwalniała biegu.

W tym momencie zupełnie mnie to nie obchodziło. Myślałem jedynie o uwolnieniu dusz najróżniejszych wersji mnie, zamkniętych w szklanych więzieniach. Z każdą kolejną pękającą butlą czułem się coraz mocniejszy i mądrzejszy. Pełniejszy.

Bardziej żywy.

Zorientowałem się, że Josef podśpiewuje przy pracy; miał wysoki, dźwięczny tenor. Pieśń opowiadała o starej kobiecie i jej nosie oraz mnóstwie śledzi i sprawiła, że zacząłem się zastanawiać, z jakiego świata pochodzi.

A potem coś sobie uświadomiłem.

Światelka po uwolnieniu z butli nie gasły, nadal wisały w powietrzu. Co więcej, stawały się coraz jaśniejsze, pulsując jasnymi barwami. Zbierały się tuż nad naszymi głowami. Nie wiedziałem, czy to, co z nich zostało, doceniało nasze wysiłki, czy też nie. To nie miało znaczenia. My wiedzieliśmy.

Jakon rozbija ostatnią butlę, która pękła z trzaskiem, a uwięziona dusza wzleciała, dołączając do pozostałych.

Wszystko elektryzowało, dosłownie – miałem wrażenie, że powietrze jest naładowane elektrycznością. Każdy włoszek na moim ciele sterczał. Bałem się czegokolwiek dotknąć, żeby nie spłonąć żywcem. A światła wisały nad nami.

Może to sobie wyobraziliśmy, ale jeśli tak, to wyobraziliśmy sobie jednocześnie. Wolę myśleć, że działo się tak, ponieważ na pewnym podstawowym, bardzo rzeczywistym poziomie te światła były nami – niegdysiejszymi nami, nim nas zarżnięto i użyto do napędzania statków podróżujących między światami. Dlatego właśnie dotarły do nas ich myśli.

*Zemsta – myślały. Zniszczenie. Nienawiść.* I, wyczuwając naszą obecność, pulsowały, jakby chciały powiedzieć coś, co brzmiało jak chóralne *dziękuję*.

Światelka dusz zaczęły błyszczeć coraz jaśniej i jaśniej; tak jasno, że wszyscy, oprócz Jakon i J/O, musieliśmy odwrócić wzrok. A potem ruszyły naprzód i gdy to zrobiły, wydało mi się, że słyszę szum wiatru.

Na dole w maszynowni trolle i gobliny uciekały w panice we wszystkie strony. Nie miały najmniejszych szans. Kiedy światelka w nie uderzały, każdy z nich w rozbłysku zmieniał się w coś, co wyglądało jak zdjęcie rentgenowskie, a potem znikał.

Światła dotarły do silników.

Przypuszczam, że ja też bym ich nienawidził, gdybym musiał je napędzać wszystkim co mam, wszystkim czym jestem. Kiedy iskry dosięgły silników, zniknęły. Zupełnie jakby stal, żelazo, brąz i para w jakiś sposób je wessały.

– Co one robią? – spytał J/O.

– Ciii – syknęła Jakon.

– Nie chciałbym wyjść na praktycznego ponuraka – wtrąciłem – ale pan Psinóż i pani Indygo pewnie właśnie w tej chwili posyłają w głąb tunelu kolejne oddziały. Szczerze mówiąc, dziwię się, że jeszcze nie...

– Cisza – rzuciła Jo. – Chyba zaraz wybuchną.

I rzeczywiście wybuchły, i to było cudowne, jak pokaz świateł, fajerwerki, zniszczenie Gwiazdy Śmierci... wszystko, co tylko umiecie sobie wyobrazić. Zdawało się, że silniki „Malefica” zaczynają rozpływać się w światło, płomień, magię, a potem z grzmotem narastającym do prehistorycznego ryku eksplodowały.

– To niezaprzeczalnie ekstraordynaryjna detonacja. – Jai westchnął z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Niezłe – zgodził się Josef. – Śliczne.

Jeśli silniki „Malefica” wciąż obejmowała gwarancja, to właśnie straciła ważność.

A potem, gdy pył osiadł, poczułem go w umyśle. W miejscu silników w sali na dole otworzył się portal, wiodący Pomiedzy: największy, jaki kiedykolwiek widziałem. – Tam na dole jest brama – rzuciłem. – Zapewne wcześniej silniki naciągały do granic wytrzymałości materię czasoprzestrzeni. Teraz, gdy zniknęły, pozostawiły miejsce, przez które możemy przejść.

Jakon warknęła w głębi gardła.

– A zatem zrobmy to, i to szybko. Czuję zbliżający się ku nam tunelem cały batalion tych śmieci.

– A poza tym – dodał Jai – wygląda na to, że nasi przyjaciele dopiero zaczęli walkę.

Spojrzałem i przekonałem się, że miał rację. Iskry dusz świeciły coraz jaśniej, wlatując z miejsca, w którym jeszcze przed chwilą pracowały silniki. Przeniknęły przez sufit na wyższy poziom.

– Mogę znieść J/O – oznajmiła Jo. – Jai sam się teleportuje, zdoła też zabrać Joeya bądź Jakon. Ale Josef jest za duży, by go podnieść.

Josef wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy – rzekł. – Mogę skoczyć.

Wszyscy wiedzieliśmy, że przeżyje. Obawiałem się raczej, że przebije się przez podłogę i wyląduje Nigdzie-Nigdzie.

Ale nie mieliśmy czasu na wahanie bądź namysł. Słyszałem już tupot butów w tunelu; musieliśmy ruszać. Wiedziałem, że portal nie wytrzyma zbyt długo: sprawiał wrażenie niestabilnego.

Istniał tylko jeden problem.

– Posłuchajcie – rzekłem. – Psinóż ma Tęczka, a ja nie odejdę bez niego. Kilka razy ocalił mi życie. Uratował nas wszystkich. Przepraszam. Jeśli chcecie, przeprowadzę was przez bramę, ale sam zostanę, dla Tęczka.

I wtedy z tunelu wypadli pierwsi żołnierze.

# Rozdział 18

W górze coś huknęło, potężny kawał rury oderwał się od sufitu i runął w dół. Na szczęście wylądował daleko. Zastanawiałem się, co uwolnione dusze robią z resztą statku, potem jednak skupiłem uwagę na najbliższym problemie.

Gdy pierwszy żołnierz wyskoczył z wylotu tunelu, Josef podniósł go jak zabawkę i przerzucił przez balustradę galeryjki. Lecąc w dół, nieszczęśnik nie przestawał krzyczeć.

– A zatem – rzekł do mnie Jai – odrzucasz opcję towarzyszenia nam w peregrynacji domu po to, by, jakże nierozsądnie, narazić na szwank swe życie, próbując uratować oswojoną multiwymiarową, dynamiczno-labilną formę życia... – Urwał, bo kolejna garstka paskudnych stworów wybiegła z korytarza, po to by zostać przerzucona, teleportowana i zdmuchnięta na niższy poziom, w stanie od oszołomienia do śmierci.

– Tak – odparłem. – Chyba tak.

Westchnął, po czym spojrzał na Jo.

– Brzmi dobrze – oznajmiła.

– Też tak uważam – zgodził się Josef. – Wchodzę w to. Hej, nie tak szybko! – Cisnął jednego z żołnierzy w głąb korytarza, wywracając pozostałych jak kregle.

– Powiedz „proszę” – wtrącił J/O.

– Co?

– Powiedz „proszę”, a pomogę ci odzyskać twojego ulubieńca.

– Proszę.

Zamachnąłem się halabardą i kolejny stwór padł z krzykiem. Zaczekaliśmy, lecz z korytarza nikt już nie wyszedł. Wyraźnie zrezygnowali z tego planu.

– Lepiej się pośpieszmy – powiedziała Jakon. – Nie wydaje mi się, żeby statek wytrzymał zbyt długo, a Psinóż zejdzie z pokładu, nim to się stanie. Znam takich jak on.

– Nikt jeszcze nie wspomniał o prawdziwym problemie – zauważyłem.

Jai uśmiechnął się.

– A o jakież to prawdziwy problem w szczególności chodzi?

– Jesteśmy na samym dole i musimy dostać się na górny pokład. A najszybsza droga to pewnie korytarz, z którego właśnie wyszliśmy.

– Niekoniecznie. – Jo wskazała na dół. – Spójrz tam.

Wielkie wrota na końcu maszynowni, wykute z mosiądzu, otwierały się powoli na łańcuchach bądź zawiasach. Zgrzytały przy tym i jęczały w proteście niczym zła czarownica z zachodu. Po otwarciu do środka wmaszerowała niewielka falanga żołnierzy RUN i ustawiła się w szereg. Nie atakowali jednak, utworzyli jedynie naprzeciw nas mur z ciał i broni.

Przez jedną, pełną napięcia chwilę nikt się nie poruszył. A potem żołnierze RUN rozstąpili się, ukazując samotnego mężczyznę. Mężczyznę, na którego nagiej skórze roilo się od koszmarów.

– Cześć, Scarabusie! – zawołałem, starając się nie okazywać niepokoju, choć skóra mrowiła mnie, jakby ją także pokryły tatuaże. – Dobrze się bawisz na tym rejsie? Nieco później zapraszamy na zabawę na świeżym powietrzu i bingo.

– Od początku uważałem, że Neville i pani Indygo cię nie doceniają, chłopcze! – odkrzyknął. – Bardzo bym się ucieszył, gdybym się pomylił. – Położył dłoń na lewym bicepsie, na obrazku przedstawiającym szablę, i nagle w jego prawej dłoni znalazła się prawdziwa klinga, naoliwiona i połyskująca złowieszczą. – Zniszczyliście „Malefica” – rzekł. – Inwazja na światy Lorimare nie powiodła się. Pan Psinóż zamierza rozprawić się z wami osobiście. Wiercie mi, pożałujecie, że zamiast tego nie trafiliście do kotła.

Świetnie, pomyślałem. Psinóż wciąż przebywał na pokładzie.

Jai poklepał mnie po ramieniu; odsunąłem się na bok. Spojrzał w dół na Scarabusa i rzekł, nie podnosząc głosu, który mimo to dotarł do najdalszych kątów wielkiej sali:

– Mamy ci do zaproponowania układ. Proponujemy go wam wszystkim.

– Nie wydaje mi się, abyście mogli cokolwiek mi zaoferować. – Scarabus machnął szablą, która ze świstem przecięła powietrze.

– Ależ tak – powiedział Jai. – Jeden z nas będzie z tobą walczył. Jeśli nasz czempion zwycięży, sam jeden odprowadzisz nas do pana Psinoża jako ludzi wolnych. Jeśli czempion przegra, możesz zaciągnąć nas do niego jako więźniów.

Scarabus przyglądał mu się przez sekundę, a potem wybuchnął śmiechem. Natychmiast pojąłem dlaczego. Z jego punktu widzenia, nieważne, czy wygrałby, czy przegrał, i tak trafilibyśmy w szpony Psinoża. Osobiście też nie dostrzegłem różnicy. Pana Psinoża można by określić różnymi słowami, w większości mało uprzejmymi i nigdy nie wymawianymi prosto w oczy, lecz przymiotnik „głupi” do nich nie należał.

– Przyślijcie mi czempiona! – wykrzyknął Scarabus.

Jai pokręcił głową.

– Najpierw ty i twoi ludzie musicie przysiąc, że nie zrobicie nam krzywdy, jeśli nasz czempion wygra.

Żołnierze spojrzeli na Scarabusa, który skinął głową.

– Tak też przysięgam! – wykrzyknął.

– I ja, i ja – powtórzyli kolejno żołnierze. Wyglądali na szczerze rozbawionych.

– Jestem gotów – powiedziałem do Jaia. Wiedziałem, że ma plan i miałem nadzieję, że poznam go z czasem.

– Ty? – prychnęła wzdorliwie Jakon. – Pozwólcie mnie się nim zająć, rozszarpie mu gardło.

– Słucham? – zdziwił się Josef. – Najwyższy? Najsilniejszy? No, dalej, multiwymiarowy rachunek jest prosty.

– To nie jest kwestia siły – wtrącił J/O – lecz umiejętności walki. Czy ktokolwiek z was posługiwał się kiedyś szablą? – Nikt nie odpowiedział. – Bo ja uprawiałem szermierkę, zakwalifikowałem się nawet na olimpiadę. Odtwarzaliśmy też historyczne pojedynki na miecze dwuręczne, jednoręczne i szable.

– To obszar magii – przypomniał Jai. – Potężnej magii. I tak jesteś już osłabiony, a w dodatku najmłodszy z nas wszystkich, J/O. W tym świecie twoje zdolności się nie liczą.

– To nie jest kwestia nanoobwodów i wzmocnionych odruchów – wyjaśnił J/O. – To kwestia umiejętności. Mogę to zrobić.

Wszyscy spojrzeli na mnie, a ja na Jaia, który przytaknął.

Półmechaniczną twarz J/O wykrzywił wyniosły uśmiezek.

– Jo, możesz mnie tam znieść?

Skinęła głową.

– W takim razie poproście ich o broń.

Wzruszyłem ramionami.

– Hej! – zawołałem. – Macie zapasową szablę dla naszego czempiona?

Jeden z żołnierzy dobył broni, wystąpił kilka kroków naprzód, położył ją na podłodze i się cofnął. Pozostali wciąż się zaśmiewali.

– Dziękuję – rzekłem. – Miłej zabawy, pamiętajcie o napiwku dla kelnera.

Jo podniosła J/O i sfrunęła z nim na ziemię. Wziął szablę – niemal tak długą jak on sam – i skłonił się nisko przed Scarabusem.

Żołnierze zaśmiali się jeszcze głośniej – gdyby dało się umrzeć ze śmiechu, już byśmy zwyciężyli. Scarabus powiódł po nas wzrokiem.

– Co takiego? – spytał. – Przysyłacie mi najmniejsze z dzieci w nadziei, że okażę litość? – Uśmiechnął się szeroko. – Nie znam litości – rzekł, a potem uniósł klingę i zaatakował.



Był dobry. Był bardzo, bardzo dobry.

Problem w tym, że – co widzieliśmy wyraźnie wszyscy, nawet on, nawet żołnierze – J/O był lepszy. Od pierwszego skrzyżowania kling poruszał się szybciej. Znacznie szybciej. Jakby wiedział dokładnie, gdzie w danej chwili znajdzie się szabla Scarabusa, i zawsze umykał gdzie indziej.

Przede wszystkim zaskoczyło mnie, jak głośny był ich pojedynek. Za każdym razem, gdy ostrza się zderzały, słyszeliśmy ogłuszający brzęk metalu o metal. Wciąż jeszcze dźwięczy mi w uszach.

Wkrótce Scarabus porzucił pomysł błyskotliwego pojedynku i starał się zwyciężyć, wykorzystując przewagę siły i wzrostu. Zasypywał J/O potężnymi ciosami, które cybernetyczna wersja mnie ledwie dawała radę sparować.

A potem J/O się potknął i Scarabus z tryumfalnym okrzykiem skoczył naprzód, z całych sił opuszczając klingę – a J/O szybko jak myśl odturlał się na bok, wznosząc własną szablę.

Tatuowany człowiek nabił się na nią.

Zwycięski krzyk Scarabusa urwał się nagle. Mężczyzna nawet nie jęknął, nie wydał żadnego dźwięku. Chwytał jedynie metalowe ostrze i spojrzał ze zdumieniem na J/O.

A potem runął na ziemię – i rozpętało się prawdziwe piekło.

Jego skóra zawrzała, zupełnie jakby wszystkie tatuaże tkwiły uwiecznione w jego ciele i teraz, po śmierci, mogły się uwolnić. Potwory, demony, stwory, których nawet nie umiałem nazwać – wszystkie uniosły się, nabierając wielkości, masy...

A potem zadrżały, przez ułamek sekundy zastygły bez ruchu.

I nagle odniosłem wrażenie, że oglądamy film puszczonej od tyłu. Tatuaże opadły z powrotem w wirze kształtów i tuszu i po paru sekundach znów tkwiły bezpiecznie na jego skórze. Scarabus unióśł głowę opartą na łokciu, zaczął kasłać krwią, po czym otarł ją wytatuowaną dłonią.

– Kosztowałeś mnie jedno życie – rzekł do J/O. – Życie! Ty mały potworze.

– Czy teraz zechcesz towarzyszyć nam w drodze do pana Psinoża, nie robiąc nam krzywdy? – spytał spokojnie Jai ze swego miejsca obok mnie.

– Nie mam wyboru – odparł Scarabus. – Złożyłem przysięgę. W powietrzu jest zbyt wiele surowej magii, bym mógł się wycofać.

Dwaj żołnierze pomogli mu wstać. Tymczasem Jai, Josef, Jakon i ja dołączyliśmy do J/O i Scarabusa. Przez ten czas iskry dusz zajmowały się mniejszymi maszynami. Cichy, nabrzmiały mocą pomruk zastąpiło astmatyczne poświstywanie i grzechot. W końcu, w chwili

gdy przeszliśmy wraz ze Scarabusem przez wielkie, mosiężne wrota, maszyny zatrzymały się ze zgrzytem.

– Dobra robota – powiedziałem do J/O. Mówiłem szczerze.

Wzruszył ramionami, lecz jego oczy błyszczały radośnie.

Niezbyt odległa eksplozja wstrząsnęła statkiem tak mocno, że o mało nie zbiła nas z nóg. Kończył nam się czas. Zaczęliśmy biec jak najszybciej, wspinając się po wąskich, drewnianych schodach. Na każdym mijanym pokładzie panował chaos – ludzie i istoty niebędące ludźmi uganiaли się wokół, krzycząc w panice.

Scarabus przeklinał, żądając, byśmy zwolnili. Pozostawał nieco z tyłu, my jednak nie zwracaliśmy na niego uwagi. Wiedzieliśmy, że „Malefic” nie wytrzyma zbyt długo.

– Wygląda bardziej jak „Titanic” niż „Malefic” – rzekłem do Jo, próbując złapać oddech. Schodów było naprawdę mnóstwo.

– „Titanic”?

– Wielki statek z mojej Ziemi, zderzył się z górą lodową. Zatonął. Około tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku.

– A, tak – rzekła. – Zupełnie jak zatonięcie „Króla Jana”.

– Nieważne – mruknąłem. Tuż obok wielki fragment statku odpadł i runął w głąb Nigdzie-Nigdzie.

Nadal biegliśmy po schodach, potem korytarzami i kolejnymi schodami w górę. I wreszcie dotarliśmy na miejsce, przed drzwi sali, w której jakąś godzinę wcześniej widziałem pana Psinoża.

Zatrzymałem się.

Pozostali poszli w moje ślady.

– Hej – rzucił Josef. – Coś nie tak?

– Jest tutaj – powiedziałem. – Nie pytajcie, skąd wiem.

Jai przytaknął.

– Mnie to wystarczy – rzekł.

Josef wyważył kopniakiem drzwi i weszliśmy do środka.

# Rozdział 19

W sali panował mrok; jedynym źródłem światła był zielony, świetlikowy blask w przeciwległym kącie. Czekaliśmy przy drzwiach, nie chcąc zapuszczać się dalej i pozwalając naszym oczom przywyknąć do ciemności.

I wtedy w mroku rozległ się ociekający słodyczą zgrzytliwy szept.

– Witajcie, dzieci – rzekł Psinóż. – Przyszliśmy się pysznić, tak?

Ruszyliśmy nieśmiało naprzód. Na tle zielonego blasku rysowała się czarna sylwetka.

– Nie – odparła Jo. – My się nie pysznimy. Jesteśmy tymi dobrymi.

Odpowiedział jej pomruk, zielone światło stało się nieco jaśniejsze.

Teraz widziałem już, co to. Dusze Wędrowców, uwolnione ze słoików, wisiały w powietrzu, stłoczone razem, niczym olbrzymi rój pszczół. A naprzeciw nich, z rękami zanurzonymi głęboko w sam środek roju stał pan Psinóż. Wyglądało na to, że przytrzymuje dusze w miejscu, lecz wyraźnie wymagało to od niego ogromnej energii i wysiłku. Jego oddech świszcział jeszcze bardziej niż zwykle, nawet gdy się zbliżyliśmy, nie spojrzał na nas.

– Wy małe potworki, sprawiliście mi wiele kłopotów – wydyszał Psinóż. – Uwolnienie duchów kosztowało mnie mój okręt i inwazję na Lorimare.

– I Noc Mrozu? – spytałem.

Na te słowa odwrócił się i spojrzał na nas. Rój zapulsował jaśniej. Jedno światełko odłączyło się od reszty i pomknęło ku twarzy Psinoża, rozdzierając mu policzek. Psinóż zachwiał się i o mało nie upadł, potem jednak się wyprostował.

– Nie – warknął. – Noc Mrozu nadejdzie zgodnie z planem, nieważne, co stanie się ze mną.

Statek zadygotał i coś pod nami rozpadło się z łoskotem. Zdarzało się to coraz częściej.

– Czemu wciąż tu jesteś? – spytałem. – Nie powinieneś uciekać w szalupie czy coś w tym stylu?

Głos, który z siebie wydał, przypominał ryk byka, pomruk tygrysa.

– Nie rozumiesz, chłopcze? Te żalosne, wygotowane kłębki dusz mnie tu trzymają. – Jęknął i szarpnął się, próbując bez skutku uwolnić ręce.

Zielone światło zapłonęło jeszcze jaśniej, zaczęło ogarniać jego łokcie, przelewając się

coraz wyżej, niczym gęsty, zielony olej. To miało sens. Gdyby to mnie trzymał latami w szklanej butli – a najpierw zadał mi potworny ból, by pomóc mi się „skupić” – wiem, co chciałbym zrobić. Chciałbym go zranić, tak jak on zranił mnie. Zatrzymałbym go na statku aż do eksplozji, zatonięcia czy tego, co spotyka uszkodzone statki w Nigdzie-Nigdzie.

Josef dotknął mojego ramienia.

– Joey, to twoja piłka. Cokolwiek zamierzasz zrobić, zrób to szybko.

Skinąłem głową, odetchnąłem głęboko i wystąpiłem naprzód. Spojrzałem w owe oczy, oczy barwy raka, żółci, jadu. Spojrzałem w nie głęboko, choć każda komórka mojego ciała nakazywała ucieczkę.

– Chcę odzyskać swojego mudlufa – oznajmiłem.

Wielka twarz hieny na moment skrzywiła się w grymasie rozbawienia. Widziałem, jak Psinóż kalkuluje, zorientowawszy się, że ma coś, na czym mi zależy.

– Ach, nie wróciłeś tu tylko po to, by oglądać moją śmierć. Chcesz odzyskać tego stwora.

– Tak.

W roju dusz rozbłysło światło. Psinóż się wzdrygnął.

– W takim razie wydostań mnie stąd, a ja oddam ci twojego małego przyjaciela. Ale musisz mnie uwolnić. W tej chwili nie mógłbym oddać ci pryzmatu, nawet gdybym chciał. Mam zajęte ręce.

– Dlaczego mielibyśmy ci zaufać?! – zawołała Jakon.

– Nie możecie mi ufać i nie powinniście. – Urwał, sapnął i skupił się, po czym jęknął.

Była to największa oznaka słabości, jaką kiedykolwiek usłyszałem z ust Psinoża, i muszę przyznać, że nie sprawiła mi aż takiej satysfakcji, jak sądziłem. Na pewno jednak go nie żałowałem.

– Jeśli chcesz odzyskać swego ulubieńca, to, na miłość wszystkiego co dla ciebie święte, pomóż mi – rzekł. – Nie wytrzymam zbyt długo. Ból jest większy, niż mogę znieść, a potrafię znieść wiele bólu.

Zawahałem się.

– Nie wiem nawet, czy zdołam ci pomóc. A gdybyśmy po prostu zabrali pryzmat?

– Wówczas – wydyszał – mielibyście pryzmat z uwięzionym wewnątrz uroborosem. Potrzebujesz mnie, żeby go otworzyć.

Statek szarpnął się gwałtownie i nagle wszystko przechyliło się o trzydzieści pięć stopni. Straciłem równowagę na śliskiej, drewnianej podłodze i uderzyłem o ścianę. Odturlałem się na bok tuż przed tym, nim Psinóż rąbnął w to samo miejsce, tyle że znacznie

mocniej. Jęknął i dźwignął się ciężko na nogi.

Nieśmiało wyciągnąłem rękę i wsunąłem ją w pulsujące światło.

Nienawiść.

Nienawiść wypełniła mi umysł.

Łaknienie zemsty.

Każda z dusz, a były ich w roju setki, wciąż skręcała się i zwijała z bólu. Przepelniała je nienawiść: nienawiść do statku, do RUN, do pana Psinoża, do pani Indygo. Nienawiść pozostawała jedyną rzeczą, która odwracała ich uwagę od bólu.

To było straszne. W całym mym umyśle setki mnie, krzyczących w męce.

Musiałem im pomóc.

– To koniec – oznajmiłem, sam nie wiedząc co mówię. – Nikt już nigdy was nie skrzywdzi. Jesteście wolni. Zostawcie to. Odejdźcie.

Próbowałem przywołać w pamięci pozytywne obrazy, by poprzeć moje słowa. Upalne letnie dni. Ciepłe zimowe wieczory przy kominku. Burze z piorunami. Po jakimś czasie zabrakło mi zwykłych, ładnych obrazków, toteż przerzuciłem się na rodzinne wspomnienia. Zapach fajki taty, uśmiech Lejka, kamień na mojej szyi, pożegnalny prezent od matki.

Kamień...

Sam nie wiedząc dlaczego, sięgnąłem pod koszulę i wyciągnąłem go. Wisiał mi w dłoni, odbijając migotanie i pulsowanie dusz. I wtedy zauważyłem coś osobliwego. Kamień nie tylko odbijał światła, dostrajał się do nich, wibrując w rytm migoczących kolorów. Światelka także się zmieniały, zaczynały pulsować i rozbłyskiwać miarowo. Gdybym zamiast światel miał do czynienia z dźwiękami, słuchałbym dwóch kontrapunktowych melodii, powoli zlewających się w jedną całość.

Były niemal prawie gotowe mi uwierzyć. Skądś to wiedziałem. Prawie, ale nie do końca.

– Przestań z nimi walczyć – powiedziałem do Psinoża.

– Co?

– Dopóki z nimi walczysz, będą próbowały cię zniszczyć. Przestań walczyć, a cię wypuszczą.

– Czemu? – wydyszał. – Czemu miałbym ci zaufać?

– Dopiero co to przerabialiśmy. A teraz przestań.

I tak też zrobił. Rozluźnił wszystkie mięśnie i niemal usłyszałem ulatujące z nich napięcie.

– Widzicie? – powiedziałem do iskier w mojej głowie, ledwie świadom faktu, że nie

przemawiam głośno. – A teraz odejdźcie.

Światła zaczęły jaśnieć, coraz bardziej i bardziej, wypełniając salę oślepiającym blaskiem. Zamknąłem oczy, mocno zaciskając powieki, lecz światło wypełniło mi głowę i umysł. Miałem wrażenie, że słyszę, jak coś mówi żegnaj, ale może tylko to sobie wyobraziłem. A potem światło zgasło, podobnie kamień mamy.

W sali zapadła ciemność.

– Weź go – usłyszałem głos Psinoża i poczułem w dłoni coś ostrego i zimnego.

– Dzięki – wydyszałem bez namysłu.

Coś zamigotało i pobliski kandelabr zapłonął nagle. Pan Psinóż stał obok mnie. Jego oddech był jak zaraza, a czysta nienawiść płonąca w oczach mogłaby zaćmić słońce. Wyszczrzył zęby; był tak blisko, że widziałem pełzające po nich stworki, podobne do maleńkich, niemal mikroskopijnych robaków.

– Nie dziękuj mi, chłopcze – wyszeptał ohydny pysk. – Kiedy spotkamy się następnym razem, zedrę ci twarz z czaszki. Będę czyścił zęby twoimi flakami. Tak wiele mnie kosztowałeś. Toteż nigdy, przenigdy mi nie dziękuj.

Przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał. A potem zawył głośno jak wilk.

– Nadchodzą moi towarzysze – rzekł.

– Otwórz pryzmat Tęczka – powiedziałem. – Albo wezwę duchy z powrotem.

W ostrych zębach odbił się blask świec.

– Kłamiesz. Nie potrafisz tego zrobić.

Oczywiście miał rację, nie potrafiłem. Ale on nie mógł mieć pewności. Ująłem w wolną dłoń kamienny wisiorek.

– Przekonajmy się.

Żółte oczy spojrzały w głąb moich i to on pierwszy się wzdrygnął. Pryzmat w mojej dłoni stał się lodowato zimny, jak kadłub promu kosmicznego.

– W mojej obecności nie otworzy się do końca – warknął Psinóż i nagle chwycił mnie, unosząc z ziemi. – Zatem musimy się pożegnać, Wędrowcze.

Rzucił mną, jak medalista w rzucie oszczepem mógłby cisnąć gałązkę. Przeleciałem przez całą salę i gdybym uderzył o ścianę, pewnie połamałbym sobie połowę kości. Na szczęście jednak do tego nie doszło, bo Jo skoczyła ku mnie i łopocząc skrzydłami, zaczęła hamować. Wylądowaliśmy miękko na pokładzie, sekundę później otoczyła mnie reszta grupy. Wstałem i gdyby nie Jakon znów o mało bym nie upadł, bo pokład szarpnął się gwałtownie. Wszystko wokół dygotało. Widziałem pękające nity i wyginające się płyty poszycia.

Psinóż znów zawył i ściana na drugim końcu sali eksplodowała w drzazgi. Coś wisiało

w nie-przestrzeni obok statku, coś wyglądającego jak latający dywan przerobiony na nowoczesną tratwę ratunkową. Na pokładzie dostrzegłem panią Indygo, Scarabusa, Neville'a i sporo innych stworzeń, zapewne ważniaków z RUN.

Psinóż warknął i skoczył na tratwę, lądując wystarczająco ciężko, by jeden ze stworów przeleciał przez krawędź i z wrzaskiem runął w głąb Nigdzie-Nigdzie.

A potem tratwa zniknęła niczym zły sen, a „Malefic” zaczął rozpadać się wokół nas.

– Gdzie jest portal?! – krzyknął Jai.

Już miałem mu powiedzieć, że pod nami, ale uświadomiłem sobie, że wcale tak nie jest. Portal był gdzieś po mojej prawej, paręset metrów dalej.

– Gdzieś tam! – odkrzyknąłem, wskazując ręką.

Mniej więcej w tym momencie zaczął walić się sufit. Pobiegliśmy.

– Na zewnątrz! – ryknął Josef. – Kierujcie się na pokład! To nasza jedyna szansa!

– Nie gadaj, tylko biegnij – odparła Jakon.

Pryzmat w mojej dłoni stał się jeszcze zimniejszy. Potem zrobił się mokry. Było to dziwnie znajome uczucie, lecz nie mogłem przystanąć i sprawdzić, co właściwie trzymam. Biegłem, próbując dotrzymać kroku reszcie grupy.

Pryzmat zaczął przeciekać mi między palcami i, wstrząśnięty, uświadomiłem sobie, że to lód, nic więcej. Tylko topniejący lód. Miałem nadzieję, że Psinóż mnie nie oszukał.

Fragment podłogi pod naszymi stopami zaczął pękać. J/O, Jakon, Jai i Jo zdążyli dobiec do najbliższych schodów, Josef i ja – nie. Od reszty oddzielała nas szczelina szeroka na co najmniej trzy metry. Strzelały z niej płomienie. Ogarniały także podłogę za naszymi plecami.

– Nigdy nie wydostaniemy się stąd żywi – powiedział ktoś. Chyba to byłem ja.

Deski pod moimi stopami zaczęły odpadać. Cofnąłem się z nadzieją, że trafię na pewniejsze podłoże. Ale nie.

Pode mną był już tylko ogień. Nim jednak zdążyłem w niego wpaść, ktoś mnie złapał, chwycił za pasek w chwili, gdy pokład zniknął bez śladu.

– Hej – rzuciła Jo. – Spokojnie, bo jeszcze cię upuszczę.

Odpnętyłem się. Łopocząc skrzydłami, wzleciała nad dziurą i postawiła mnie na nietkniętej części pokładu. Potem wróciła, zniżając się ponownie po Josefa, który zawisł na rei.

– W porządku? – spytała Jakon.

Skinąłem głową, a potem otworzyłem dłoń, w której trzymałem pryzmat. Teraz nie było w niej już niczego.

– Oszukał mnie – powiedziałem. – Skłamał.

Jakon uśmiechnęła się szeroko.

– Nie sędzę. – Wskazała w górę.

Uniosłem wzrok. W powietrzu nade mną wisiał Tęczek. Był blady i szary, ale jednak tam był. Ogarnęła mnie obezwładniająca ulga.

– Tęczku! Wróciłeś! Nic ci nie jest?

Po szarej powierzchni mudlufa powoli rozszedł się słaby różowy rumieniec.

– Chyba ją bolało – mruknęła Jakon.

Zastanawiałem się, skąd wzięła to „ją”, ale nie miałem czasu zagłębiać się w potencjalnie skomplikowaną dyskusję.

– Najszybsza droga prowadzi tamtędy. – Wskazałem ścianę.

J/O wystąpił naprzód i wycelował ręką z blasterem. Nie widziałem, co zrobił, dym stał się tak gęsty, że nie tylko straciłem wzrok, ale też prawie nie mogłem oddychać.

– Pośpiesz się – wykasłałem.

Nagle, przez zamknięte powieki ujrzałem rozbłysk szkarłatnego światła, usłyszałem coś jak fzzzhsstt! i twarz owiała mi fala świeżego powietrza. Ktoś pociągnął mnie naprzód. Potykając się, wypadłem na przedni pokład „Malefica”.

– Tam jest brama – rzekł Josef. – Spójrzcie.

Widzieliśmy ją wszyscy, niecałe sto metrów dalej, z boku statku, migoczącą w niezwykłym Nigdzie-Nigdzie.

– Jak się tam dostaniemy?

– Jo? – spytał Jai. – Potrafisz latać w eterze?

– Czy zdołałabym tam podlecieć? – Zawahała się. – Nie wiem. Pewnie nie.

– To wariactwo – warknęła Jakon. – Zginiemy na tym durnym statku, tuż obok bramy.

Ponownie spojrzałem na „dziurę” w „niebie” – wydawała się mniejsza, jakbyśmy od niej odpływali. A potem uświadomiłem sobie coś innego.

Brama się kurczyła.

Spojrzałem na Tęczka.

– Tęczku, czy mógłbyś nas stąd zabrać?

Zapulsował smutną szarością. Najwyraźniej czas spędzony w pryzmacie poważnie mu zaszkodził.

– W porządku. Czy mógłbyś przerzucić nas do portalu?

Ponownie ponure, szare pulsowanie. Nie, nawet tego nie dałby rady zrobić.

– W takim razie czy zdołałbyś zanieść tam jedno z nas?



Chwila wahania, a potem powierzchnia Tęczka zajaśniała potakującym błękitem.

– Super – mruknął J/O. – A zatem ty przeżyjesz, a my zginiemy. Po prostu świetnie. Świetnie, na wypadek gdybyś się zastanawiał, znaczy „do dupy”.

– Wiesz – odparłem. – A już zaczynałem cię lubić po tym pojedynku. Wszyscy się stąd wydostaniemy, a osobą, którą ma zabrać Tęczek, jest Josef.

– Ja? – Josef zmarszczył brwi.

– Zgadza się – odparłem.

Pod nami znów coś eksplodowało i kolejny fragment statku rozpadł się w drzazgi.

– Szybko. – Rozejrzałem się wokół. – Potrzebne nam liny i... Właśnie! Tam jest kawał masztu, potrzebujemy go tutaj.

Jakon chwyciła liny – płataninę sznurów grubości kciuka, wielkości dwóch prześcieradeł – a Jai bez zbyteńnego wysiłku wyciągnął myślami koniec złamanego masztu spod stosu połamanych rej i desek. Jo wysunęła drugi koniec, mocno bijąc skrzydłami. A my z Josefem przeciągnęliśmy go we wskazane przeze mnie miejsce.

Owinałem siatkę z lin wokół rei, przywiązując ją u góry i dołu. Nie zdobyłaby żadnej nagrody, ale powinna się sprawdzić. Taką miałem nadzieję.

– A teraz – powiedziałem – oby w Nigdzie-Nigdzie nie było zbyt silnej inercji. Josefie, jak radzisz sobie z rzutem oszczepem?

– Czemu?

– Ponieważ – odparłem – chcę, żebyś rzucił nas w stronę bramy.

Wszyscy spojrzeli na mnie owym szczególnym wzrokiem zarezerwowanym dla kogoś, w kim pokładamy ostatnie nadzieje i nagle odkrywamy, że zupełnie oszalał.

– Zwariowałaś – oznajmiła Jakon. – Księżyc odebrał ci rozum.

– Nie – odparłem. – To zupełnie logiczne. Przytrzymamy się lin, Josef rzuci maszt do bramy. Wciąż jest dość duża, choć bardzo szybko się zamyka. Uderzymy w nią, ja ją otworzę, a Tęczek przeniesie Josefa.

Popatrzyli po sobie.

– Brzmi nawet całkiem logicznie – mruknęła Jo.

– Brzmi, jakby robaki zeżarły ci mózg – rzekła Jakon.

– Kompletne wariactwo – zgodził się J/O. – Zapaść sieci neuronowej.

– Josefie? – spytał Jai. – Myślisz, że dasz radę rzucić tak daleko?

Josef zważył w dłoniach maszt. Był długości słupa telefonicznego, choć nie dorównywał mu grubością. Nasz towarzysz sapnął z wysiłku i pokiwał głową.

– Tak – powiedział. – Chyba tak. Może.

Jai zamknął oczy, kilka razy odetchnął głęboko, jakby medytował.

– Doskonale. Zrobimy tak, jak mówi Joey.

– Tęczku! – zawołałem. – Będziesz musiał zostać tu, na pokładzie i przynieść do nas Josefa, kiedy będziemy lecieć do bramy. Dasz radę?

Balonik zajaśniał zielenią.

– Skąd wiesz, czy on w ogóle cię rozumie? – spytała Jo.

– A masz lepszy pomysł?

Pokręciła głową.

Przepchnęliśmy maszt na bok, tak by jego koniec unosił się lekko w stronę bramy, pulsującej sto metrów dalej niczym holograficzna mgławica na tle pustki.

– Zaczynamy – powiedziałem do Jo.

Wszyscy prócz Josefa przywarliśmy do masztu, przytrzymując się mocno lin.

– W porządku, Josefie, do dzieła.

Zamknął oczy, sapnął, a potem pchnął.

Powoli zaczęliśmy oddalać się od statku. Spadaliśmy, lecieliśmy, szybowaliśmy w stronę bramy, poruszając się w Nigdzie-Nigdzie.

– To działa! – krzyknęła Jakon.

Sir Isaac Newton jako pierwszy (przynajmniej na mojej Ziemi) wyjaśnił prawa rządzące ruchem. Są dość podstawowe. Obiekt (powiedzmy kawałek masztu z pięcioma młodymi, międzywymiarowymi komandosami, przytrzymującymi się lin) pozostawiony sam sobie, według pierwszego prawa nie zmienia swojego stanu; drugie prawo wskazuje, że zmiana w ruchu oznacza, że coś (na przykład Josef) musiało oddziaływać na obiekt. Trzecie prawo głosi, że każdej akcji odpowiada reakcja równie silna, lecz przeciwnie skierowana.

Pierwsze prawo, przynajmniej według mnie, oznaczało, że powinniśmy lecieć dalej w stronę szybko malejącej bramy, aż w końcu dotrzemy na miejsce. Owszem, otaczało nas powietrze czy coś, w czym mogliśmy oddychać. Ale zwykle tarcie atmosferyczne nie spowolniłoby nas tak bardzo, nim osiągniemy celu. Czyli mój plan był bezbłędny, prawda?

Problem w tym, że, jak już wspominałem, istnieją miejsca, w których prawa fizyki to jedynie możliwość, nie zasada. I to dość niepewna możliwość. To miejsca, w których magia działa silniej niż prawa nauki. A Nigdzie-Nigdzie jest jednym z takich miejsc.

I przybysze z RUN dobrze o tym wiedzieli. Od bramy dzieliło nas jeszcze jakieś dziesięć metrów, gdy nagle się zatrzymaliśmy. Po prostu stanęliśmy i zawisliśmy w przestrzeni.

A potem usłyszeliśmy za sobą głos, słodki jak zatruty cukierek. Głos, dla którego

jeszcze niedawno umarłbym, byle tylko usłyszeć wypowiedziane nim choćby jedno dobre słowo. A z wyrazu twarzy pozostałych wiedziałem, że kiedyś czuli to samo.

– Nie, Joeyu Harkerze – rzekł głos. – Nie dla ciebie ucieczka w ostatniej chwili.

A my, jednocześnie, cała piątka oraz Josef, wciąż jeszcze na pokładzie „Malefica”, odwróciliśmy się...

...i ujrzeliśmy panią Indygo.

## Rozdział 20

Wisiąca w powietrzu pomiędzy nami i „Maleficem”, nieco z boku. Jedną rękę miała uniesioną, po tym jak rzuciła zaklęcie, które nas zatrzymało. Mówiąc, uniosła drugą i zaczęła oddalać się od „Malefica” w naszą stronę.

– Gratuluję ci, Joeyu Harkerze – rzekła. – Udało ci się coś, w co nikt by nie uwierzył. Zniszczyłeś „Malefica” i jego misję. Pan Psinóż powrócił już na Pierwszą z RUN, mnie zaś polecił sprowadzić cię do siebie. Wierz mi, nie mogę się już doczekać. Po klęsce inwazji na Lorimare pozostały mu wyłącznie myśli o zemście.

Wylądowała na końcu masztu i zaczęła kreślić w powietrzu świetlistą ścieżkę tego samego symbolu, którym zaatakowała mnie jakże dawno temu, w jednym z niezliczonych alternatywnych Greenville. Czyniąc to, jednocześnie wymawiała Słowo, które ponownie dałoby jej nad nami władzę.

Wiedziałem, że muszę coś zrobić albo nasza przygoda dobiegnie końca. Po zniweczeniu planów podboju innych światów nic nie powstrzymałoby Psinoża przed użyciem wszystkich środków i zdolności do wydarcia z naszych umysłów sekretu InterŚwiata. Gdyby pani Indygo dokończyła swoje zaklęcie, oznaczałoby to koniec dla wszystkich. Dla niezliczonych światów.

Ale nie wiedziałem, jak ją powstrzymać. Rzut oka na towarzyszy uświadomił mi, że zaklęcie zaczyna już działać – ich oczy stawały się szkliste, mięśnie sztywniały. Sam także czułem w umyśle jej wolę, szepczącą uwodzicielsko, jak łatwo i słusznie byłoby robić wszystko co mi każe.

Niemal już dokończyła zaklęcie. Słowo, jego dźwięk, wibrowało w powietrzu, pulsując wraz z jaśniejącym Znakiem. Poczułem, jak moje ręce unoszą się w geście posłuszeństwa jej samej, Psinożowi, władcom RUN...

W jakiś sposób musiałem choćby na moment ją zdekoncentrować. Rozejrzałem się, szukając czegoś, czym mógłbym rzucić. Wsunąłem lewą rękę do kieszeni, wiedząc, że to nic nie da – i moje palce zacisnęły się wokół sakiewki z proszkiem.

Nie zastanawiałem się nawet. Zadziałałem odruchowo, wyszarpując sakiewkę z kieszeni i ciskając.

Nie wiedziałem, co się stanie i czy w ogóle cokolwiek. Był to gest desperacji, czystej,

nieskalanej rozpaczy. Jak już powiedziałem, liczyłem jedynie, że na moment ją zdekoncentruję.

Lecz udało mi się osiągnąć znacznie więcej.

Gdy sakiewka trafiła w panią Indygo, wyparowała, uwalniając chmurę osobliwego, szkarłatnego proszku.

Czerwony proszek zaczął wirować wokół kobiety, zamykając ją wewnątrz miniaturowej trąby powietrznej. Czarodziejka wyglądała na zdumioną, a potem na jej twarzy dostrzegłem strach. Uniosła ręce w ochronnym geście, otworzyła usta, by wymówić stosowne zaklęcie, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Proszek wirował coraz szybciej i szybciej, a ja czułem, jak moc jej czaru, rzuconego na mnie, słabnie. Zerknąłem na pozostałych i przekonałem się, że oni także uwalniają się spod jej wpływu.

Co oznaczało, że mamy szansę – jedną jedyną szansę – ucieczki.

W maszynowni brama miała jakieś trzydzieści metrów szerokości. Gdy ruszyliśmy z pokładu, zmalała do piętnastu metrów, teraz zaczynała rozplýwać się w nicość.

– Jo! – zawołałem. – Zacznij machać skrzydłami! Jai! Czy możesz nas lewitować w stronę portalu?

– Nie jestem pewien – przyznał.

– Bądź pewien – uciałem. – Postaraj się.

Co do mnie, skupiłem się na bramie. W końcu jestem Wędrowcem. Zacząłem naciskać i popychać, sięgnąłem myślami i z całą dostępną mi mocą utrzymywałem bramę otwartą.

A maszt powoli, straszliwie, upiornie wolno, jak pociąg wlokący się przez miasteczko na Południu w upalny, letni dzień, zaczął przesuwać się w jej stronę.

– To działa! – krzyknął J/O.

Obejrzałem się szybko na panią Indygo, by się upewnić, że nam nie przeszkodzi. Nie wyglądało na to. Teraz wewnątrz szkarłatnej trąby powietrznej dostrzegłem rozbłyśki światła. Każdy oświetlał czarodziejkę od wewnątrz, jakby jej ciało na moment stawało się przezroczyste, ukazując kości. Zwijała się w agonii, otwierając usta do krzyku – krzyku, którego nikt nie słyszał.

Lecz brama zamykała się, a ja z najwyższym trudem wciąż ją podtrzymywałem.

– J/O! Jakon! – krzyknąłem. – Pomóżcie mi! Nie możemy pozwolić, by się zamknęła.

Poczułem ich umysły – ich siłę – dołączające do moich. Brama nadal malała i gasła.

Wiedziałem, że nie zdążymy na czas, nie zdążymy...

„Malefic” eksplodował.

Wielka, czarna, tłusta chmura rozlała się na wszystkie strony. Pomyślałem, że gdyby

doszło do tego w Szumie albo świecie, w którym działały prawa nauki, wstrząs pewnie by nas zabił. Tu jednak poczułem potężne uderzenie przegrzanego powietrza, które pchnęło maszt i nas wszystkich w stronę portalu – i przez niego! Łatwo jak klucz wślizgujący się w zamek przemknęliśmy przez portal w gościnny oblęd Pomędzy.

Maszt i olinowanie rozpadły się na dziesiątki istot, które umknęły niczym pająki w szaleńczą, wielobarwną płataninę zapachu grejpfrotów. Zerknąłem za siebie na zwężającą się szczelinę portalu. Pani Indygo – czy też to, co z niej zostało – zniknęła. A potem portal się zamknął i do dziś dnia nie wiem, co się z nią stało.

– Co z Josefem? I Tęczkiem? – spytała Jo.

Usłyszeliśmy głośny syk i Josef spadł z nieba przed nami w snopie szmaragdowych iskier. Otaczała go cienka bańka, która zmaląła na naszych oczach, przysunęła się do mnie i osiadła w samym sercu oblędu, podskakując niczym balon na sznurku.

– Jestem tu – powiedział Josef. – Wracajmy do domu.

– Do domu?

Poczułem ukłucie na myśl o mamie, ojcu, bracie i siostrze. O miejscach i ludziach, których zapewne nigdy już nie zobaczę. Uniosłem rękę i dotknąłem kamienia, który podarowała mi mama tamtej ostatniej nocy. „Postępujesz słusznie” – powiedziała w mojej głowie. „Dzięki, mamó” – odparłem i ból zelżał, choć wiedziałem, że nigdy nie zniknie do końca.

A potem pomyślałem o moim domu. Moim nowym domu;  $j\mu = 4\mu$  zaprowadzi nas tam, nieważne, gdzie się kryje.

Zacząłem Wędrować. Reszta grupy podążyła za mną.

# Epilog

## *Z dziennika Joeya*

*Staliśmy wszyscy w sekretariacie Starego: Jai, Josef, Jo, Jakon, J/O i Ja. Czekaliśmy tam prawie godzinę. Wezwanie dotarło do nas tuż przed śniadaniem i zjawiliśmy się natychmiast. A potem czekaliśmy.*

*I czekaliśmy.*

*W końcu w gabinecie coś zabrzęczało. Asystentka Starego na chwilę zniknęła w środku, po czym podeszła do mnie.*

*– Najpierw chce porozmawiać z tobą – oznajmiła. – Reszta niech jeszcze zaczeka.*

*Przekraczając próg uśmiechnąłem się do przyjaciół. Jeśli nie stąpałem parę centymetrów nad ziemią, to dlatego, że unosiłem się nad nią pół metra. A może nawet metr. Owszem, od niezbyt dawna należałem do InterŚwiata, ale wraz z innymi dokonałem czegoś niezwykłego. W szóstkę pokonaliśmy flotę inwazyjną RUN. Zniszczyliśmy „Malefica”. Dzięki nam co najmniej tuzin światów zachowa wolność.*

*Nie lubię się przechwalać, ale właśnie za takie wyczyny dostaje się medale.*

*Zastanawiałem się, co bym powiedział, gdyby przypiął mi do piersi medal. Czy rzekłbym jedynie „dziękuję”, czy też wspomniałbym, że to dla mnie zaszczyt i że zrobiłem to, co każdy uczyniłby na moim miejscu? Czy zacząłbym paplać bez ładu i składu, jak aktorzy odbierający Oscary, czy też po prostu bym milczał?*

*Nie mogłem się doczekać chwili, gdy się o tym przekonam.*

*A co z awansem? Powiedzmy to sobie szczerze, byłby ze mnie świetny dowódca grupy. Uniosłem głowę, wysuwając podbródek. Materiał na oficera.*

*W gabinecie Starego nic się nie zmieniło: wciąż stało w nim wielkie biurko zastane papierami, sześcianami i dyskami, ułożonymi w stosy i sterty. A za biurkiem siedział Stary i coś notował. Sprawiał wrażenie, jakby nie dostrzegał mojego przybycia, toteż zatrzymałem się przed nim.*

*Stałem tak parę minut. W końcu zamknął teczkę i uniósł wzrok.*

*– Ach, tak. Joey Harker.*

*– Tak, proszę pana. – Staralem się zachowywać skromnie; nie przyszło mi to łatwo.*

*– Czytałem twój raport, Joey, i jedno nie do końca zrozumiałem. Jaki dokładnie*

*bodziec przywrócił ci pamięć?*

*– Pamięć? – Jego pytanie kompletnie mnie zaskoczyło. – To była bańka mydlana, proszę pana. Skojarzyła mi się z Tęczkiem, a wraz z Tęczkiem wszystko powróciło.*

*Pokiwał głową i zapisał coś w raporcie.*

*– Będziemy musieli to uwzględnić w przyszłości, przy kolejnym warunkowaniu amnezycznym – rzekł. – Niewiele wiemy o mudlufach. Na razie będziesz mógł zatrzymać to stworzenie przy sobie w Bazie. Zgoda ta w każdej chwili może zostać cofnięta.*

*Jego sztuczne oko zabłysło. Znów coś zapisał.*

*Stałem tam przednim, a on pisał dalej. Zastanawiałem się, czy o mnie zapomniał.*

*Nie wyglądało to tak, jak sobie wyobrażałem.*

*– Proszę pana. – Uniósł wzrok.*

*– Zastanawiałem się... No cóż, zastanawiałem się, czy może moglibyśmy dostać... To znaczy, wysadziliśmy „Malefica” i...*

*Urwałem. Zdecydowanie nie wyglądało to tak, jak sobie wyobrażałem.*

*Stary westchnął. Było to długie westchnienie, pełne mądrości i znużenia. Podobnie mógł westchnąć Bóg po sześciu dniach ciężkiej pracy, kiedy nie mógł się już doczekać porządnego, kosmicznego wypoczynku i nagle anioł wręczył mu raport o kimś, kto właśnie zjadł jabłko.*

*– Przyślij tu resztę – polecił sekretarce.*

*Wszyscy weszli do gabinetu, tłocząc się przed biurkiem.*

*Powiódł po nas wzrokiem. Nagle poczułem się bardzo nieswojo. Chociaż on siedział, a my staliśmy, zdawało się, że jest inaczej, że góruje nad nami.*

*Josef, Jo i Jakon sprawiali wrażenie niezwykle zadowolonych z siebie. Usta J/O wyginały się w uśmiechu promiennym jak żarówka. Tylko Jai nie wyglądał na absolutnie szczęśliwego.*

*– Cóż – zagadnął Stary – Joey najwyraźniej uważa, że wasza szóstka powinna dostać jakieś medale, a przynajmniej oficjalną pochwałę za niezwykle osiągnięcia. Czy ktoś jeszcze podziela tę opinię?*

*– Tak, proszę pana – rzekł J/O. – Czy opowiadał o tym, jak pokonałem Scarabusa w pojedynku? Byliśmy super.*

*Pozostali zaczęli mamrotać i kiwać głowami.*

*Stary przytaknął. Potem spojrzał na Jaia.*

*– A ty? – rzekł.*

*– Uważam, że dokonaliśmy niezwyklej rzeczy, proszę pana.*



*Oko Starego zabłysło.*

*– Ach tak. Zatem tak uważasz?*

*A potem odetchnął głęboko i zaczął przemowę.*

*Powiedział nam, co dokładnie myśli o grupie, której nie udało się wykonać nawet prostej misji szkoleniowej bez dodatkowej katastrofy. Przypomniwał, że wszystko, co osiągnęliśmy, zawdzięczamy zwykłemu, ślepemu szczęściu, i że złamaliśmy wszystkie możliwe istniejące zasady oraz parę jeszcze niezapisanych, bo uznawanych za czysto zdroworozsądkowe. Dodał, że gdyby na choć jednym z milionów światów istniała jakakolwiek sprawiedliwość, wszyscy powinniśmy zostać wygotowani i trafić do słoików, że byliśmy przesadnie pewni siebie, zachowywaliśmy się głupio i nieprzewidująco, że podejmowaliśmy idiotyczne ryzyko. Mówił, że w ogóle nie powinniśmy wplątać się w kłopoty, a gdy do tego doszło, trzeba było natychmiast wrócić do domu... i tak dalej, i tak dalej. Trwało to dość długo.*

*Ani razu nie podniósł głosu. Nie musiał.*

*Kiedy do niego wchodziłem, niemal unosiłem się w powietrzu, a gdy skończył, czułem się mały jak myszka, kaleka, garbata myszka. Najmniejsza z miotu. Kiedy skończył, w gabinecie zapadła cisza dość gęsta, by wypełnić cały ocean, a i tak wystarczyłoby jej na kilka wielkich jezior i małe morze. W milczeniu powiódł wzrokiem po naszych twarzach. Staraliśmy się nie patrzeć na niego – ani na siebie nawzajem.*

*A potem rzekł:*

*– Mimo wszystko uważam, że jako zespół macie pewien potencjał. Dobra robota. Rozejść się.*

*I wyszliśmy stamtąd, szurając nogami i nie patrząc sobie w oczy.*

*Przystanęliśmy na placu apelowym, wciąż zbici w gromadkę. Słońce pokonało już połowę drogi do zenitu, w Bazie wiał mroźny wiatr. Wiecznie szybujące miasto przepływało nad gęstą puszcza, która wyglądała, jakby ciągnęła się na wiele kilometrów, i pewnie faktycznie tak było. Minęliśmy polanę; zwierzę przypominające przerosniętego nosorożca z dwoma bliźniaczymi rogami uniosło głowę i spojrzało na nas.*

*Chyba byliśmy w szoku.*

*Tęczek powoli obracał się w powietrzu dziesięć metrów wyżej. Kiedy nas zauważył, opadł i po chwili szybował już paręnaście centymetrów nad moim prawym ramieniem.*

*Ktoś musiał coś powiedzieć, ale nikt nie chciał być pierwszy.*

*W końcu Josef potrząsnął głową.*

*– Co się właściwie tam stało? – spytał.*

*Jai uśmiechnął się nagle, odsłaniając idealne, białe zęby.*

*– Powiedział, że jesteśmy zespołem.*

*Zapadła cisza.*

*– I że mamy potencjał – dodała z dumą Jakon.*

*– Powiedział, że mogę zatrzymać Tęczka – poinformowałem ich.*

*– W takim razie jest nas siedmioro – rzekła z namysłem Jo, rozkładając skrzydła w porannym słońcu. – Nie sześcioro.*

*I powiedział też „dobra robota – prawda? Stary powiedział „dobra robota”. Do nas.*

*– Słyszałeś? – zwróciłem się do Tęczka. – Ty też jesteś częścią zespołu.*

*Zaczął obracać się powoli, po jego powierzchni przepływały zadowolone pasma fioletów i indygo. Nie miałem pojęcia, czy nas rozumiał, ale przypuszczam, że tak.*

*– Nadal uważam, że jesteśmy super – rzekł J/O. – A poza tym mamy potencjał. Komu potrzebne medale? Wolę mieć potencjał niż jakiś tam medal.*

*– Zastanawiam się, czy zostało jeszcze coś ze śniadania – dodał Josef. – Konam z głodu.*

*Wszyscy umieraliśmy z głodu, może prócz Tęczka. Poszliśmy zatem coś zjeść.*

*Prawie skończyliśmy posiłek, kiedy zadźwięczał alarm. Podbiegliśmy do ekranu informacyjnego na końcu stołówki, patrząc na zmieniające się obrazy.*

*– Jeden zespół ma kłopoty – rzekł Josef. – Atak Binarium na koalicję Krawędzi. To Jerzy i J'r'ohoho.*

*Głos Starego zagrzmiął w głośnikach.*

*– Joeyu Harkerze, zbierz swój zespół i ruszajcie natychmiast.*

*Spojrzałem na moją grupę. Byli gotowi. Ja także.*

*Równowaga musi wstać zachowana.*

*Skupiłem się i przed nami rozkwitło Pomiedzy. Zaczęliśmy Wędrować.*

**Koniec**

# Posłowie

Michael i Neil pierwszy raz zaczęli rozmawiać o InterŚwiecie mniej więcej w 1995, kiedy Michael kręcił przygodowe kreskówki w DreamWorks, a Neil przebywał w Londynie, pracując nad serialem telewizyjnym *Nigdziebądź*. Uważaliśmy, że mogłaby z tego wyjść zabawna telewizyjna przygodówka. Lata dziewięćdziesiąte upływały, a my próbowaliśmy wyjaśniać ludziom nasz pomysł, opowiadając o organizacji złożonej wyłącznie z dziesiątków J/o/e/yów Harkerów, próbującej zachować równowagę pomiędzy magią i nauką w nieskończonych rzeczywistościach, i patrzyliśmy, jak ich oczy zachodzą mgłą. Uznaliśmy w końcu, że istnieją pomysły, do których da się przekonać ludzi pracujących w telewizji, oraz takie, do których się nie da. Potem, pod koniec lat dziewięćdziesiątych, jeden z nas wymyślił nowy plan: może napiszemy o tym powieść. Gdybyśmy po prostu opowiedzieli historię, lekko i łatwo, nawet dyrektor w telewizji mógłby ją zrozumieć. Toteż pewnego śnieżnego dnia Michael wraz ze swoim komputerem zjawił się w części świata, w której mieszkał Neil, i pośród szalejących za oknami śnieżyc napisaliśmy tę książkę.

Wkrótce przekonaliśmy się, że dyrektorzy w telewizji nie czytają również książek. Westchnęliśmy zatem i powróciliśmy do własnych zajęć.

InterŚwiat pozostawał w mroku przez kilka lat. Kiedy jednak niedawno pokazaliśmy go paru osobom, uznały one, że inni ludzie także mogliby zechcieć go przeczytać. Wyprowadziliśmy go zatem z ciemności i doszlifowaliśmy. Mamy nadzieję, że Wam się spodobał.

*Neil Gaiman i Michael Reaves*

2007